

Nina Tinsley

Zatoka 1ez

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zaproszenie na ślub mego dziadka przyszło w sobotni wieczór, kiedy wujek Wilmot i mój kuzyn Hugh siedzieli przy stole, czytając gazety i dopijając kawę, która została po śniadaniu. Był to jeden z pierwszych gorących, czerwcowych dni tego roku i przeszklone drzwi, wiodące do ogrodu, były szeroko otwarte. Ciocia Jenny miała na sobie jedwabną sukienkę bez rękawów. Intensywnie różowy kolor materiału odpowiadał jej urodzie, podkreślając płowiejące, kasztanowate włosy, które podwiązała z tyłu ciemniejszą wstążką.

Listonosz, dobrze znając nasze zwyczaje, przeszedł pogwizdując przez Ścieżkę w ogrodzie i mijając drzwi, zbliżył się do okna.

- Weź listy, Ros. - Hugh uniósł głowę znad "Timesa". Byłam tak przyzwyczajona do posłuszeństwa, że zerwałam się czym prędzej i odebrałam pocztę, odpowiadając na wesołe powitanie listonosza. .

Kuzyn musiał zdawać sobie sprawę z niezadowolenia swej matki. Miałam nadzieję, że ciotka nie będzie czynić mu wymówek z mego powodu, choć już tyle razy byłam przyczyną rodzinnych kłótni.

Nie rzuciwszy nawet okiem na koperty położyłam listy przed wujem. Złożył gazetę, poprawił okulary i wziął się do czytania. Spojrzałam na ciotkę Jenny. Siedziała sztywno, zagryzając wargi i bębniąc palcami po stole.

Listy od przyjaciół, napływające z niezliczonych miejsc do tego zapomnianego zakątka, gdzie znajdowało się Driftings, były największą przyjemnością tej niemłodej kobiety.

Kiedy już dłużej nie mogła się powstrzymać, uderzyła ręką w stół.

- Wilmot, poczta - powiedziała głośno.

Wuj uniósł wzrok znad listów. W jego oczach dojrzałam ten sam zły błysk, który tak często widziałam u Hugh.

- Wszystko w swoim czasie, moja droga.

- Chce je teraz.

Przejrzał uważnie i dokładnie wszystkie koperty, układając je w cztery kupki. Dopiero po obejrzeniu ostatniego listu pozwolił nam je wziąć.

Tylko jeden był do mnie. Pośpiesznie rozerwałam kopertę. Wysunęło się z niej obramowane złotem, ozdobne zaproszenie. Przeczytałam je dwukrotnie, nie bardzo dowierzając własnym oczom. Ogarnęło mnie paraliżujące podniecenie. Odkąd pamiętałam, czekałam na to zaproszenie. Zawsze marzyłam o tym, by odwiedzić Siedzibę Falconów i dom, w którym urodziłam się. Moje uniesienie nie trwało jednak długo. Ochryply głos rozgniewanego wuja przenikliwie wdarł się w moje myśli.

- Nie może tego zrobić. On jest szalony. Ciocia Jenny podniosła na niego wzrok.

- Kto taki? - spytała.

- Twój ojciec. Twój zgrzybiały ojciec żeni się z tą kobietą.

Zaległa nieprzyjemna cisza. Ciotka spurpurowiała, upuszczając list, który właśnie czytała. Zacisnęła pięści. Spojrzałam na kuzyna. Patrzył zdumiony na swego ojca. Niebieskie oczy Hugh zwęziły się, a jego przystojna twarz stała się zimna i wyrachowana.

- Nie możesz go powstrzymać - rzekła ciotka. Mówiła tak cicho, że ledwie słyszałam jej słowa. Nagle, jakby niepewna, czy wuj Wilmot usłyszał, powtórzyła głośno: - Mój ojciec może robić to, co mu się podoba.

Hugh roześmiał się.

- Dobry Boże, a więc w końcu dziadek żeni się z Francescą Battistą.

- Nie chcę słyszeć imienia tej kobiety - wściekał się wuj.
- To nie twoja sprawa, Wilmot - zareagowała Jenny.
- Zglupiałaś, kobieto? Nie rozumiesz, że przez te wszystkie lata próbowała zmusić go do małżeństwa? A dlaczego? Powiem ci, dlaczego. Chce odziedziczyć Siedzibę Falconów. A co z naszym synem?

Ciocia Jenny zacisnęła zęby. Ręce jej drżały, lecz gdy przemówiła, głos miała spokojny.

- Mój ojciec jest sprawiedliwym i uczciwym człowiekiem. Na pewno nie zapomni o Hugh i Rosinie.

- Skąd wiesz? Nie widziałaś go przecież od lat. - Wściekłość wuja była przerażająca.

- A czyja to wina? Nie pozwoliłeś mi tam jechać - ciotka uniosła się wyzywająco. W oczach tej łagodnej zazwyczaj kobiety płonął gniew.

- Ciągłe się kłóćcie - wtrącił się Hugh - ale o co właściwie chodzi? Kto by chciał jechać na to żałosne widowisko?

- Ja - powiedziałam.

Wuj spojrzał wściekle, próbując wzrokiem zmusić mnie do milczenia i posłuszeństwa.

- Nie pozwolę ci jechać. Czy to jasne, Rosina? - rzekł z naciskiem.

- Wuj nie może mnie zatrzymać siłą - odparowałam. - Mam dwadzieścia jeden lat i mogę robić to, co mi się podoba. Zawsze chciałam jechać do Siedziby, ale matka... - Zabrakło mi głosu.

- Twoja matka była rozsądną kobietą. Wiedziała, co się dzieje w domu twego dziadka. A teraz, parę miesięcy po jej śmierci, myślisz sobie...

- Przestań - krzyknęłam. - Matka nie chciała jechać, bo tam zginął mój ojciec. To nie miało nic wspólnego z

Francescą. Jeśli dziadek jest z nią szczęśliwy, to dlaczego nie miałby się ożenić?

Wuj spurpurowiał, ale już mnie to nie obchodziło. Latami znosiłam jego obelgi i nakazy. Teraz nie zamierzałam milczeć. Spojrzałam na Jenny. Oczy miała pełne łez, wargi jej drżały. Rozdzierała koronkę chustki tak łatwo, jakby była zrobiona z papieru. Zerwałam się i w mgnieniu oka znalazłam się przy niej. Położyłam rękę na ramieniu ciotki.

- Niech ciocia tu nie płacze - szepnęłam.

Pozwoliła, bym wzięła ją za rękę i wyszłyśmy do ogrodu. Przeszedłszy przez trawnik, usiadłyśmy na drewnianej ławce. Przed nami rozciągało się morze. Był przyływ. Woda miała mleczno - niebieski odcień, a tam, gdzie fale zakryły trawiaste skrawki lądu, stawała się dziwną mieszaniną zieleni i niebieskości. Wiele razy kryłyśmy się w tym zacisznym zakątku, by znaleźć ukojenie w niewzruszonej regularności przyływów i odpływów. Ich nieskończony spokój oddalał od nas wszystkie przykrości, jakich nie szczędzili nam nasi mężczyźni.

- Nie powinnaś pozwolić, by widzieli twoje cierpienie - zaczęłam rozmowę.

- Droga Ros. - Ciotka zwinęła chustkę w kulę i obtarła oczy. - Zazwyczaj próbuję ukrywać moje uczucia, ale czasami... - westchnęła. - Kocham mego ojca. Sądzę, że rozumie, dlaczego go nigdy nie odwiedzam. Ale ty musisz jechać, Rosino. On był taki dumny z Andrew, twego ojca.

- Opowiedz mi o tym wypadku. Matka nigdy nie chciała o tym mówić. Wydaje mi się, że w pewnym sensie winiła dziadka za to, co się stało.

Jenny potrząsnęła głową.

- Patrząc wstecz - zaczęła - właściwie nie wiem, jak do tego doszło. Pewnego wieczoru Andrew wypłynął łodzią. Wszyscy myślą, że łódź musiała się wywrócić i twój ojciec

utonął. Ale trudno w to uwierzyć. Jak wiesz, był w marynarce i świetnie pływał.

- Sądzisz - powiedziałam powoli - że ktoś... to znaczy...

- Nie wolno ci tak myśleć. - Ciotka spojrzała na mnie ze strachem w oczach.

Czułam jednak, że i ona ma wątpliwości. Miałam coraz większą ochotę na odwiedzenie Siedziby Falconów. Wiedziałam, że przeszło dwudziestoletnia tajemnica śmierci mego ojca będzie mnie dręczyć, dopóki jej nie wyjaśnię.

- Jedź ze mną - powiedziałam impulsywnie. - Jestem pewna, że dziadek bardzo się ucieszy.

Ciotka potrząsnęła smutno głową.

- Wilmot byłby wściekły. Uważałby to za zdradę, za nielojalność.

- Wuj myśli tylko o sobie... - zaczęłam, ale przerwałam zaraz, czując na ramieniu rękę Jenny.

- Nie bądź niesprawiedliwa. To jest takie bolesne. Hugh zawołał ciocię. W pierwszej chwili myślałam, że

ciocia zamierza zignorować wezwanie. Utkwiła wzrok w małych, białych żaglówkach, które jak miriady świeżo wylęgłych jętek balansowały po zatoce na tle kościoła i domów Bosham.

Mój kuzyn powtórzył wezwanie. Ciotka zebrała się w sobie i wstała.

- Chodź, Ros. Koniec z wysiadywaniem. Wykap się. Woda w basenie jest idealna. Pływałam przed Śniadaniem.

Przy wejściu rozdzieliliśmy się. Jenny weszła do środka, a ja obeszałam budynek i znalazłam się w kuchni, gdzie pani Henderson sprawnie obsługiwała hałaśliwą zmywarke.

- Potrzebuje pani pomocy? - krzyknęłam. Potrząsnęła przecząco głową i uśmiechnęła się. Nigdy

dużo nie mówiła. Całą rozpierającą ją energię koncentrowała na pracy, chociaż były pewnie chwile, kiedy

zwierzała się cioci Jenny. Jednak, pomimo niełatwego życia - mężowi rzadko kiedy chciało się pracować, a trzy nastoletnie córki sprawiały tej pracowitej kobiecie wiele kłopotów - zawsze chodziła uśmiechnięta.

Woda była wystarczająco chłodna, by mnie orzeźwić. Przepełnęłam parę długości basenu, a następnie położyłam się na plecach, pozwalając unosić się wodzie. Ciotka uczyła mnie pływać podczas długich, letnich wakacji. Nie mówiłam o tym matce, a ponieważ nigdy nie odwiedziła Driftings, nie wiedziała nic o basenie. Zresztą jej niepokój budziło przede wszystkim morze. Pomyślałam o obietnicy, jaką złożyłam kiedyś matce i której, jak na razie, dotrzymywałam. Zawsze bałam się morza, choć nie wiedziałam, czy ten lęk jest wrodzony, czy też matka, w swej niezmierzonej rozpaczce po stracie męża, nie wpoila mi niechęci do morza, które kiedyś odebrało jej szczęście.

Jeszcze raz przepełnęłam basen. Gdy dotarłam do płytszego końca, zauważyłam Hugh, który siedział na brzegu, mocząc w wodzie bose stopy i obserwując mnie uważnie.

- Ros! - zawołał.

Wstałam z wahaniem, czując, jak woda spływa po moim ciele. Hugh zawsze wzbudzał we mnie lęk. Weszłam po schodach na brzeg, chwyciłam ręcznik i owinąwszy się nim, usiadłam obok niego na gorącej od słońca, kamiennej posadzce, która otaczała basen.

- Ros, brakowało mi ciebie.

Nie odpowiedziałam. Doświadczenie podpowiadało mi, żeby nie ufać kuzynowi i być ostrożną w słowach. Zawsze mógł użyć ich przeciwko mnie. Spojrzałam na niego; przyglądał się czemuś z drugiej strony basenu. Z profilu wyglądał wspaniale. Starannie ułożone, rozświetlone słońcem włosy tworzyły przyjemny kontrast z opaloną twarzą.

Wiedziałam jednak, że ma zbyt blisko siebie umieszczone oczy i okrutny, wykrzywający usta grymas.

Sądziłam, że już wiem, na co go stać. Gdy z uśmiechem odwrócił się do mnie, zaczęłam się zastanawiać, czego chce tym razem.

- Tęskniłaś za mną? - spytał. Potrząsnęłam przecząco głową.

- Byłam zbyt zajęta. Miałam bardzo dużo pracy w tym semestrze.

Nachmurzył się. Nie podobało mu się to, że wiodłam samotne życie, bez niego. Zawsze wypytywał mnie dokładnie o przyjaciół z uczelni. Ale dzisiaj nie byłam w stanie znieść jego małostkowej zazdrości. Bez ceregieli odmówiłam jakiegokolwiek dyskusji na ten temat. Od razu stał się bardzo podejrzliwy. Był przekonany, że mam jakiegoś chłopaka i chcę to ukryć. Myślałam, że rozumiem motywy kuzyna i umiem przewidzieć jego postępowanie. Nie doceniałam jednak jego uporu i bezwzględności, czego miałam jeszcze pożałować.

- Tak naprawdę, to nie zamierzasz chyba jechać na ten groteskowy ślub? - powiedział.

- Oczywiście, że zamierzam.

- Zatem gwarantuję ci, że tylko stracisz czas. Ślub nie odbędzie się.

Zadrzałam. Hugh nigdy nie rzucał słów na wiatr. Spojrzałam na niego i zobaczyłam zimne oczy mego kuzyna.

- Siedziba Falconów nie dostanie się w ręce tej włoskiej utrzymanki dziadka. Możesz być tego pewna. Należy do mnie... do nas - dodał.

- Nie chcę jej - odrzekłam szybko.

- Czasami, Rosino Falcon, zdaje mi się, że jesteś idiotką. Nie widziałaś nigdy siedziby i nie wiesz, jaka jest piękna. Kiedy przejdę na emeryturę, będziemy żyć...

- Hej, nie tak szybko, Hugh. Na mnie nie licz.

Wyraz jego twarzy zmienił się. Spojrzał na mnie łagodnie, wręcz czule. Poczułam się niedobrze. Dotknął lekko palcem mojego nagiego ramienia. Zesztywniałam, nie chcąc, by zauważył, że jestem zdenerwowana. Serce waliło mi głucho, a puls przyśpieszył.

- Jesteś zbyt śliczna, by zajmować się własnymi sprawami - powiedział i pocałował mnie w policzek.

Odchyliłam się, jakby coś mnie ugryzło. Roześmiał się.

- Zatem - zaczął - możesz zapomnieć o podróży do Siedziby i popłynąć ze mną na południe Francji. Biorę ze sobą Huxtabłów. Płyniemy na dwa, trzy tygodnie.

- Nie, dziękuję, Hugh. Wiesz, że nienawidzę morza. A poza tym, szczerze mówiąc, dwa tygodnie z tą parą doprowadziłyby mnie do samobójstwa.

- Możemy płynąć sami. - Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

- Nie możesz zawieść swoich przyjaciół - obruszyłam się. - A zresztą, już ci mówiłam. Jadę do Siedziby Falconów bez względu na to, czy będzie ślub, czy nie.

- Chcę, żebyś popłynęła ze mną. Jeśli będziesz stwarzać problemy, to są sposoby, by cię do tego zmusić.

Zaśmiałam się, chociaż - przyznaję - poczułam lekki niepokój. Mój kuzyn zwykle umiał postawić na swoim.

- Przestań, Hugh. Przecież mnie nie porwiesz. Pomyśl o tych tytułach prasowych: "Dobrze znany agent biura podróży porywa kuzynkę..."

- Ty mała diabolicco. Nie ośmieliłabyś się.

- Zrobiłabym to. - Bynajmniej nie żartowałam. Teraz, gdy pojawiła się szansa, nic nie było w stanie mnie powstrzymać. Musiałam zobaczyć dziadka. Wskoczyłam z powrotem do wody i popłynęłam na drugi koniec basenu. Kiedy się

odwróciłam, Hugh właśnie pochylał się, wiążąc sandały. Obserwowałam, jak się prostuje i idzie wzdłuż basenu. Stał.

- Zrobię wszystko, żebyś nie pojechała do Szkocji - usłyszałam jego krzyk.

Z nienawiścią w sercu zanurzyłam się pod wodę. Kiedy wypłynęłam, biegł w kierunku krótkiego, kamiennego nabrzeża z boku ogrodu. Wspięłam się na brzeg i zobaczyłam, jak wchodzi na pokład swojej łodzi. "Szkoda, że nie możemy być przyjaciółmi" - pomyślałam, energicznie wycierając się ręcznikiem. Moja sympatia dla niego co chwilę przeradzała się w nienawiść, lecz nic na to nie mogłam poradzić.

Również rzadko czułam coś innego niż niechęć do wuja Wilmota. Wuj stał akurat na patio i kiwał na mnie. Kusiło mnie, by znów wskoczyć do wody, ale wiedziałam, że nie ucieknę w ten sposób. Kuzyn i wuj na pewno zrobią wszystko, by zniechęcić mnie do wyjazdu. Widząc moje wahanie, Wilmot pokiwał ponownie.

- Chciałbym ci coś powiedzieć - oświadczył, gdy podeszłam do niego. - Ubierz się i przyjdź do gabinetu.

Obrócił się na piętach i odszedł, nie czekając na moją odpowiedź. W tej chwili chciałam wręcz biec za Hugh i prosić go o pomoc.

- Tchórz - powiedziałam głośno i o nic nie dbając, weszłam na patio. Stałam, patrząc na dom. Kiedy wyjeżdżam z Driftings, myślę o tym miejscu jak o spokojnym schronieniu. Widzę zawsze taki sam obraz: pobielone ściany z purpurowymi plamami powojnika i wistarii, szeroko otwarte okna i skłębione, powyginane przez wiatry krzaki tamaryszku.

Wiem, że ten obraz jest nierzeczywisty. Burze, które rozpętują się wewnątrz, porywając nas wszystkich, potrafią być bardziej dzikie niż najgwałtowniejsze wichury i potężniejsze niż ogromne bałwany, bijące zimą o pobliski

brzeg. Niemożliwa jest letnia cisza w domu zamieszkałym przez Wilmota Pevensey'a i jego syna Hugh.

Wzięłam prysznic i ubrałam się. Malowałam się długo i uważnie, przeciągając każdą czynność, by pokazać wujowi, że się go nie boję. Skończywszy malowanie, zastukałam do drzwi jego pracowni. Siedział przy biurku, pisząc coś. Gdy wchodziłam, uniósł głowę znad papierów i wskazał na krzesło. Wolałam jednak stać.

- Jestem z ciebie bardzo niezadowolony, Rosino - powiedział. Nie zaskoczyło mnie to. Był niezadowolony ze wszystkich i to od dawna. Ze mnie, z ciotki, z kuzyna. Chciał kiedyś, bym z Hugh studiowała prawo, kontynuując w ten sposób tradycję jego rodziny. Wuj odziedziczył po dziadku firmę radców prawnych, którą w przyszłości my mieliśmy przejąć. Dlatego potępił mnie, gdy postanowiłam studiować historię i archeologię. Ale to, co zrobił mój kuzyn, wykopało pomiędzy nimi przepaść, której, jak mi się wydawało, nic już nigdy nie mogło zasypać.

Ta scena sprzed ośmiu lat, gdy Hugh obchodził swoje osiemnaste urodziny, bardzo mocno utkwiała mi w pamięci. Gdy oświadczył, że nie zamierza zdawać na prawo i zakłada z przyjacielem biuro podróży, wuj Wilmot dostał ataku serca. Hugh jednakże na nic nie zważał i potem dobrze mu się powodziło. Tego odległego dnia bardzo współczułam wujowi, ale teraz stałam przed nim ze strachem w sercu.

- Mam nadzieję, Rosina, że postawiłem sprawę jasno. Nie życzę sobie, żebyś jechała do twego dziadka. Ustaliłem z Hugh, że popłyniesz z nim i jego przyjaciółmi na południe Francji.

- Nie popłynę z nim. Nienawidzę morza.

- Dziecinne bzdury - przerwał mi. - Powinnaś już z tego dawno wyrosnąć. Chcę, żebyś popłynęła.

"A więc to nie był pomysł Hugh" - pomyślałam. Ubodło mnie to. Było oczywiste, że wuj nie chce, bym mu przeszkadzała, gdy będzie się starał nie dopuścić do ślubu dziadka z Francescą. A nie miałam wątpliwości, że mógł tego dokonać. Był nie tylko mężem ciotki Jenny, ale również prawnikiem Falconów. Domyślałam się tylko, że przyszłość Siedziby Falconów leży w jego rękach, choć nie wiedziałam, jakie jest moje miejsce w tych planach.

Stałam przed wujem, wahając się. Fantastyczne pomysły przychodziły mi do głowy. Chciałam, na przykład, bohatercko ostrzec Francescę przed zamiarami wuja.

- Zatem ustalone - kontynuował. - I pozwól, że cię ostrzeżę. Jeśli będziesz się przeciwstawiać, to natychmiast obetnę ci kieszonkowe.

Stałam, wściekła, jak niemowa, trącając tylko stopą spód biurka. Rosła we mnie nienawiść.

- Sądzę, że się rozumiemy - powiedział. - Zostałem mianowany twoim opiekunem do czasu skończenia przez ciebie dwudziestu pięciu lat. Zatem pamiętaj o tym, że masz mnie słuchać.

"Do diabła z tobą!" - myślałam, biegnąc schodami do bezpiecznego schronienia mej sypialni. Dlaczego miał taki wpływ na matkę? Dopuściła go przed laty do spółki w domu starców, który tak sprawnie prowadziła w cichym zakątku Bournemouth.

Nienawidziłam tego ponurego, wiktoriańskiego budynku z jego ciemnymi pokojami. Słońce nie docierało do środka, gdyż nie pozwalały na to okalające dom zarośla, z każdym rokiem coraz bliższe murów. Nie mogłam znieść zapachu starych przedmiotów, antyseptyków, pasty podłogowej i uczucia, że ciągle ktoś na mnie patrzy - tej dyskretnej, lecz natarczywej obecności wielu par starczych oczu, które badały, oceniały, porównywały zachowanie małej, samotnej

dziewczynki. Nic więc dziwnego, że przeprowadziłam się do Driftings z radością w sercu, choć odtąd nie mogłam już tak często widywać się z matką. Ale czy to ją w ogóle obchodziło? A może tak się poświęcała swoim podopiecznym, że nie zauważała dziecka, które doroślało, tęskniąc za miłością i czułością?

Stojąc w oknie sypialni, kolejny raz czytałam zaproszenie od dziadka. Przyszło mi na myśl, czy czasami nie chciał wykorzystać tej okazji i doprowadzić do pojednania rodziny. Było to bardzo prawdopodobne, postanowiłam więc, że zrobię wszystko, by go odwiedzić.

Zamknęłam drzwi na zamek, spakowałam walizkę i ukryłam ją pod łóżkiem. Następnie zeszłam na dół, do kuchni, gdzie krzątała się ciocia Jenny.

- Jesteś zajęta, Ros? - spytała, nie podnosząc wzroku znad naczyń. - Bądź tak miła i skocz do sklepu w Chichester. Ten nieznośny Wilmot chce na lunch rybę - westchnęła. - Weź moją portmonetkę, kochanie. Zaraz wracaj.

Wycofałam moje ulubione mini z drugiego garażu, który znajdował się w połowie podjazdu, i ruszyłam do miasta. Na miejscu kupiłam rybę, zrealizowałam czek w butikach mojej przyjaciółki Caroline oraz napełniłam bak.

Gdy tego wieczoru Hugh wrócił na kolację, spytałam go, o której wypływa następnego dnia.

- Co? Czyżby staruszek przekonał cię? Wiedziałem, że tak będzie - odpowiedział. Nie przejęłam się jego butnym tonem głosu. Wszystko, co wuj zdołał zrobić, to tylko powiększyć moją determinację. "O brzasku wyruszam do Siedziby Falconów. Tam nie będę już obawiać się Pevenseyów" - pomyślałam. Było to drugie głupie założenie, które tego dnia uczyniłam.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie czekałam na świt. Wkrótce po północy przejaśniło się; księżyc był prawie w pełni, a wzbierające wody przyływu uderzały o betonowe nabrzeże i chroniący ogród falochron. Nasi sąsiedzi odbywali jedną z częstych nocnych zabaw i z doświadczenia wiedziałam, że około pierwszej goście z hałasem będą opuszczać ich dom.

Czy wuj nie dopuściłby do mojego wyjazdu? Trudno było w to uwierzyć. Niby dlaczego? Ale jego ostrzeżenia niewątpliwie wzbudzały niepokój.

O pierwszej goście sąsiadów zaczęli wyjeżdżać. "Pora na mnie" - pomyślałam. Gruby dywan stłumił moje kroki. Frontowe drzwi otworzyły się bez najmniejszego skrzypnięcia i znalazłam się na zewnątrz. Z walizką w ręku, stąpając cicho, pospieszyłam do garażu.

Wyjechałam moim mini i przy końcu podjazdu zapaliłam światła. Opuściłam dom, jadąc za czerwonym jagurem.

Zatrzymałam się po drodze, by zjeść śniadanie. Niedługo później przekroczyłam granicę Szkocji. Po południu, zmęczona długą jazdą, zatrzymałam się w motelu. Zjadłam wczesną kolację i położyłam się spać. Spałam dwanaście godzin bez przerwy. Obudziłam się świeża i wypoczęta, gotowa do kontynuowania podróży.

Wczesnym popołudniem dotarłam do Allosay, gdzie zatrzymałam się, by sprawdzić na mapie drogę. Skręt do Siedziby Falconów znajdował się około półtora kilometra za wioską. Na mapie droga do celu mej podróży zaznaczona była cieniutką kreską.

Dość łatwo znalazłam zjazd z głównej drogi. Znajdował się tam ponuro wyglądający hotel. Zjechałam z głównej trasy i ruszyłam wolno drogą, która wkrótce zwęziła się na tyle, że dwa samochody nie byłyby w stanie minąć się. Po chwili wyjechałam wprost na brzeg morza. Droga kończyła się

gwałtownie. Wsiadłszy z samochodu odkryłam, że dalej biegnie ona pod wodą, po grobli, na co wskazywały pale naprowadzające i przysadzista wieża ratownicza. W pobliżu stała wiekowa tablica, która informowała, że Siedziba Falconów jest terenem prywatnym, a goście, chcący odwiedzić rezerwat ptactwa, muszą listownie umówić wizytę z konserwatorem. Poniżej znajdowała się powyginana tabliczka z rozkładem przyływów, była jednak wyblakła i nieczytelna. Musiałam wracać do hotelu. Rozczarowana wśliznęłam się za kierownicę, zawróciłam mini i pojechałam z powrotem.

Parking przy hotelu Crown był pusty. Postawiłam samochód w pobliżu drzwi wejściowych i weszłam do wnętrza budynku. Wykładany ciemnym dębem hall był mroczny i opuszczony, tylko drgające światło neonu wskazywało wejście do sali klubowej. Wszłam do środka. Młoda kobieta za ladą przerwała lekturę magazynu i spojrzała na mnie. Uśmiechnęła się zachęcająco i spytała, czego sobie życzę. Zamówiłam piwo i kanapki. Przeszłam przez sklepione przejście do mniejszego pomieszczenia i usadowiłam się przy oknie. Kiedy barmanka przyniosła mi jedzenie zapytałam, o której godzinie grobla będzie przejezdna. Spojrzawszy szybko na zegar, stwierdziła, że będę musiała czekać przynajmniej godzinę.

Piwo prosto z beczki miało odpowiednią temperaturę, a kanapki, zrobione z domowego chleba i szynki, były wyborne. Siedziałam tam zaledwie parę minut, gdy przed budynkiem zatrzymał się autobus. Nikt nie wsiadał i nikt nie wysiadał. Kierowca zniknął na chwilę za hotelem, a następnie zaraz odjechał. Poczułam się jak na końcu świata i zaczęłam wątpić w słuszność swojej decyzji. Może jednak nie powinnam przyjeżdżać? W tym momencie przed budynkiem zatrzymał

się land - rover. Kierowca otworzył gwałtownie drzwi i wpadł do hotelu.

- Peggy - ryknął z wejścia - gdzie, do diabła, jesteś?

- Tutaj, panie Neil. - Barmanka wyłoniła się zza lady, skąd jeszcze przed chwilą dochodziły mnie odgłosy energicznej krzątaniny. Sięgnęła po wielki, cynowy kufel i napełniła go piwem.

- Muszę się napić - odezwał się mężczyzna. Usiadł na stołku i rozejrzał się dookoła. - Wynajmuję sekretarkę. Przyjechała już?

Widziałam go dokładnie, podczas gdy on nie mógł mnie dostrzec. Przesunął niespokojnie ręką po ciemnych włosach i wziął duży haust piwa.

- Tam siedzi jakaś młoda kobieta - Peggy wskazała w moim kierunku.

Mężczyzna podszedł do łukowato sklepionego przejścia i opierając się o ścianę, zapytał:

- Panna Arnold?

- Nie - odparłam.

Trochę zakłopotany przyjrzał mi się uważniej.

- Pani jest z agencji? - Nie.

- Ale pani musi być tą sekretarką. Obiecali, że przyślą mi dziewczynę - rzekł z rozdrażnieniem w głosie.

- Może przyjedzie później?

- Nie. To niemożliwe. Z dworca jest tylko jeden autobus.

Minąłem go, jadąc tutaj.

- Zatem musiała go przegapić.

- To oczywiste - odparł zimno.

Wrócił do kontuaru, usiadł na stołku i poprosił o jeszcze jedno piwo.

- To nie ta dziewczyna - powiedział.

- Ona jedzie do Siedziby - powiedziała barmanka, schylając się konfidencjonalnie nad ladą. - Pytała, kiedy będzie można przejechać na drugą stronę.

Mężczyzna chwycił kufel, podszedł do mojego stolika i usiadł naprzeciwko mnie. Miał brązowe oczy oraz nakrapiane złotem, proste brwi.

- Siedziba Falconów jest własnością prywatną. Jeśli zamierza pani zwiedzać...

- Nie zamierzam.

Przyjrzał mi się uważnie. Obracając się, ujrzałam swoje odbicie w lustrze: ciemne, kasztanowate włosy, zielone oczy i mały, prosty nos.

Zaśmiał się gwałtownie i krzyknął:

- Pani jest z rodziny Falconów, czyż nie? Potwierdziłam.

- Mogłem się domyśleć! Pani musi być córką pana Andrew. Alistair mówił mi, że zaprosił rodzinę na ślub. Oczekują na panią?

- Nie pomyślałam, żeby ich powiadomić - rzekłam z podnieceniem w głosie.

- Dziadek bardzo się ucieszy z pani przyjazdu. Ale nie oczekiwałem zbyt ciepłego przyjęcia ze strony Francesci.

Odwróciłam głowę, podrażniona jego szczerością. Ubrał w słowa niejasny niepokój, który towarzyszył mi przez całą podróż.

- To chyba nie pana sprawa. - Miałam już dość tego wścibskiego intruza.

- Przepraszam - uśmiechnął się. - Pani dziadek jest moim bardzo dobrym przyjacielem. Mieszkam w Siedzibie. Nazywam się Neil Lamont. Jestem konserwatorem rezerwatu ptaków.

Chciałam zadać mu wiele pytań, ale duma nie pozwoliła mi przyznać się do tego, że w zasadzie nie wiem nic o

Siedzibie i jej mieszkańcach. Wtedy Lamont, jakby uświadamiając sobie mój problem, zaczął mówić:

- Siedziba, długa na dwie mile i szeroka na jedną, jest naprawdę wspaniała. Jakieś czterysta lat temu potężny sztorm zalał nisko leżące tereny i oddzielił wyspę od lądu.

Pewnie myśli pani, że jest tam tak jak tutaj. - Jego ramię zakreśliło półkole w obejmującym gości. - Płaskie, kamienne plaże. W takim razie myli się pani. - Przerwał i spojrzał na mnie przenikliwie. - Nie powiem nic więcej. Sama pani zobaczy. - Spoglądał nieobecny wzrokiem przez okno, które znajdowało się za moimi plecami. - Kocham to miejsce. Wracam tu co roku - powiedział bardzo cicho, tak jakby obawiał się przyznać, że Siedziba wiele dla niego znaczy.

"Czy ja również pokocham tę ziemię?" - zadałam sobie pytanie.

- Czy Hugh przyjeżdża na uroczystość? - spytał Lamont po chwili.

- Hugh? - spytałam zaskoczona, nie oczekując takiej rewelacji. - Hugh przyjeżdżał...?

- Był w zeszłym roku - przerwał mi. - O Boże! Była niezła awantura. Francesca kazała mu się wynieść, a pani dziadek dostał ataku serca.

Zaczynałam nienawidzić Neila Lamonta. Pewnie myślał, że tylko taka ciamajda jak ja może nie wiedzieć, co dzieje się w jej własnej rodzinie. Jak kuzyn mógł tak kłamać? Nagle przypomniałam sobie, że przecież nigdy go o to nie pytałam. Ale po co tam jeździł? To, co mówił wtedy przy basenie, wydało mi się teraz bardzo podejrzanym. Wspominał o jakichś możliwościach. O co mu chodziło? Zaczynałam żałować, że byłam tak impulsywna i nie chciałam słuchać rad wuja Wilmota. Uświadomiłam sobie naraz, że stoję przed decyzją, której wagi nie jestem w stanie ocenić. Mogłam wracać do Driftings. Ciocia Jenny obroniłaby mnie przed gniewem wuja.

"Ale jeśli tak zrobię, to czy nie będę potem tego żałować?" - zastanawiałam się w milczeniu. Mój ojciec kochał Siedzibę Falconów. Chyba tak mocno, jak mocno moja matka nienawidziła tego miejsca. A czyż nie przysięgłam, że wyjaśnię tajemnicę jego śmierci?

Neil Lamont dotknął mojego ramienia i utkwiał we mnie wzrok. Uderzył mnie niepokój w jego oczach.

- Mówiąc poważnie, panno Falcon - zaczął - powinna pani dwa razy zastanowić się, zanim zdecyduje się pani jechać do Wielkiego Domu.

Jego słowa odniosły efekt podobny do rady wuja, czyli zwiększyły tylko moją determinację. Wydawało się śmieszne, że normalna rodzinna wizyta wzbudzała we wszystkich taką niechęć, może z wyjątkiem cioci Jenny. "Ale dlaczego właśnie ona namawiała mnie od tej wyprawy?" - pomyślałam niespokojnie. Przypomniałam sobie jej spojrzenie, gdy siedziałyśmy na ławce w ogrodzie. Powiedziała wtedy: "Kocham mego ojca... ale... ty musisz jechać". Czy miałam być kimś w rodzaju wysłannika? A może miałam służyć pojednaniu rodziny albo zdobyć dla ciotki jakieś informacje o tajemniczej śmierci jej brata?

Ciotka nie mówiła nigdy źle o Francesce, w przeciwieństwie do męskiej części rodziny. Zatem dlaczego miałam nieokreślone wrażenie, że boi się tej kobiety? Otrząsnęłam się z tych myśli i spojrzałam na Neila Lamonta. Wciąż mnie obserwował.

- Wszyscy próbują mnie powstrzymać - odezwałam się, nieco zbита z tropu jego natarczywym spojrzeniem. - Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

Poruszył się niespokojnie. Jego zatroskane spojrzenie ustąpiło wyrazowi twarzy, który był dla mnie niezrozumiały.

- Pan nie rozumie - kontynuowałam. - Chciałam tu już przyjechać od czasu, gdy wiele lat temu Hugh opowiedział mi

o dziadku. - Zawahałam się. - Pod wpływem jego opowieści Siedziba wydała mi się miejscem nieomal magicznym, a ponieważ moja matka nigdy nie chciała na ten temat rozmawiać, nabrałam przekonania, że ten dom jest nierealny jak bajkowa zjawia.

Wstałam. Bałam się, że za chwilę odkryję przed tym nieznanym wszystkim moje lęki i wątpliwości. Lamont nie poruszał się. Siedział dziwnie nieruchomo, jakby zbierał siły. Nagle wstał gwałtownie.

- Widzę, że jest pani uparta jak wszyscy Falconowie - powiedział. - Alistair zawsze cytuje rodzinne motto: "niech będzie, co ma być".

- Nigdy o tym nie słyszałam - powiedziałam, nie namyślając się. Zbyt późno przypomniałam sobie, że przecież nie chcę ujawniać swej ignorancji.

Uśmiechnął się z odcieniem wyższości. Rozłościło mnie to do tego stopnia, że byłam gotowa obrócić się na pięcie i odejść. W tym momencie spojrzałam na niego. To był błąd. Patrzył na mnie swymi zatroskanymi oczami. Nie mogłam się na niego gniewać.

- Niech będzie, co ma być - odezwał się nieco żartobliwie.
- Widzę, że jest pani zdecydowana. No cóż, życzę powodzenia. Mam tylko nadzieję, że nie będzie pani tego żałować.

- Nie widzę po temu żadnego powodu. - Uniosłam brodę, naśladowując arogancki gest cioci Jenny i z wysoko uniesioną głową wyszłam z hotelu.

Neil Lamont szedł tuż za mną. Odprowadził mnie do samochodu. Otwierając drzwi mego mini, doradzał mi troskliwie, bym podczas jazdy po grobli trzymała się w pewnej odległości za jego land - roverem. Uruchamiając silnik, nie mogłam pozbyć się myśli, że Lamont z pewnym rozbawieniem oczekuje mego pierwszego spotkania z

dziadkiem i Francescą. Postanowiłam, że gdy już na dobre rozgoszczę się w Siedzibie, będę unikać towarzystwa tego miłośnika ptaków.

Pierwszy przejazd przez groblę był dla mnie dziwnym doświadczeniem. Powróciły przerażające sny, które dokuczały mi w dzieciństwie. Stało się to bez wątpienia za sprawą opowieści mego kuzyna. W jakiś sposób zdołał wszczepić we mnie przekonanie, że grobla kryje jakieś nieznane niebezpieczeństwa, którym trzeba sprostać, by móc cieszyć się wspaniałościami Siedziby Falconów. Droga, którą tak niedawno oswobodziło morze, wiła się przede mną, lśniąc w jaskrawym, słonecznym świetle. Jechałam ostrożnie po połyskującym szlaku. Niechętnie cofające się wody zwieńczone były małymi falami, które od czasu do czasu rozpryskiwały się o koła mego samochodu. Gdy dotarliśmy na drugi brzeg, odetchnęłam z ulgą i rozejrzałam się z zaciekawieniem. Tuż za groblą droga zanurzała się w gęsty pas lasu, który był tak wysoki i rozłożysty, że światło słoneczne nie mogło przedrzeć się przez ścianę zieleni. Zniszczoną nawierzchnię pokrywały niebezpieczne wyboje. Jechaliśmy wolno pod górę i niedługo dotarliśmy do rozwidlenia. Skręciłam w prawo za land - roverem. Drzewa stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie dojrzałam rozświetloną polankę.

Tam właśnie zatrzymał się Lamont. Wsiadł i stanął obok samochodu. Osłonił dłonią oczy i patrzył przed siebie. Serce biło mi gwałtownie, gdy podszedłszy do niego, zobaczyłam w dole dom, w którym prawdopodobnie przyszłam na świat.

Długi i niski budynek przysiadł na skalistym cyplu. Zbudowano go z szaro - żółtych skał, które błyszcząły ciepło w przejrzystym powietrzu. Zielone pnącze porastało obudowane portykiem wejście. Za domem rozbłyskiwało

morze, a w oddali, na drugim brzegu, ciemnoniebieskie wzgórza zlewały się z nieco bledszym błękitem nieba.

- Jest naprawdę piękny - powiedziałam cicho, nie chcąc, by mój towarzysz dosłyszał.

Zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Powstał z krwi i potu niewolników, sprowadzonych na tę ziemię przez pani przodków.

Zepsuł tę urzekającą chwilę. Pierwszy zachwyty przyćmiony został przez ponurą przeszłość, która znowu powróciła, by stanąć przed moimi oczyma.

- Nie wierzę panu - napadłam gniewnie na Lamonta. Ale nawet w chwili, w której wykrzykiwałam te słowa, widziałam ich: ciemne, spocone ciała, brnące w górę plaży. Zamknęłam oczy. Nie mogłam znieść tego widoku.

- Hej! Wszystko w porządku? Nie chciałem pani zdenerwować. Myślałem, że zna pani historię Siedziby.

W milczeniu potrząsnęłam przecząco głową. Kto miał mi ją opowiedzieć? Na pewno nie matka, która nienawidziła Siedziby. Nie ze względu na przeszłość, lecz to właśnie tutaj odebrano jej szczęście. Ani nie ciocia Jenny. Była związana z tą wyspą, tu też się urodziła. Musiała się wstydzić niechlubnej przeszłości. A Hugh? On z pewnością by to zrobił, ale dopiero wtedy, gdyby był pewny niszczącego efektu tej wiedzy.

Lamont dotknął mojego ramienia.

- Dziewczyno, nie bierz sobie tego tak do serca. Zdarzyło się to dawno temu, ściśle mówiąc, gdzieś koło tysiąc osiemsetnego roku.

- Ale - powiedziałam - boli mnie to teraz. Zaśmiał się krótko.

- Oczywiście. Każde pozbawienie wolności jest okrutne i złe.

"A więc rozumie mnie" - pomyślałam, odwracając się do niego z uśmiechem. Ale nie zauważył tego. Patrzył na Wielki Dom z przerażającym skupieniem.

Dom był jak wymarły. Nie dochodził z niego żaden dźwięk, w pustych oknach nie można było dostrzec żadnego ruchu. "Martwy, zapomniany dom" - pomyślałam w popłochu. Nikogo tam nie ma. W tej samej chwili frontowe drzwi otworzyły się i jakaś kobieta wyszła na zewnątrz. Stała u szczytu schodów i osłaniając ręką oczy, spojrzała w naszym kierunku.

- Francesca? - spytałam. Lamont skinął twierdząco.

- To ona. Dziwna i niebezpieczna osoba. Hugh miał okazję przekonać się o tym.

Jego słowa brzmiały śmiesznie na tej gorącej i spokojnej wyspie. I gdybym nie była tak czuła na atmosferę tego miejsca, pewnie bym go wyśmiała.

- Co pan ma na myśli? - spytałam.

Nie odpowiedział. Dotknęłam jego ramienia. Oderwał wzrok od Francesci i spojrzał na mnie.

- Niech pani uważa, panno Falcon. Żli ludzie... - Przerwał. - Mój dom jest z drugiej strony Siedziby. Tylko parę minut samochodem. - Wskoczył za kierownicę land - rovera, uruchomił silnik i machnąwszy ręką na pożegnanie, odjechał.

Zostałam sama. Nie byłam w stanie ruszyć się, serce biło mi mocno. Znowu spojrzałam na kobietę, stojącą na schodach wiodących do domu mego dziadka. "Mam jeszcze czas, żeby się wycofać" - pomyślałam. Wiedziałam jednak, że tego nie zrobię. Gdy Francesca zaczęła schodzić ze schodów, wgramoliłam się za kierownicę i podjechałam wolno pod dom.

Wysiadłszy stanęłam z nią twarzą w twarz. Nawet najmniejszy uśmiech nie ożywił twarzy ani nie poruszył ust tej kobiety.

- Jestem Rosina - powiedziałam, wyciągając rękę.

- Dlaczego przyjechałaś?
- Zaprosiliście mnie. Na ślub - powiedziałam niepewnie.
- On cię zaprosił. Ja nic o tym nie wiedziałam.
- Ale - zaczęłam oszołomiona - sądziłam, że chcecie, bym... żeby rodzina... Musiałam przyjechać - przerwałam i dodałam gniewnie. - Nie wolno wysyłać zaproszeń, jeśli nie chce się kogoś zobaczyć.

- Francesca, kto to? - dobiegł nas z wnętrza budynku męski głos.

Francesca odwróciła się i weszła po schodach do Środka. Nie wiedząc, co robić, podążyłam za nią. Przeszłyśmy przez wyłożony czarno - białymi płytami hall i zatrzymałyśmy się u wejścia do pokoju. Nie chciała mnie przepuścić, nie mogłam również zajrzeć do środka.

- Przyjechała twoja wnuczka - powiedziała. - Córka Andrew. Lamont ją tu przywiózł. Kłamałeś, Alistairze. Mówiłeś, że nikt z nich nie przyjedzie... - zaczęła unosić się gniewem, ale i ja zaczęłam tracić kontrolę nad sobą. Jakże ta kobieta ma prawo, aby stać między mną a moim dziadkiem?

- Mogę odprawić ją - kontynuowała. - Jesteś przecież chory.

- Bzdura, kobieto. Nie jestem chory. Chcę, żeby tu była.

- Ale mówiłeś...

- Nieważne, co mówiłem - przerwał jej. - Przyprowadź ją do mnie.

Myślałam, że nigdy się nie poruszy. Niechęć Włoszki była jak skała, zagradzająca wyjście z jaskini. Wyjście na Światło. Do mego dziadka. Byłam tak podniecona, że chciałam ją odepchnąć. Jak śmie trzymać mnie w korytarzu?

Nagle odwróciła się.

- Alistair nie czuje się dobrze - powiedziała. - Proszę, uważaj, żeby się za bardzo nie wzruszał.

Głos miała cichy i bez wyrazu, wyczuwałam jednakże złość tej kobiety.

Odczekałam, aż przejdzie przez hall i dopiero gdy jej kroki zamarły w oddali, weszłam do pokoju.

Dziadek siedział w wózku inwalidzkim, naprzeciw drzwi.

- Wejdz, dziecko - powiedział. Podbiegłam do niego. Nasze spojrzenia spotkały się.

- Dziewczyna Andrew. W końcu.

Serce przestało mi na chwilę bić, gdy schylając się do pocałunku, ujrzałam jego zielone, zamglone z emocji oczy.

Chciałam go objąć, ale zamiast tego chwyciłam rękę, którą do mnie wyciągnął.

- Chciałeś dziadku, żebym przyjechała - wyjąkałam. Skinął głową.

- Czekałem na ciebie - rzekł, gładząc w zamyśleniu swą siwiejącą, kasztanową brodę.

- Jesteś chory... to znaczy, nie chcę, żebyś się przeze mnie denerwował.

- Nic mi nie będzie. Dodajesz mi tylko sił. Za parę dni podniosę się z tego przekłętą wózka. Jest we mnie jeszcze trochę życia - zaśmiał się głośno.

- A co mówi lekarz... - zaczęłam. Stary Falcon zachichotał.

- Przychodzi tylko na kieliszek domowej whisky, choć twierdzi, że musi sprawdzać chłopaka od fizjoterapii. - Ścisnął mocno moją rękę. - Jesteś taka jak Andrew. Ostatnio wiele o nim myślałem. Ten wypadek... - Przerwał. W tym momencie zrozumiałam, że i on miał wątpliwości. Jego pragnienie, by mnie zobaczyć, walczyło z jeszcze większą tęsknotą: chciał wgłębić się w tajemnicę śmierci swego syna.

Czekałam, aż skończy, ale tylko zagryzł wargi i westchnął.

- Tak dobrze cię widzieć. Witaj w Siedzibie Falconów, moje dziecko.

Byłam szczęśliwa. Wreszcie wróciłam do domu. W tej chwili wydało mi się, że słyszę jakiś dźwięk od drzwi, ale kiedy się obróciłam, nikogo tam nie było.

Dziadek westchnął ciężko i znowu wydawało mi się, że coś słyszę. Jakby wyszeptał ostrzeżenie: "uważaj", powtarzając rady Neila Lamonta. A może to moje niespokojne serce szeptało mi je do ucha?

Puścił moją rękę. Z korytarza dobiegły nas kroki. Stukot stał się głośniejszy i w drzwiach pojawiła się Francesca.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Nikt nie spał w tym pokoju od śmierci twego ojca - rzekła Włoszka. Odsunęła się na bok, bym mogła wejść i po krótkim wahaniu podążyła za mną. Nasze spojrzenia przyciągnął duży portret, który dominował w pomieszczeniu. Pierwszy raz widziałam obraz, który przedstawiał mojego ojca. W medalioniku w kształcie serca, który matka dała mi na krótko przed swą Śmiercią, znajdowała się tylko malutka fotografia jego twarzy z profilu. Nosila ten klejnocik, odkąd pamiętam. Kiedy zawiesiła mi go na szyi, był jeszcze ciepły. Czułam teraz na piersi jego ciężką obecność.

- Powiesiłam go tutaj. - Francesca wskazała portret. - Alistair nie mógł znieść jego widoku. Powiedział twojej matce, by go zabrała. Ale nie zrobiła tego, bo wiedziała... - Przez chwilę miała dziwny wyraz twarzy. Czyżby to był triumf? Ściszyła głos. - Był bardzo przystojny.

Uśmiechnęła się tajemniczo. Nienawidziłam jej, ponieważ ta kobieta wie o rzeczach, których ja nigdy nie poznam.

- Pozostawiłam ten pokój... tak... - Wyciągnęła ręce w wymownym geście.

Pomieszczenie było umeblowane prosto niczym kawalerka u młodego mężczyzny. Intuicja mówiła mi, że matka nigdy tu nie spała. Na staromodnym gzymsie nad kominkiem stał szereg srebrnych pucharów. Na ścianie wisiało zdjęcie klasy z college'u; jedna twarz była zakreślona. Na toalecie znajdował się brzydki kot z żółtej gliny, który miał wyszczerbione jedno ucho. Chciałam chwycić to brzydactwo i ogrzać ciepłem rąk popękaną glinę. Ale nieruchomy wzrok Francesci nie pozwalał mi się ruszyć.

Chciałam krzyknąć, by sobie poszła, by zostawiła mnie samą z mym ojcem. Gdzieś w tym pomieszczeniu wyczuwałam jego niejasną obecność. Postanowiłam, że muszę odnaleźć te nieuchwytnie ślady.

- Widzisz - odezwała się Francesca - sprzątam tu co tydzień. Poleruję wszystko na błysk, tak jak lubił. Wszystko na niego czeka...

Co chciała mi powiedzieć? Skąd знаła jego gusty? Przybyła tu jako pielęgniarzka mojej babci, a przynajmniej tyle mi powiedziano.

- Dlaczego to robisz? - spytałam. - Przecież wiesz, że nie wróci. On nie żyje...

Uniosła rękę.

- Zobacz, jak błyszczą te srebrne puchary. Dostał je w szkole. Jest tu jego imię. - Chwyciła jeden i przesunęła palcem po grawiurze. - Andrew Falcon - wymruczała - pływaniu.

Odłożyła ostrożnie przedmiot i wyszła z pokoju.

Byłam sama. Naraz zapragnęłam szaleńczo, by ktoś był blisko mnie. Lecz nie wiedziałam, kto to miałby być. Musiałby mnie kochać i wziąć za rękę. Drżąc usiadłam na łóżku. Ta kawalerka nie mogła obudzić wspomnień, których nie miałam. Ale coś tu wyczuwałam. Nie atmosferę miłości czy nienawiści. To było coś innego. To był strach.

Zerwałam się i otworzyłam szeroko okno.

Na zewnątrz gromadziły się, warstwa po warstwie, ciemne chmury. Lodowaty wiatr wdarł się do środka, wydymając zasłony. Duchy przeszłości zniknęły.

"Ta kobieta - myślałam, rozpakowując walizkę - żyje przeszłością." Ale dlaczego? Miałam wrażenie, że czas w tym domu zatrzymał się i w jakiś dziwny sposób dodało mi to otuchy...

Kolację tego wieczora zjedliśmy w jadalni. W czasie posiłku gwałtowny deszcz bębnił w szyby. Siedzieliśmy we trójkę wokół okrągłego stołu z mahoniem.

- Zrobił go niewolnik. Złamał nogę, schodząc na brzeg. Tutaj był i tutaj umarł - powiedział dziadek - wspaniała robota! - Uniósł obrus. - Spójrz!

Błat podpierały trzy nogi, pokryte kunsztownie wyrzeźbionymi głowami lwów. Zamknęłam oczy i ujrzałam czule obejmujące dłuto palce, które z uczuciem poruszały się po drzewie, wyczarowując symbol wolności, której autor tego arcydzieła może nigdy nie zaznał.

- Nie ma być z czego dumnym, Alistair - odezwała się Francesca.

Przez sekundę miałam wrażenie, że i ona nienawidzi niewolnictwa.

Wielokrotnie zdarzało mi się jeść posiłki w nieprzyjemnej atmosferze. Bywało tak zarówno w Driftings, jak i w domu starców mojej matki. Niestety, pierwsza kolacja w domu dziadka nie była wyjątkiem.

Było jasne, że mieli zwyczaj jeść szybko i w milczeniu. "Po co w ogóle im ten ślub?" - zastanawiałam się. Dano mi przecież niedwuznacznie do zrozumienia, że Francesca i tak jest już panią tego domu.

Po skończonym posiłku zaofiarowałam pomoc przy zmywaniu, ale Włoszka potrząsnęła tylko głową.

- Goście nie pomagają - odpowiedziała. Za wszelką cenę chciała, bym pozostała tylko gościem tego domu, niczym więcej.

- Chodź, chcę z tobą porozmawiać - wtrącił dziadek. Ruszyłam za jego samojezdnym wózkiem. Znaleźliśmy

się w małym pokoju z tyłu budynku. Okna wychodziły na morze, które unosilo się i opadało posępnie. Nawet najmniejszy biały grzywacz nie ożywiał ciemnej równiny.

- Usiądź, moja droga. - Dziadek ustawił swój wózek koło stołu. Miał pod ręką fajki i tytoń, ale zamiast tego zapalił kubańskie cygaro. Zaciągnął się. Gdy aromatyczny dym zaczął wypełniać pomieszczenie, zrozumiałam nagle, że mam teraz już pełny obraz jego osobowości.

- Zapalisz? - spytał, wskazując na ozdobne, srebrne puzderko na stole.

- Dziękuję, chętnie. - Palę tylko wtedy, gdy jestem głęboko poruszona, i to był właśnie taki moment

Obserwował mnie i wyraz mej twarzy musiał sprawić mu przyjemność. Uśmiechnął się lekko, a po chwili roześmiał się przyjaźnie.

- Mój mały spisek udał się, ha!

- Spisek?

- Tak, moja droga, spisek. Koniecznie chciałem zobaczyć przed śmiercią córkę Andrew. Ale twoja matka...

- Moja matka zmarła... - zaczęłam. Zamachał ręką, wypuszczając dym.

- Wiem. Współczułbym ci, gdybym potrafił. Ale nie potrafię. Trzymała cię z dala ode mnie przez wszystkie te lata.

Poczułam ciepło wokół serca. "Chce, żebym była blisko niego, potrzebuje mnie" - myślałam z radością. Te wszystkie stracone lata nie miały już znaczenia.

- Jenny pisze do mnie - ciągnął - wbrew temu nadętemu Wilmotowi.

- Ale - powiedziałam - wuj jest twoim prawnikiem. Dziadek parsknął.

- To nie ja go wybrałem. Twoja babka zrobiła to wiele lat temu, gdy byłem na morzu. Kiedy wróciłem, nie chciało mi się tego wszystkiego zmieniać. - Spojrzał na mnie uważnie. - Przypuszczam, że Wilmot zajmuje się sprawami twojej matki?

Potwierdziłam.

- A ten dom? No, twojej matki. Nigdy go nie widziałem, ale Jenny coś mi pisała. Został sprzedany?

- Jeszcze nie. Wuj czeka na potwierdzenie testamentu. Chce dobrze sprzedać całą posiadłość.

- A pieniądze?

- Matka i wuj byli współnikami.

- Nie przez parę ostatnich miesięcy. Wykupiła go. Spojrzałam na niego w zdumieniu. Miał coś niezwykłego w swych krystalicznie zielonych oczach. Patrzył na mnie nieruchomo. Czułam się jak zahipnotyzowana.

- Nie wiedziałaś. Tak też sądziłem.

- Wydawało mi się, że matka nie ma za dużo pieniędzy. Trzeba było płacić za moją szkołę, ubrania, wakacje.

- Manna spadła jej z nieba - zachichotał dziadek.

- Ty? - odezwałam się niedowierzająco. Doskonale wiedziałam, że matka nie tknęłaby jego pieniędzy.

- W określony sposób. Te pieniądze miał dostać Andrew. Wiedziałem, że twoja matka umiera.

- Ciocia nic mi o tym nie powiedziała! - Byłam zła. Przed oczami przesunął mi się obraz tygodni przed śmiercią matki.

- Nie smuć się, dziewczyno. Tak chciała. Była odważną kobietą - rzekł refleksyjnie. - Miała charakter. Nienawidziła mnie i umarła bez pojednania.

- Dlaczego? - krzyknęłam.

Zacisnął wargi i wykonał jakiś niezrozumiały gest.

- Nie martw się teraz tym, Rosina - po raz pierwszy użył mojego imienia. Domyśliłam się, że często musiał o mnie myśleć, powtarzając je na głos, by oswoić się z jego brzmieniem.

- Mamy inne problemy - dodał i gestem nakazał mi milczenie.

Drzwi otworzyły się i weszła Francesca. Niosła tacę. Zerwałam się, by zrobić miejsce na zaśmieconym stole. Postawiła tacę na nikogo nie spojrzawszy. Atmosfera w pomieszczeniu zmieniła się. Oczy dziadka straciły błysk, którym jeszcze przed chwilą mnie hipnotyzował. Zgasił cygaro i jego wzrok zatrzymał się na kobiecie, która tak pewnie i spokojnie usiadła obok niego.

Naląła kawy do filiżanek, dodając śmietanki i cukru do naczynia pana domu.

- Śmietanki? - Odwróciła się do mnie.

- Nie, dziękuję - odrzekłam. Uśmiechnęła się krytycznie.

- Nie przytyjesz w ten sposób - zaczęła. - Jesteś niespokojna. Zawsze pożadasz czegoś... - zamilkła, szukając odpowiedniego słowa.

- Nieosiągalnego - wyręczył ją dziadek.

- Lubię czarną kawę - broniłam swego wyboru, rozdrażniona cierpkimi uwagami Włoszki.

- Francescę bawi możliwość odczytywania ludzkich charakterów z ich kulinarnych przyzwyczajzeń. Jest niemądra...

- wzrok starego mężczyzny wciąż spoczywał na niej. Odwzajemniła spojrzenie. Zrozumiałam, że byłam w błędzie. Było pomiędzy nimi coś głębszego niż słowa. Znowu doświadczyłam tego nieprzyjemnego uczucia odcięcia, nieobecności, nieważności. Czułam ból w sercu.

"Wuj Wilmot nigdy nie zdoła rozdzielić tej pary" - pomyślałam z zadumą. Bałam się władzy, jaką ta obca kobieta posiadała nad mężczyzną, który obserwował ją teraz znad filiżanki kawy.

- Jakie to inteligentne - powiedziałam, przerywając delikatnie ciszę. - Ja nigdy nie rozumiem ludzi.

Z wahaniem oderwała wzrok od dziadka i popatrzyła na mnie. Jej oczy były duże i błyszczące. Nieruchoma twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Po prostu nie ufam ludziom - powiedziała. - Są fałszywi i niebezpieczni.

- Zatem musisz uważać - zaśmiałam się nerwowo.

Nie uśmiechnęła się. W oczach tej kobiety czaiło się wyzwanie, którego nie miałam najmniejszego zamiaru podjąć.

Dziadek z hałasem odstawił filiżankę.

- Zobaczymy, jaka ty jesteś inteligentna, Rosino. Jestem maniakiem szachów. Potrafisz grać?

Skinęłam twierdząco głową. W tym momencie byłam bardzo wdzięczna Hugh, że kiedyś nauczył mnie grać.

- Wspaniale - powiedział radośnie. - Francesca nie może się w tym połapać, a zmęczyło mnie ciągle wygrywanie z Lamontem.

Francesca wstała i przyniosła z szafki szachownicę i figury. Wziąwszy tacę, cicho wyniosła się z pokoju. Wiedzieliśmy, że jest niezadowolona.

- Ustaw figury - rzekł cicho dziadek.

Otworzyłam pudełko. Figury wyrzeźbione były z kości słoniowej i miały cudownie gładką powierzchnię. Część z nich była czerwona, a część biała. Rozstawiłam je na szachownicy i usiadłam. Tak zaczęła się nasza pierwsza partia, partia, którą zawsze będę pamiętać, gdyż był to początek przymierza. Właśnie wtedy ten stary mężczyzna zaakceptował mnie jako potomka swej krwi.

Pierwsze wrażenie pozostaje z reguły niezmiennie. W jaskrawym Świetle poranka, które powinno rozproszyć niepokoje poprzedniego wieczora, spacerowałam po Wielkim Domu z niejasnym oczekiwaniem, że w tych starych murach odkryję coś przerażającego. Było coś znajomego w tych pomieszczeniach, coś, co przypominało mi dom. Odnalazłam tu takie same ciężkie, wiktoriańskie meble i aksamitne zasłony, które zawsze wywoływały we mnie uczucie przygnębienia. Po pobieżnym obejrzeniu pokoi uciekłam z tego budynku. Nałożyłam grubą kamizelkę z wełny - poranek był bardzo zimny - i poszłam ogrodem w kierunku klifowego brzegu.

Gdy stanęłam na szczycie zbocza, ujrzałam poniżej wzburzone wiatrem morze. Ogromne fale atakowały z furją kamienistą plażę, rozpryskując się i zamieniając w delikatną

pianę... Zeszłam w dół po klifie, pokrytym niezliczonymi wlotami do płytkich jaskiń, niepokojąc przy okazji osiadłe tam ptaki, które poderwały się do lotu z ochrypłym krzykiem.

Z wolna zaczęła działać na mnie magia tego samotnego skrawka ładu, zasiedlonego i zachowanego w nie zmienionym stanie przez moich przodków. Podniecona zaczęłam biec po plaży. Wkrótce musiałam jednak zwolnić i poruszać się ostrożniej po zdradzieckich skałach. Wokoło krążyły miriady morskich ptaków. Parę gatunków rozpoznałam: czarnogłowe rybitwy, mewy i kuliki, ale inne widziałam pierwszy raz. Postanowiłam, że wypytam o nie Neila Lamonta. Byłam tak zamyślona, że nie spostrzegłam jego obecności do chwili, w której prawie nie potknęłam się o jego nogi. Siedział na kamieniu u wejścia do długiego i wąskiego wgłębienia w zboczu.

- Dzień dobry. - Opuścił lornetkę. - Wspaniały dzień - przesunął się, by zrobić mi miejsce.

- Mam nadzieję, że opowie mi pan o tych ptakach - zwróciłam się do niego. - Obawiam się...

- Chce pani zostać moją studentką? - przerwał mi dość obcesowo.

- Nieważne, sama się dowiem - odpowiedziałam, poirytowana jego autoratywnym tonem głosu.

- Niech pani nie psuje mi przyjemności. Uwielbiam opowiadać o moich ptakach.

- I tylko o tym. Zacisnął z irytacją usta.

- Przypuszczam, że dla nie wtajemniczonych muszę wydawać się dziwakiem, który obserwując ptaki, marnuje tylko czas. Ale piszę też książki, daję wykłady, robię filmy.

- Ależ oczywiście! - wykrzyknęłam. - Seria książek o ptakach Neila Lamonta.

- Słyszała pani o nich? - Wydawał się niezwykle zadowolony. Uśmiechnął się szeroko. - Czytała pani jakąś?

Potrząsnęłam głową.

- Nie miałam czasu interesować się ptakami.
Pomarkotniał.

- A chciałyby pani?

Wzruszyłam ramionami, pragnąc ukryć swój entuzjazm.

- Może! Trochę tu jeszcze zostanę. Do Liverpoolu wracam po ślubie.

- Liverpool. - Utkwił we mnie wzrok. - Pani chyba żartuje. To straszne miejsce.

- Lubię to miasto - powiedziałam zapominając, że moje pierwsze wrażenie nie było najlepsze. - Studiuję historię i archeologię na tamtejszym uniwersytecie.

- To o wiele ciekawsze niż ptaki.

- Nie powiedziałam tego. Zaśmiał się.

- Przepraszam za moje zachowanie. Ludzkie reakcje tak łatwo przewidzieć - rzekł sentencjonalnie.

Nagle poczułam do niego sympatię. Uśmiechnęłam się.

- Tak lepiej, panno Falcon.

- Mam na imię Rosina.

- Wiem. Alistair czytuje mi fragmenty listów Jenny. Nie może się ciebie nachwalić.

- Znasz ją? Ona jest najśłodsza, najżyczliwszą osobą...
Odwrócił wzrok.

- Znasz ją? - pośpiesznie powtórzyłam pytanie, gdyż nie odpowiadał. - Nie możesz jej przecież znać - zrobiłam to za niego. - Nie była tu od śmierci babki. A to było wiele lat temu.

- Znam ją tak, jak zna się postać w książce - powiedział cicho. - Bardzo się otwiera w swych listach. Pewnie myślisz, że Alistair nie powinien mi ich pokazywać, bo jestem obcy. Ale musiał się komuś zwierzyć, a nie mógł pokazać tych listów Francesce. - Zamilkł. Uniósł do oczu lornetkę, by śledzić lot mew. - Tak więc widzisz, Rosina, do pewnego stopnia znam cię.

Sądzę, że w tej chwili byłam wściekła na dziadka. Uważałam, że był niełojalny wobec mnie, ujawniając temu obcemu coś, co miało być tylko dla niego. Tymczasem Neil, jakby domyślając się moich uczuć, opuścił okulary i spojrzał wprost na mnie.

- Ale najciekawsze rzeczy będę musiał sam odkryć. Czekałam na to z niecierpliwością, Rosino Falcon.

Siedziałam bez słowa. Odczekał chwilę i znowu się odezwał.

- Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi. Wiem, że nie mogę się równać z Hugh...

Spojrzałam na niego, nieprzyjemnie zaskoczona. Co też ciotka napisała o moich stosunkach z kuzynem?

- Hugh nie jest taki wspaniały - odpowiedziałam rozzłoszczona.

- To dobrze - powiedział z uśmiechem. - Może pójdziemy na kawę? Mój dom jest tutaj, na górze. Kiedyś można było przejść tam przez Crying Cove.

- Crying Cove? - zdziwiłam się. Wskazał na wejście za nami.

- Nazywamy to Creole. W tym miejscu handlarze wysadzali niewolników i przeprowadzali ich tunelem do piwnic pod domem. Tam trzymali Murzynów do czasu sprzedaży.

Wzdrygnęłam się, rzucając spojrzenie na ciemny klif.

- Straszne. Czy ten tunel wciąż tam jest?

- Jest częściowo zasypany przez skały. Idziemy, Rosina - zeskoczył z kamienia i wskazał drogę pod urwiskiem. Wiodła tamtędy wąska, piaszczysta ścieżka, chroniona z góry przez przewieszkę. Idąc pod skałą, wypłoszyliśmy ptaki, które wyprysnęły ze zbocza z głośnym krzykiem. Po pewnym czasie dotarliśmy do dobrze wydeptanej dróżki, która wiodła na górę. Zatrzyma! się i wziął mnie za rękę.

- Uważaj! Po deszczu jest ślisko.

Nie potrzebowałam pomocy, byłam bowiem niezłą alpinistką. Nie chciałam jednak pozować na kogoś bardzo niezależnego, chwyciłam go więc mocno za rękę i tak doszliśmy do szczytu. Rozejrzałam się. Za moimi plecami rozciągało się morze, a przede mną stał dom Neila Lamonta. Od strony wyspy chroniła go skała, wyrastająca stromo za budynkiem.

- To pierwszy dom, który został tu zbudowany - odezwał się Neil, ruszając do przodu. - Jest starszy od Wielkiego Domu o dwadzieścia lat Brzydkie, stare miejsce. - Głos mego towarzysza był pełen uczucia i przywiązania.

Byłam skłonna zgodzić się z nim. Zniszczone ściany tej przysadzistej budowli nadawały jej charakter czegoś przynależącego do natury. Weszliśmy do środka przez obudowane kamieniem łukowate drzwi, wprost do dużego, skąpo umeblowanego pokoju.

- Ten pokój jest najwcześniejszy. Resztę dobudowano później.

- Mieszkasz tu sam? - spytałam. Spojrzał na mnie i zaśmiał się.

- Nie najlepsze miejsce dla panny młodej, co?

Nie wiem dlaczego, ale zaczerwieniłam się. Lamont zniknął w kuchni. Obeszłam pokój. W zimie musiało to być bardzo zimno, nawet wtedy, gdy rozpalono ogień w ogromnym kominku. Niski sufit i małe okna powodowały, że wewnątrz było dość ponuro, pomimo wiszących na ścianach kolorowych plakatów biur podróży. Podłogę częściowo pokrywały indyjskie dywany. W rogu stał wielki, zniszczony stół, zavalony książkami i papierami. Pośrodku królowała maszyna do pisania.

Lamont pogwizdywał. Weszłam do kuchni.

- Automatyczne. - Wskazał w kierunku elektrycznej kuchenki i bojlera. - Mamy własny generator. Zasila Wielki Dom, to miejsce i domek Corbinów.

Zaniósł dwa kubki kawy do dużego pokoju.

- Spotkałaś już Corbinów? - spytał.

- Na razie tylko panią Corbin. Dziadek mówi, że jest doskonałą kucharką. Dzięki niej wszystko w domu chodzi jak w zegarku.

- Racja. To skarb. Bill to świetny facet Całkowicie oddany Alistairowi. Zajmuje się samochodami i łodziami. Jeśli przyjedzie w końcu moja sekretarka, zamieszka z nimi. Niestety, zazwyczaj mogę załatwić dziewczynę najdłużej na dwa tygodnie.

- Są tu tylko trzy domy? - spytałam.

- Jest jeszcze pusty domek koło Corbinów.

- Nie czujesz się tutaj samotny?

- Niby dlaczego? - odrzekł krótko. - Bardzo lubię własne towarzystwo.

Poczułam się odtrącona. Skończyłam kawę i wstałam, gotowa do wyjścia. Już byłam spóźniona na lunch. Nie próbował mnie zatrzymać. Biegąc po wyboistej drodze do Wielkiego Domu, myślałam o jego klasztorным życiu.

W połowie drogi zauważyłam małą, kamienną głowę, która nieznacznie wystawała z wysokiej trawy na poboczu. Zaintrygowana zatrzymałam się. Zdołałam odcyfrować tylko jedno słowo: "Sam". W tym momencie usłyszałam trzask gałęzi. Wyprostowałam się gwałtownie. Zapadła cisza. Miałam jednak wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Zaniepokojona wróciłam na drogę i zaczęłam biec do domu. Gdy zbliżałam się do skraju lasu, dojrzałam siedzącego w wózku dziadka.

- Biegniesz, jakby goił cię diabeł - zawołał. Dobiegłam do niego, dysząc ciężko.

- Ktoś.. - zaczęłam.
- Gdzie? - zmarszczył brwi.
- Przy kamiennej głowie. Kto to jest Sam?
- Sam? - zawahał się. - Był niewolnikiem. Jedynym, który zmarł na wyspie. Dlaczego biegłaś?
- Nie wiem. Wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi.
- Bzdura - przerwał, po czym dodał w zamyśleniu: - To mógł być któryś z tych przeklętych reporterów. Jakiś głupiec zaczął rozpowiadać o jakiejś rodowej tajemnicy. Od tego czasu męczą nas dziennikarze, liczący na dobry artykuł.
- A czy jest jakaś tajemnica? - zapytałam. Zaśmiał się niepewnie.
- Oczywiście, że nie. Może byś się rozejrzała. - Wskazał w kierunku gęstych krzaków.

Przedarłam się przez poszycie... Z gałęzi poderwały się spłoszone ptaki. Moje wyteżone zmysły wyczuwały atmosferę zawieszenia, jakby cała natura wstrzymała oddech. W końcu natknęłam się na kryjówkę intruza, lecz znalazłam tam tylko podeptaną trawę i niedopałek papierosa. Śpiesznie wróciłam do dziadka i opowiedziałam mu wszystko.

- Miej oczy otwarte, Rosino - powiedział i poprosił mnie o popchnięcie wózka. - Boże, chciałbym już wydostać się z tego fotela - wymamrotał.

Zdołaliśmy przejechać tylko niewielki kawałek po nierównym gruncie, kiedy przed nami pojawiła się Francesca. Szła szybko, była bardzo poruszona.

- Alistair - zbliżyła się do nas - mówiłam ci wiele razy, żebyś nie wyjeżdżał tu wózkiem. To niebezpieczne. Coś ci się może stać. - Spojrzała na mnie wściekła. - A ty powinnaś to zrozumieć.

Gniew czynił ją jeszcze piękniejszą. Jej rozpalone policzki i miotające pioruny oczy podziały na starego Falcona.

- Nie chcę być traktowany jak inwalida - krzyknął. - Mogę już chodzić o lasce. I nie waż mi się krzyczeć na Rosinę. Wracала właśnie od Lamonta.

Odepchnęła mnie na bok i chwyciła uchwyty. Ruszyła do przodu. Pchała wózek po wybojach, nie dbając o bezpieczeństwo i wygodę starego mężczyzny.

- Nie tak szybko, kobieto - ryknął dziadek. - Co to, pali się?

- Tak - odpowiedziała. - Przyjechał Hugh. I powiem ci coś, Alistair. Nie chcę go w moim domu.

- Jeszcze nie jest twój - rzekł dziadek, po czym dodał cicho. - I może nie być.

Zatrzymała się gwałtownie, prawie wyrzucając go z siedzenia.

- Nie ośmielisz się wycofać swych przyrzeczeń! - Mówiąc spojrzала na mnie przelotnie. - Mam swoje prawa, Alistair. Czekałam długo i nic mi teraz nie przeszkodzi... I cokolwiek mówisz, Hugh Pevensey nie będzie mieszkać w tym domu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Hugh, całkowicie rozluźniony, siedział w gabinecie dziadka. Nogi miał skrzyżowane, głowę niedbale odrzuconą do tyłu, a na ustach budy uśmiech, którego tak nienawidziłam.

- Z zachowania tej pani wnoszę - wstał i wykonał wystudiowany gest w kierunku Włoszki, która stała za dziadkiem - że nie jestem mile widziany w tym domu.

Zapadła długa cisza. Poczułam pierwsze drżenie niepokoju. Właśnie starły się z sobą dwie silne osobowości, między którymi nigdy nie mogło być zgody. To małe pomieszczenie, tak bardzo męskie w swoim charakterze, stało się polem bitewnym. Nie było tu dla mnie miejsca. Nie miałam jednak odwagi wyjść, zresztą mój kuzyn na pewno i tak by do tego nie dopuścił. Hugh przerwał ciszę, zwracając się bezpośrednio do dziadka.

- Jestem twym jedynym wnukiem. Mam prawo tu być. - W małym pokoju jego głos brzmiał niewiarygodnie głośno.

- To jest mój dom - odpowiedział dziadek. - Ja tu ustanawiam prawa.

- A więc wciąż masz władzę w ręku.

- Ostrzegam cię, Hugh. Twoja bezczelność nie będzie... Nie dokończył. Kuzyn przeszedł przez pokój i stanął przy mnie.

- Zrobiłem tak jak Rosina. - Dotknął mego ramienia. "Czyżby próbował poróżnić mnie z dziadkiem?" - pomyślałam niepewnie.

- Myślałam, że popłynąłeś do Francji - wymamrotałam ze złością.

- Bez ciebie, droga kuzynko? Czy nie było to trochę nieuczciwe, wyjeżdżać tak bez słowa?

Nienawidziłam go w tej chwili bezgranicznie.

- Ta dziewczyna jest uczciwa - przyszedł mi z pomocą dziadek. - Nie pozwolę nikomu tak do niej mówić. Chcę, żeby tu była.

- Ale dla mnie nie jesteś już taki gościnny.

Dziadek podjechał do stołu i uważnie wybrał cygaro. Właśnie miał je zapalić, gdy wybiła pierwsza.

- Czy lunch jest gotowy? - zwrócił się do Francesci. - Jestem głodny. - Przerwał, a po chwili dodał: - Hugh zje z nami.

Włoszka stała wyprostowana, z wysoko uniesioną głową. Uniosła rękę, wskazując palcem na kuzyna.

- Alistair, nie usiądę z nim przy jednym stole. Wyglądała niesamowicie. Przypominała mi Kleopatrze,

Boadiceę i Lukrecję Borgię jednocześnie. Wszystkie te majestatyczne postacie skupiły się w tej córce ciepłych mórz.

Westchnęłam głęboko i spojrzałam, jaki efekt zrobiło to przedstawienie na mężczyznach. Twarz dziadka była pełna admiracji i miłości. A Hugh? Spojrzenie mego kuzyna było zimne i wyrachowane. Pewnie obliczał szanse wygranej. Jeśli chciał zostać spadkobiercą Siedziby, musiał z nią walczyć.

Tak zaintrygowała mnie ta scena, że całkowicie zapomniałam o swym niepokoju. Dopiero parę tygodni później zrozumiałam wagę tego zdarzenia. Sądziłam, że jestem tylko Świadkiem i nawet przez moment nie wyobrażałam sobie, że zostałam wciągnięta do konfliktu i stanę się centrum całej awantury.

- Bardzo dobrze, Francesca - powiedział stary mężczyzna. - Poproś panią Corbin, aby podała lunch. Rosina - uśmiechnął się do mnie - prowadź.

Włoszka nie poruszyła się. Idąc do jadalni, dosłownie przedefilowaliśmy obok niej. Dziadek zajął swoje miejsce i powiedział, bym usiadła obok niego.

- Nalej zupy, panienko - rzeki cicho. - Otwórz butelkę, Hugh, i siadaj tutaj. - Pokazał na trzecie krzesło, które było miejscem Francisci. Po raz pierwszy poczułam dla niej sympatię. Hugh ze znajomością rzeczy rozlał wino i chwycił łyżkę.

- Dostałeś mój list, dziadku? - spytał. - A może ktoś go przechwycił?

Stary mężczyzna nie odpowiedział. Nie patrzył na Hugh, jakby nie dosłyszał jego słów. Ale oczywiście nikt nie mógł nie dosłyszeć czystego i dźwięcznego głosu mego kuzyna.

- Potrafisz gotować, Rosino? - spytał dziadek.

- Matka upierała się...

- Tak, tak - przerwał mi. - Dobra kobieta. I taka dzielna. Znała swe obowiązki. Była taka śliczna - dodał. - Dobrze pamiętam ten dzień, w który Andrew ją tu sprowadził. Byli bardzo zakochani. - Ton jego głosu zmienił się, jak gdyby oczekiwał, że ktoś mu zaprzeczy. - Gdyby tylko Andrew żył! - westchnął.

Nie chciałam, by zaczął mówić o moich rodzicach w obecności kuzyna. Jakby domyślając się tego, przerwał i zwrócił się do Hugh -

- No dobrze, co cię tu sprowadza? - spytał.

- Twój ślub. Zakładam, że masz przyczyny, by zapraszać rodzinę? - Odczekał chwilę i dodał: - Ale jak dobrze wiesz, jest jeszcze inna rzecz.

- Nie ma o czym mówić - zareagował szorstko dziadek. - Już ci mówiłem, że ta sprawa jest zamknięta.

- Nie sądzę. - Oczy kuzyna zwięzły się. - Z pewnością rozumiesz możliwe...

- Nie jestem zainteresowany - przerwał dziadek. - Możesz o tym zapomnieć i wracać.

Byłam zafascynowana tą rozmową. "O czym mówili?" - zastanawiałam się. Cokolwiek to było, jeśli Hugh maczał w tym palce, w grę musiała wchodzić ciężka forsa.

Kuzyn zacisnął usta.

- To tylko kwestia czasu. Poczekam, aż odejdiesz. Po co się wysilać, gdy czas pracuje dla mnie.

Stary mężczyzna uciszył go, unosząc rękę,

- Nie myśl, że gdy umrę, to przejmiesz Siedzibę. Podjąłem pewne kroki.

Młody Pevensey zbladł. Oczy mu lśniły. Widziałam, że hamuje się z całych sił.

- Jak na przykład ślub z tą kobietą...

- Zamilcz! - wykrzyknął dziadek. - Jeszcze jedno słowo, a poproszę cię, byś opuścił mój dom.

Hugh uniósł kieliszek do ust i opróżnił zawartość. Sięgnął po butelkę i napełnił szkło najbardziej pogardliwym gestem, na jaki mógł się zdobyć. Gdy znów się odezwał, w jego głosie pobrzmiwał pojednawczy ton.

- Myślę tylko o pomyślności rodziny - powiedział. Wzdrygnęłam się. "Co za hipokryzja" - pomyślałam.

- Czy dziadek nie rozumie - kontynuował - że w ten sposób będziemy bogaci?

- I nieszczęśliwi - odrzekł stary Falcon, odkładając łyżkę.
- Gdyby twój ojciec żył... - zwrócił się do mnie z przejmującym smutkiem.

- Zapominasz - Hugh nachylił się nad stołem z jadowitym spojrzeniem - że to był plan drogiego wuja Andrew. To on mi opowiadał o wszystkim. Gdyby nie ten podejrzany wypadek, pewnie by cię przekonał.

Zerwałam się.

- Hugh, jak śmiesz! - Byłam przerażona. Ręce dziadka drżały.

- Nic mu to nie przeszkadza, moja droga Rosino. Jest tak samo gruboskórny jak nasi przodkowie, handlarze niewolników, i tak samo chciwy.

Podeszłam do roztrzęsionego starca i objęłam go. Na policzku mego kuzyna drgał mięsień. Gdy na mnie spojrzął, jego oczy były szklisto - zielone i bezlitosne.

W całym życiu nigdy tak się nie bałam. W jednej chwili ożyły moje skryte niepokoje. Odwróciwszy się do dziadka w poszukiwaniu oparcia, zobaczyłam, że strasznie zbladł. Usta drżały mu coraz bardziej.

- Sprowadź panią Corbin! - krzyknęłam na Hugh z przejęciem. - Dziadek jest chory. Na Boga, pośpiesz się.

Uniósł się błyskawicznie i wybiegł z jadalni.

- Nic mi nie będzie, panienko - wyszeptał stary Falcon. - Niepotrzebnie się z nim kłóciłem.

Do pokoju wpadła Liz Corbin.

- Wziął pan tabletkę? - zapytała.

Dziadek potrząsnął przecząco głową. Poszperała w kieszeni, odnalazła flakonik i wyjęła jedną pigułkę. Włożyła mu lekarstwo w usta i podała szklanekę wody. Nienaturalna bladość zaraz ustąpiła.

- Lepiej niech pan odpocznie - powiedziała pani Corbin. - Zawiozę go do gabinetu i zaraz wracam, panno Rosino.

Opadłam ciężko na krzesło. Nogi mi drżały, a gardło miałam suche i zaciśnięte. Wypiłam resztkę wina i po pewnym czasie poczułam się lepiej.

"Dlaczego nie posłuchałam rady wuja Wilmota?" - pomyślałam. Z daleka Driftings wydawało się bezpiecznym schronieniem. Ale Hugh był wszędzie, nie było przed nim ucieczki. Czyż nie zdawałam sobie sprawy, że prowadzi jakąś grę? Był zupełnie bezwzględny, a ja, głupia, sądziłam, że mam na niego wpływ.

Zamknęłam oczy i skryłam twarz w dłoniach.

Nie usłyszałam wchodzącej do pokoju Liz i gdy odezwała się, podskoczyłam przestraszona.

- Z dziadkiem wszystko w porządku? - spytałam.

- Wyjdzie z tego. Sam doprowadza do tych ataków. Ciągłe się wyklóca. Ale nie ma się czym martwić. Jestem do niego przyzwyczajona. - Zaczęła zbierać brudne talerze. - Szkoda dobrego jedzenia - utyskiwała. - No cóż, podam to na kolację. - Zatrzymała się w drzwiach. Miała dziwne, zamyślane spojrzenie. - Panno Rosino, nie mogę zająć się obojgiem. Przypilnuję pana Falcona, a pani niech pójdzie na górę. Francesca ma atak hysterii.

- Ja?! - osłupiałam, - Przecież nie będzie chciała mnie słuchać.

- Ona nikogo nie słucha. Nawet pani dziadka. Ale nie możemy jej tak zostawić.

Niechętnie poszłam na piętro i zastukałam do drzwi Francesci.

Wewnątrz zaległa cisza.

- Kto tam? - spytała po chwili drżącym głosem Francesca.

- To ja, Rosina. Mogę wejść?

Nie odpowiadała. Ponieważ drzwi nie były zamknięte, nacisnęłam klamkę i znalazłam się w środku.

Francesca siedziała przy oknie w wysokim fotelu. Surowe światło północy zimno oświetlało twarz Włoszki, spuchniętą od płaczu. Jej uroda, należąca do cieplejszych krain, była jakby nie na miejscu na tej skalistej ziemi. Współczułam tej obcej kobiecie, jednocześnie jednak czułam się intruzem. Nie było tu dla mnie miejsca. Nie miałam dla niej żadnych słów pocieszenia.

- On cię przysłał? - miała stłumiony głos. - Nie.

- Nie obchodzę go. Wiedziałam. Nie wybaczył... - zamilkła nagle, zwieszając głowę.

Przeszłam przez pokój i usiadłam twarzą do niej.

- Francesca, dziadek cię potrzebuje. To Hugh go zdenerwował.

- Hugh! - powiedziała cicho i jadowicie. - Hugh doprowadzi do jego śmierci. Ale ja nie pozwolę na to. Powiedz mu, że jeśli znowu przekroczy próg tego domu, to...

Spojrzała na mnie. Uniosła rękę i zacisnęła palce na gardle mego nieobecnego kuzyna... Zmroziło mnie. Poczułam słabość w nogach. Siedziałam bez ruchu, wytrzeszczając na nią oczy. Nagle zaczęła głośno łkać. Przeciągły szloch wstrząsnął całym ciałem Włoszki. Ukryła twarz w dłoniach. Nie mogłam się zmusić, by ją dotknąć lub w inny sposób pocieszyć. Wzbudzała we mnie niechęć. Pragnęłam stąd uciec, zatrzaszkując za sobą drzwi.

Jej słabość była jej siłą. Nie płakała nad sobą. Było to coś więcej. Było w niej zło, które objawiało się teraz w tym nieszczerym szlochu.

Pierwszego dnia na wyspie Neil sugerował, że Francesca jest zła. Nie wierzyłam mu wtedy, chciałam go pogardliwie wyśmiać. Ale teraz, w tym strasznym momencie, w przebłysku zrozumienia ujrzałam mękę serca tej kobiety i zrozumiałam, że Hugh napotka nieprzejednanego wroga. "Muszę go ostrzec" - pomyślałam. Wstałam. Natychmiast odsłoniła twarz.

- Idziesz?

Potaknęłam twierdząco. Wyciągnęła rękę. Musiałam odwzajemnić uścisk.

- Tu jest moje miejsce - powiedziała. - Pamiętaj o tym. Jeśli trzeba, będę walczyć z wami wszystkimi. I wygram.

Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Wyszarpnęłam rękę z jej dłoni i przeszłam przez pokój. Zatrzymałam się przy wyjściu.

- Hugh jest... - zaczęłam, ale uciszyła mnie gestem ręki. Zamknęłam za sobą drzwi i zbiegłam po schodach. Wypadłam przez drzwi wejściowe wprost w objęcia wiatru.

Na dworze świeciło słońce. Wyszłam z ciemności na światło. Byłam niespokojna.

W ogrodzie różanym znalazłam ławkę, podobną do tej z Driftings, na której siadywałyśmy z ciocią Jenny. Usadowiłam się na twardym drewnie marząc, żeby moja ukochana ciocia była przy mnie. Z pewnością umiałaby zaradzić tym wszystkim problemom, które rozdzierały naszą rodzinę. Wierzyłam w nią i ufałam, że z wszystkim da sobie radę.

Byłam tak zatopiona w myślach, że zauważyłam kuzyna dopiero wtedy, gdy usiadł przy mnie. Popatrzyłam na niego. Napotkałam nieruchomy wzrok młodego Pevenseya.

- Dziadek jest starym, upartym ostem. Czy wierzysz, że ten starzec wciąż się oszukuje? Myśli, że Andrew sadził tylko kwiatki i łapał motylki. A ty, moja słodka, niewinna Ros, ulubienico dziadziusia, też nic nie wiesz. Nic ci nie powiedzieli.

Serce waliło mi ciężko, jak zawsze, gdy ze mnie szydził. Nie chciałam słuchać jego słów. Pragnęłam uciec od tego złego człowieka. Lecz on chwycił mnie za ramiona i przyparł do ławki.

- Zostaw mnie - próbowałam się wyrwać. - Nikt cię tu nie chce. Idź sobie.

- Nie mam najmniejszego zamiaru wyjeżdżać, dopóki nie osiągnę celu. I nie myśl sobie, że będę cię oszczędzać, kiedy wszystko się zacznie. Zawsze ci się udawało. Mamusia broniła cię. Ale teraz jesteś sama. Jak sobie dasz radę, moja słodka?

Wyciągnął rękę i zerwał różę. Obejrzał ją w zamyśleniu.

- Przepraszam, Ros. - Położył mi różę na kolanach. - Nigdy cię nie skrzywdzę. Czyż czerwona róża nie jest

symbolem miłości? - zaśmiał się pogardliwie. Wstałam. Róża spadła na ziemię.

- Odrzucasz mnie? No cóż, będziemy musieli to zmienić, nie sądzisz? - Wstał i wziął mnie pod ramię. - Chodźmy. Tylko, na Boga, nie becz. Pokażę ci miejsce, w którym zakotwiczyłem jacht. - Ścisnął mocno moją rękę i nagle zwolnił uścisk. - To na wypadek, gdybyś mnie potrzebowała - dodał.

Było jasne, że Hugh dobrze zna wyspę. Poprowadził mnie przez ogrody, a następnie wąską, nierówną ścieżką przez las. Nic nie mówił. Szedł z opuszczoną głową, stąpając uważnie. Gdy się potykałam, nie zwracał na to uwagi. Ale przyzwyczaiałam się już do humorów kuzyna i potrafiłam je ignorować, zajmując się własnymi myślami.

Mijaliśmy bardzo interesujące okazy drzew. Wyniosłe, splecione gałęzie rzucały trudne do rozszyfrowania cienie. Las skończył się nagle, jakby jakaś potężna dłoń odrąbała kawał tej zielonej gęstwiny. Przed nami złociło się morze.

Hugh zwolnił, po czym zatrzymał się i oparł o pień dębu.

- Zapalisz? - Poczęstował mnie papierosem. Zaskoczona przyjąłem podarunek. Kuzyn nie pali i w każdej chwili gotów jest rozpocząć wykład na temat szkodliwości palenia. Podał mi zapalniczkę. Obserwował, jak się zaciągam.

- I co sądzisz o tym wszystkim, Ros? - zapytał.

- O co ci chodzi?

- Och, przestań. - Wpatrywał się w rozświetlone słońcem morze. - Uważasz, że dziadek ufa Francesce, czy nie?

- Sądzę, że dziadek ożeni się z nią - brnęłam. Zaciągnęłam się szybko i zaczęłam kaszleć. Hugh milczał, mówiłam więc dalej. - Kocha ją...

- Każdy głupi to widzi. A więc gdzie zaczynamy?

- Nigdzie, Hugh. Nie mamy prawa się wtrącać.

- Dość tego, Ros. Nie pora na grymasy. Stawka jest duża.

- Proszę, Hugh, nie rób problemów. Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Czy ty sobie wyobrażasz, że tak sobie odjadę i pozwolę jej wygrać?

- Ona wygra - odpowiedziałam spokojnie. - Nie zapominaj, że po ślubie będzie jednym z Falconów.

- Jeśli dojdzie do ślubu. - Twarz wykrzywił mu ten nienawistny i wyniosły uśmiech. Patrząc na niego, zrozumiałam strach, jaki zawsze wzbudzał we mnie ten mężczyzna.

Cofnęłam się instynktownie, ale Hugh, domyślając się moich zamiarów, chwycił mnie i przyciągnął do siebie, jakby chciał dać do zrozumienia, że we wszystkim, co się może zdarzyć, będziemy razem. Po chwili uniósł moją brodę i pocałował mnie w usta. Próbowałam wyrwać się z uścisku, ale trzymał mnie mocno. Oczy mu pociemniały. Zakreśliło mi się w głowie. Nie był to pocałunek kuzyna. Był to pożądliwy i natarczywy pocałunek kochanka.

- Hugh - westchnęłam ciężko, gdy uniósł głowę - puść mnie.

Uśmiechnął się i rozluźnił chwyt

- A ty, moja droga Ros, zamierzasz zrezygnować? Twój ojciec zginął...

- Przestań! - krzyknęłam. - To był wypadek.

- Sama w to nie wierzysz. Nie musisz udawać. Twoja matka opowiadała mi o wszystkim.

- Nie chcę niczego wiedzieć - skłamałam. Rozumiałam, że tym argumentem próbuje zmusić mnie do posłuszeństwa. - Kto mógł chcieć jego śmierci? - dodałam niepewnie.

Nie odpowiedział. Teraz, gdy mnie nie dotykał, zapragnęłam rzucić się w jego ramiona i błagać, by zapomniał o swych planach i zabrał mnie z tego miejsca. Bezwiednie zrobiłam krok w jego kierunku. Obserwował mnie z pogardą

w oczach. Cofnęłam się. Momentalnie zmienił wyraz twarzy. Wyjął z moich palców wciąż tłącego się papierosa, zgniótł go i wziął mnie za rękę.

- Spójrz. Tam zakotwiczyłem Sea Sprite.

Jacht znajdował się w centrum półkolistej zatoki. Skąpane w jaskrawym, słonecznym świetle pofałdowane wydmy i łąka brązowego piasku przywodziły na myśl samotną wyspę. Tylko szare, skrzeczące rybitwy zakłócały nieskończoną ciszę.

Rozglądając się wokoło, dostrzegłam dwa małe domki, o których przedtem opowiadał mi Neil. Jeden znajdował się na wzniesieniu, na wpół ukryty w drzewach. Wyglądał na zamieszkały. Za to drugi, leżący znacznie bliżej morza, bez wątpienia był porzucony. Smutne schronisko marynarza, który nie powrócił z rejsu.

- Corbinowie mieszkają w tamtej chacie - rzekł Hugh.

- A ten drugi domek...

- Pusty od lat.

Odwrócił mnie twarzą do siebie. W jego oczach uchwyciłam odblask tęsknoty.

- Uważaj na siebie - powiedział beztrósco, schylając się, by pocałować mnie w policzki. Ścisnął mi dłoń na pożegnanie i ruszył biegiem, brnąc przez wydmy.

Cieszyłam się, że odpływa. Cieszyłabym się jeszcze bardziej, gdyby nigdy już tu nie powrócił. Ale trudno było na to liczyć. Pomyślałam, że gdyby Francesca miała trochę oleju w głowie, to przyśpieszyłaby ślub. Zamierzałam nawet jej to zasugerować, ale pamiętając o jej niechęci do mnie, doszłam do wniosku, że na pewno posadzi mnie o złą wolę.

Postanowiłam wracać do domu, lecz obróciwszy się, stanęłam przestraszona. Parę metrów za mną stał niemłody mężczyzna i obserwował mnie uważnie.

- Panno Rosino - zawołał zbliżając się. - Nazywam się Bill Corbin. Moja żona mówiła mi, że jest pani bardzo

podobna do swego ojca. - Wyciągnął rękę. - Pan Hugh powinien zostać marynarzem, tak jak jego dziadek i wuj. Ma to we krwi.

Mechanicznie obróciliśmy się w kierunku morza, na którym kołysał się jacht mego kuzyna. Hugh dopłynął do niego pontonem i właśnie wchodził na pokład. Wkrótce żagle załopotały na wietrze i jacht zaczął halsować po zatoce.

- Zna swą robotę - w głosie Billa czuć było niechętny podziw. - Nie zrobiłbym tego lepiej, a pływałem przez trzydzieści lat. Ma pani ochotę na herbatę, panno Rosino? Nie lubię pić samemu, a poza tym z chęcią poznam córkę pana Andrew. - Stary marynarz z uczuciem wymawiał imię mego ojca. Miałam wrażenie, że spodziewa się, iż zmarły przed tyłu laty dołączy do nas, by wspólnie radować się smakiem dobrej herbaty. Zaczynałam odkrywać nie znaną mi stronę osobowości ojca. Podniecona ruszyłam za Corbinem do jego chaty, wierząc, że ten stary marynarz pomoże mi rozwikłać zagadkę, która sprowadziła mnie na wyspę.

Na pierwszy rzut oka pokój gościnny Corbinów przypominał muzeum. Bill najwidoczniej był zapalonym zbieraczem. W dwóch dużych gablotach znajdowały się przeróżne rzeźby, szkło ozdobne i porcelana.

- Niech się pani rozgości. - Zaprowadził mnie do wygodnego fotela. - Czajnik jest cały czas na ogniu. - Zniknął w kuchni. Za chwilę powrócił, niosąc mrożone ciasto. Postawił przysmak na stole.

- Żona jest dobrą kucharką - powiedział z dumą. - Nie ma nic lepszego niż domowy sernik. Nie mogę się od niego oderwać.

Był żyłastym chudzielcem. Silny kark wystawał z marynarskiego swetra, a krótko obcięte włosy odsłaniały odstające uszy. Podobała mi się jednak żywa twarz marynarza i błysk w jego oczach.

Poruszał się bardzo oszczędnie. Błyskawicznie rozlał herbatę.

- Myślałem, że mogłaby pani zostać naszą sąsiadką, panno Rosino - powiedział, stawiając przede mną filiżankę. - Stary domek pana Andrew stoi pusty od dwudziestu lat.

Spojrzałam na niego z rosnącym zainteresowaniem.

- Nie jest tam tak źle - ciągnął. - Po małym remoncie mogłoby być tam miło i schludnie. Lepiej nie malować od zewnątrz, bo będzie to przyciągać uwagę. - Mrugnął do mnie. Odciął duży kawałek ciasta i położył na moim talerzu.

- Jest umeblowany?

- Jako tako. - Rozejrzał się po pokoju. - Mógłbym pożyczyć parę rzeczy. Zrobi pani z tego miejsca przytulne gniazdko.

- Myśli pan...

- Dlaczego nie? - Chrupał w zamyśleniu ciasto. - Ona nie może pani tego zabrać - dodał po chwili.

Wiedziałam doskonale, o kogo mu chodzi.

Zaśmiałam się nerwowo.

- Może będzie zadowolona, gdy wyniosę się z Wielkiego Domu.

Przytaknął. Jego twarz była poważna.

- Chcę mieć panią na oku, panno Rosino. Robię to dla niego. - Wyciągnął rękę i podał mi oprawioną fotografię.

Bill Corbin niewiele się zmienił, a mężczyzna stojący obok niego w marynarskim mundurze już nigdy się nie zmieni. W sercu tego człowieka, który patrzył teraz na mnie w zamyśleniu, mój ojciec pozostanie na zawsze młody i przystojny jak w dniu, w którym zrobiono tę fotografię. Wiedziałam, że jeśli chcę odsłonić przeszłość, to jedyne pozostałe ślady odnajdę w pamięci starego Corbina i może w chacie, zamieszkałej kiedyś przez mego ojca.

- Zobaczymy ją - powiedziałam.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Neil! - zawołałam, pukając do drzwi konserwatora. Wewnątrz zamarł niepewny stukot maszyny do pisania.

- Wejdz. Otwarte.

W pokoju był straszny nieporządek. Podłogę zalegały książki i papiery, puste filiżanki i talerze zdobiły każde wolne miejsce, a niedopałki wysypywały się z popielniczek.

- Przeklęta agencja - wybuchnął Lamont. - Powiedzieli mi, że to nie jest odpowiednia praca dla młodej dziewczyny. Czy oni sobie myślą, że jestem gwałcicielem, czy co?

Rozglądał się wokoło. Oczy płonęły mu gniewem.

- O Boże - powiedział nagle - co za bałagan. Przepraszam, Rosina, ale miałem masę roboty.

Pół godziny później wszystkie naczynia były pozmywane i ułożone. Książki i papiery zostały uporządkowane, a ja dostałam pracę. Z rozbawieniem przyjmowałam gorące podziękowania Neila. Już z mniejszym zadowoleniem myślałam, co na to powiedzą w Wielkim Domu.

- Och! Jesteś aniołem - cieszył się mój szef. Zaśmiałam się.

- Bez przesady. Tak naprawdę przyszedłam po to, żeby się cię poradzić.

Usiedliśmy do posiłku. Neil zajął się kanapkami z dżemem, a ja popijałam mocną herbatę.

- Znasz ten domek koło Corbinów? - zapytałam. Potaknął.

- Podobno należy do mego ojca. Chcę tam zamieszkać, ale...

- Nie chce ci na to pozwolić - przerwał mi.

- Obawiam się, że moje plany wytworzyły złą atmosferę.

- Wcale się nie dziwię. Ona obawia się, że masz zamiar zostać na stałe, a to jej nie odpowiada.

Zastanawiałam się, dlaczego wszyscy mówią o Francesce ona.

Ja również nie mogłam swobodnie używać imienia tej kobiety. Gdy była blisko mnie, stawałam się nerwowa. Wolałam się trzymać od Włoszki z daleka, tym bardziej, że przez ostatnie trzy dni w Wielkim Domu panowała nieprzyjemna atmosfera.

Trochę wcześniej, w dniu wyjazdu Hugh, poruszyłam przy kolacji sprawę mojej przeprowadzki.

Dziadek uniósł gwałtownie głowę.

- Nie jesteś tu szczęśliwa? - spytał.

- Oczywiście, że jestem - odpowiedziałam zmieszana - ale myślałam...

Utkwił wzrok we Francesce, ta jednak zignorowała jego natarczywe spojrzenie. Nie chciała śpieszyć się z decyzją. Musiała mieć czas, by rozważyć wady i zalety mojej propozycji.

- A co na to Alistair? - wyrwał mnie z zamyślenia Neil.

- To jest właśnie problem. Od czasu, gdy wspomniałam o moich planach, Francesca nie daje mi porozmawiać z dziadkiem. Nie wiem, co robić, Neil. Może ty byś z nim porozmawiał?

Zerwał się i podszedł do okna. Zbliżyłam się do mego. Stałam tuż obok, czując bliskość męskiego ciała. Spojrzałam w dół i ujrzałam silne, sprawne ręce, rozłożone na parapecie niczym skrzydła ptaka.

- Naprawdę chcesz tam mieszkać?

- Muszę tu zostać do ślubu. A mam już dość Wielkiego Domu. To niesamowite - wzdrygnęłam się - ale w nocy słyszę jakieś dziwne dźwięki. Jak gdyby ktoś się skradał... i płacz...

- To tylko wyobraźnia płata ci figle. - Położył rękę na mojej dłoni. - Za dużo wyobraźni. Nie uciekniesz przed tym.

Napięłam się, nieprzyjemnie zaskoczona.

- Ona jest bardzo zdecydowaną kobietą - ciągnął dalej - i nie pozwoli, aby Falconowie ją wyrzucili. Jest taka jak Hugh.

Ale ty... - Zamilkł na chwilę. - Ty jesteś zbyt łagodna, zbyt delikatna. Łatwo cię zranić jak ptaka.

Serce waliło mi głucho, wzburzone śmiesznymi nadziejami. Nie sądziłam, że Neil jest tak wrażliwy. Ale gdy na niego popatrzyłam, jego wzrok błędził gdzieś z dala ode mnie, jak gdyby myślał o kimś innym.

- Dlaczego chcesz tu zostać? - zapytał.

Nie wiedziałam jak wytłumaczyć swoje uczucia. Nie chodziło tylko o to, że chciałam poznać okoliczności śmierci ojca, było w tym coś głębszego: chęć poznania i zrozumienia człowieka - Andrew Falcona. A tylko tutaj, w Siedzibie, mogłam tego dokonać.

- Mój ojciec... - zaczęłam.

- Nie - przerwał mi - zostaw przeszłość w spokoju. To był wypadek.

- Muszę być pewna.

- Głupio robisz, kopiąc w przeszłości. Możesz odkryć coś, czego nie należy ruszać.

- A czy jest coś do odkrycia?

- Skąd mam wiedzieć?

Wrócił do stołu i usiadł na krześle. Zdziwiła mnie nagła zmiana nastroju Lamonta. Nie rozumiałam, w jaki sposób śmierć mego ojca mogła go dotyczyć.

- Neil... - zaczęłam.

Popatrzył na mnie. Zaskoczył mnie wyraz twarzy młodego mężczyzny. Nie wiedziałam czy to ból, czy żal. Czułam, że coś nas łączy. Jakaś wspólnota uczuć czy pragnień. Nieświadomie poruszyłam się w jego stronę, ale on zeszywniał tak bardzo, że bałam się go dotknąć.

- Niech tak będzie, Rosie. Ale mówię ci, pożalujesz swej ciekawości. Lepiej zapomnieć.

Wstał, zwalając na podłogę stertę papierów.

- Czy coś jest nie w porządku? - spytałam, schylając się, by zebrać rękopisy.

- Wy, kobiety, jesteście wszystkie takie sarnę - jakiś nieprzyjemny ton pobrzmiwał w głosie Neila. Znieruchomiałam z rękoma zawieszonymi w powietrzu. Bałam się na niego spojrzeć. - Ciągłe ryjcie w przeszłości. Nic nie wróci życia nieżywym. Nic.

Obrócił się na pięcie i potykając się, wyszedł. Stałam zdezorientowana. Widziałam przez okno jak idzie w kierunku brzegu, a potem schodzi w dół klifu, na plażę. Gdy dobiegłam do zbrocza, był już na dole. Nie było sensu go ścigać.

Nie miałam zresztą na to ochoty. Jego wybuch poruszył mnie do głębi. Czy Neil miał rację? Czy powinnam zapomnieć o tajemnicy okrywającej śmierć mego ojca? Ale jakże bym mogła? Zawsze miałam wątpliwości, wzmacniane w dodatku latami przez zaskakującą niechęć matki do opowieści o ojcu.

W tym momencie przypomniał mi się mały incydent, który zdarzył się, gdy miałam dziewięć czy dziesięć lat. Był deszczowy dzień i bawiłam się wtedy samotnie na strychu. W starej walizce znalazłam parę obrazów. Wyjęłam płótna, by przyjrzeć się im w świetle. Bardzo się podnieciłam, gdy odkryłam na nich podpis ojca.

Ponieważ był to temat zakazany, obrazy wzbudziły moją ciekawość. W tym czasie wiedziałam tylko tyle, że Siedziba Falconów jest miejscem, gdzie żył mój dziadek i gdzie utonął ojciec. W subtelny sposób dano mi do zrozumienia, że wiąże się z tą wyspą jakaś tajemnica.

Jakże chciwie studiowałam te obrazy. Dzięki nim Siedziba stała się bardziej rzeczywista. Byłam tak zaabsorbowana moim odkryciem, że nie usłyszałam wchodzącej matki. Przestraszyłam się, gdy położyła mi rękę na ramieniu.

- Gdzie to znalazłaś? - zapytała.

Była zła. Jej błękitne oczy stały się fioletowe, a policzki zalał rumieniec.

Bez słowa wskazałam na walizkę. Odebrała mi płótna, schowała je z powrotem i zatrzasnęła zamki.

Błagałam, by mi ich nie odbierała. Ale nie zareagowała. Chwyciła torbę i powiedziała:

- Nie chcę, żebyś myślała o Siedzibie Falconów. Nigdy ci nie pozwolę tam jechać. Słyszysz mnie, Rosina? Obiecuj mi - prosiła błagalnym tonem.

Uparcie milczałam.

Zabrała obrazy i nigdy więcej ich nie widziałam.

- Precz - szepnęłam, próbując odgonić wspomnienia. Ale matka nie chciała odejść, domagając się dotrzymania obietnicy, która aczkolwiek nigdy nie wypowiedziana, zawsze była obecna.

Przybyłam do Siedziby, bo los tak chciał. Ale ja miałam wolność wyboru, w przeciwieństwie do niewolników, których serca zamierały, gdy bezlitośni handlarze uwozili ich ku tym nieprzyjaznym brzegom.

Obróciłam się i ruszyłam z powrotem. Żałowałam, że nie mogłyśmy porozumieć się ze matką. Gdyby tylko otworzyła przede mną serce, może mogłabym się stać jakąś pociechą w smutnym życiu wdowy po Andrew Falconie.

Znalazłszy się w domu, zauważyłam, że drzwi do gabinetu dziadka są uchylone. Wśliznęłam się do środka. Ku mej radości stał przy oknie i nigdzie nie mogłam dostrzec wózka. Zamknęłam cicho drzwi. Dziadek obrócił się z uśmiechem.

- Tu jesteś, moja droga. Popatrz na to - triumfował. Opierając się o laskę, przekuśtykał wolno przez pokój.

- Wspaniale! - krzyknęłam. - Dziadku, tak się cieszę. Stał dość niepewnie, ale miałam na tyle taktu, by nie zaoferować mu swojej pomocy. Po paru takich przemarszach

dziadek opadł na krzesło. Sięgnął po cygaro i zapalił. Rozsiadł się wygodnie, wypuszczając z zadowoleniem dym.

- Rozmawiałem z Billem o tym domku, twoim domku - rzekł wolno. - Powiedział mi, że jest już gotowy. Wiesz, Rosino, zawsze miałem nadzieję, że pewnego dnia zamieszkaż tutaj. Wolałbym co prawda, żebyś mieszkała ze mną, ale domyślam się, że chcesz być niezależna.

Kamień spadł mi z serca. Byłam mu tak bardzo wdzięczna.

- Wiele dla mnie znaczy to, że jesteś w pobliżu.

W tej chwili zrozumiałam, jak bardzo kocham dziadka. Miałam wielką ochotę wyściskać go, ale bałam się, że weźmie moje zachowanie za zbyt dziecinne.

Nagle poczułam, że klamka, o którą byłam oparta zaczyna się obracać. Odstąpiłam i otworzyłam drzwi. Przede mną stała Francesca.

- Co tu knujecie za moimi plecami? - spytała podejrzliwie.

- Knujemy! - odpowiedziałam. - Mówiąc szczerze, zachowujesz się śmiesznie. Prosiłam właśnie dziadka o zgodę. Chcę mieszkać w domku mego ojca. Będzie mi tam wygodniej, szczególnie teraz, gdy dostałam pracę.

- Pracę? Tu, w Siedzibie Falconów? Drażnisz się ze mną...

Potrząsnęłam głową.

- Neil Lamont potrzebuje sekretarki. Potrafię pisać na maszynie. Powiedziałam, że mogę u niego pracować i przyjął mnie.

- Okłamałaś mnie! - Francesca zwróciła się do starego Falcona. - Obiecywałaś, że nie przyjadą. A jeśli nawet przyjadą, to nie zostaną długo. Tymczasem ona chce tu zamieszkać.

- Ależ nie! - wtrąciłam z oburzeniem. - Drugiego października wracam na uniwersytet.

- Ale wrócisz! - w głosie Włoszki słychać było panikę.

- Czy to takie straszne? - Spojrzałam jej prosto w twarz.

Zmieszana, odwróciła wzrok. Usta jej drżały. Z niezrównaną gracją podeszła do dziadka... Wzięła starą dłoń i przytuliła do swego policzka.

- Nie chcemy jej tutaj, Alistairze. Jeśli zamieszka w tym domku, to przyjedzie tu Hugh i inni. Chcę, żebyśmy byli sami i bezpieczni - to ostatnie słowo wymówiła z naciskiem.

- Ze mną jesteś bezpieczna - mruknął dziadek. - Nie bój się, moja kochana.

Nabrała pewności i spojrzała na mnie.

- Słyszysz? Nie pozwoli mnie skrzywdzić. Miałam już zupełnie dość tej komedii.

- Robisz z igły widły - powiedziałam. - Kto by chciał cię skrzywdzić?

Wypowiadając te słowa, uprzytomniłam sobie, że nie mam racji. Hugh, bez wątpienia, nie żywił do niej przyjaznych uczuć.

A Neil Lamont? Taki tajemniczy, również chyba nie czuł sympatii do Włoszki. Pomyślałam o Corbinach. Bill nawet nie próbował udawać, że ją lubi. A czyż wuj Wilmot nie przysięgał, że nie dopuści do ich ślubu? A co z ciocią Jenny? Co ona sądziła o tym wszystkim?

- Jesteś mądrą dziewczyną, Rosino - wtrąciła Francesca, jakby podejrzewając, o czym myślę. - Powiem ci coś. Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. Nie jestem sama, czyż nie, najdroższy Alistairze? - Przygwoździła mnie wściekłym spojrzeniem i wyniosła się z pokoju.

- Phi - odpreżyłam się. - O co jej chodzi? Stary Falcon wypuścił dym z ust.

- Jest więźniem swojej przeszłości - zaczął. - Uważa, że nie ma dla niej szczęścia na tym świecie.

- To głupie...

- Nie, moja droga Rosino. Jesteś młoda, a twoja rodzina nigdy nie pozwalała cię krzywdzić. Życie mojej Francesci pełne było przemocy, podejrzeń i strachu. Cierpiała w przeszłości i teraz boi się.

Zamilkłam zawstydzona. Jednak gdy później o tym myślałam, namiętne słowa dziadka niecałkowicie mnie przekonały, Jakiś fałsz tkwił w tej kobiecie. Grała. Ubierała maskę, by skryć swą prawdziwą twarz, ale to w żaden sposób nie zmieniało jej charakteru. Była wojownikiem. Nie zamierzała dopuścić do tego, by Falconowie zagrozili jej planom. Gdybym była zmuszona opowiedzieć się po którejś stronie...

Tego dnia już jej nie widziałam. Spakowałam bagaże i zaniiosłam do mini.

- Będę przychodzić codziennie - obiecałam dziadkowi. - Musisz przecież w końcu ze mną zagrać w szachy.

Zmarszczył brwi i wziął mnie za rękę.

- Będzie mi ciebie brakować. Ale tak jest najlepiej. Uważaj na siebie, mała panienko.

W podnieceniu zbliżałam się do nowego domu. Nie miał swojej nazwy, ale sądzę, że miejsce, gdzie nie przynoszą poczty, nie potrzebuje czegoś takiego.

Mimo tego, pewnego dnia zamierzałam uroczyście go nazwać. Zaparkowałam na płaskim kawałku gruntu w pobliżu i zaniiosłam torby pod drzwi. Wokół domu nie było ogrodu. Pofałdowane jak fale, piaskowe wydmy wspinały się po ścianach, powstrzymywane przez dziko rosnącą piaskownicę. W nie zasypanych miejscach kłębiła się splątana roślinność, przypominająca rabarbar i dziki łubin.

Otworzyłam drzwi i wkroczyłam do mego królestwa. W skrzyni z zapasami, którą dała mi Liz, znalazłam herbatę. Nalałam wody do czajnika i rozejrzałam się po moim gospodarstwie. Pokój gościnny umeblowany był skąpo - tylko stół, krzesła i kredens. Wnętrze nie było zbyt przytulne. Zdecydowałam, że zaraz kupię poduszki, zasłony i dywan.

Zaparzyłam herbatę i właśnie miałam nalewać, gdy do drzwi zapukał Bill. Wpuściłam go do środka.

- A więc przekonała pani dziadka. Spodziewałem się, że tak będzie. Liz mówiła mi, że wietrzy pani pościel. Pomyślałem, że zechce pani to pożyczyć. - Podał mi fotografię, na której był razem z ojcem. Już mi ją kiedyś pokazywał.

- To miło.

- Cieszę się, że córka pana Andrew powróciła do Siedziby. Jest jeszcze herbata?

Przyniosłam dodatkową filiżankę z podstawką i ciasto. Usiedliśmy razem przy stole.

- Wspaniale, że wróciła pani do tego domu. Tu się pani urodziła - rzekł w zamyśleniu.

- Myślałam... - zaczęłam, zaskoczona.

- Wielki Dom? Nie. Pani rodzice mieszkali tutaj. Nie zdążyliśmy do szpitala. Na szczęście Liz zna się na rzeczy.

- A więc jestem w domu. Przytaknął.

- Proszę tylko nie przyzwyczajać się za bardzo do tego zakątka. - Jego twarz naraz spoważniała. - To zapadła dziura. Dobra tylko dla takich jak ja czy pani dziadek.

- A dla Neila Lamonta?

- On przyjeżdża i wyjeżdża. Nie ma tu korzeni, jak Falconowie. Ale mimo tego bardzo kocha wyspę.

Szczęście rozkwitało w moim sercu. Na chwilę zapomniałam o kuzynie i Francesce. Siedziba wydawała się rajskim zakątkiem. Postanowiłam, że będę często odwiedzać

to miejsce, tak jak Neil. I najlepiej wtedy, kiedy on też będzie. Miałam nadzieję, że wyspa stanie się częścią mego życia.

Ten stan euforii trwał aż do wieczora. Tej nocy po raz pierwszy śnił mi się ojciec. Stał w pewnej odległości ode mnie. Kiedy się obudziłam, wyciągnął ramiona. Nie byłam w stanie ruszyć się. Otworzyłam usta, by go zawołać, ale żaden dźwięk nie wydobył się z mojego gardła. Gdy walczyłam z własną niemożnością, postać ojca zaczęła oddalać się. Widziałam jak biegnie przez ciemny tunel, na końcu którego świeciło jaskrawe światło. Nagle zatrzymał się.

Obrócił się i uniósł ramię. Obudziłam się w środku nocy, ze spoconymi dłońmi i ciężko bijącym sercem.

Ten sen prześladował mnie przez cały następny dzień. Próbowałam wyzwolić się spod jego czaru, rozmyślając o Neilu. Pragnęłam, żeby ten młody mężczyzna trochę się mną zainteresował i zwrócił uwagę na to, że jestem kobietą, a nie tylko kumplem. Ale wszystko na próżno. Ciemny tunel, jaskrawe światło i biegnąca postać wciąż powracały. Nie mogłam ojca wyrzucić z pamięci.

Tego dnia powrócił Hugh Pevensey.

Kiedy wreszcie wygrzebałam się z rozbebeszonego łóżka i wyjrzałam przez okno, Sea Sprite kołysał się na kotwicy pośrodku zatoki.

"Do diabła" - pomyślałam, wyginając szyję, by dojrzeć kuzyna. Lepiej zawsze wiedzieć, gdzie on jest. Ledwo zdołałam ubrać się, gdy usłyszałam pukanie. Rzuciłam się do drzwi. Na schodach stał Bill.

- Wrócił.

Wetknęłam wtyczkę od czajnika do gniazdka i ukroiłam parę kromek do tosterka. Bill był w głównym pokoju i stamtąd dobiegł mnie jego głos.

- Płynie.

Podeszłam do okna. Obserwowaliśmy z Corbinem, jak ponton zbliża się do brzegu. Z łodzi wyskoczył jakiś drugi, obcy mężczyzna. We dwójkę wciągnęli ponton poza zasięg przyływu.

Poruszyłam się, by zawołać Hugh, ale Bill powstrzymał mnie.

- Jeśli nie pójdzie do Wielkiego Domu, to się nie dowie, że pani tu mieszka.

- Na pewno zobaczy się z dziadkiem. Corbin potrząsnął głową.

- Wątpię.

- Ten drugi człowiek - powiedziałam z wahaniem.

- Znam go - powiedział ponuro. - Myślałem, że wziął sobie do serca nasze ostrzeżenie. Miał się trzymać z daleka od Siedziby.

- Ale jeśli jest przyjacielem Hugh... to znaczy - zawahałam się.

- Przyjaciel! - parsknął stary marynarz. - To nieprawdopodobne. Pan Hugh wykorzystuje go. Jeśli coś zginie, to pewnie ten chłopak będzie złodziejem. Znamy go tu.

- Po co tu przyłynęli? Wzruszył ramionami.

- Wiem tyle, co pani. Ale nie ma się czego bać. Dowiem się.

Idąc do Wielkiego Domu, zastanawiałam się nad słowami Corbina. Nie widziałam nigdzie znaków obecności kuzyna i jego towarzysza. Postanowiłam nic nie mówić dziadkowi o jego powrocie. Nie było sensu niepokoić starego człowieka.

Następnego ranka Bill zaproponował, że pokaże mi skrót do domku Neila. Spodziewałam się nieśpiesznej przechadzki, ale on gnał jak mistrz olimpijski w chodzie. Ścieżka wiodąca po klifie unosiła się gwałtownie na skałach zaraz za Wielkim Domem. Jacht Hugh wciąż unosił się na falach pośrodku

zatoki, a ponton tkwił na plaży. Mimo tego mój kuzyn był nieuchwytny. Najwyraźniej unikał nas.

- Ciekawe, gdzie jest Hugh - zastanawiałam się głośno.

- Wiem, gdzie jest - powiedział Corbin. - Później zobaczę, co robi.

- Niech pan uważa - zawołałam, gdy się rozdzielaliśmy.

Stanął na ścieżce, spojrzął do tyłu i pomachał do mnie.

Lamont nigdy nie zamykał drzwi. Duży pokój był lodowaty. Panował tu taki sam nieporządek jak ostatnim razem. Zebrałam brudne naczynia i włożyłam je do umywalki w kuchni.

Na maszynie do pisania zostawił kartkę. Napisał, że jest na plaży i wraca za godzinę. Z boku maszyny znajdowała się sterta starannie poukładanych papierów. Neil był bałaganiarzem, ale nie wtedy, gdy chodziło o jego pracę.

Charakter pisma tego miłośnika ptaków był staranny i przejrzysty. Usiadłam, by wziąć się za przepisywanie. Wkrótce praca pochłoneła mnie, gdyż Neil pisał bardzo wciągająco. Całkowicie zafascynował mnie tryb życia petrela burzowego. Jest to jeden z najmniejszych ptaków morskich. Buduje swe gniazda w niedostępnych szczelinach klifów, gdzie nie musi się obawiać nawet najdzikszych sztormów. Tamże w spokojne, majowe dni samiczka składa jedno białe jajko z czerwonymi cętkami.

Słowa, jakich używał Neil, niedwuznacznie wskazywały na jego szczerść i uczciwość. Zaczynałam dostrzegać inną stronę jego charakteru. Pisząc o ptakach, nieświadomie ujawniał część swojej osobowości. Dla przypadkowego czytelnika nie byłoby to widoczne, ale dla kogoś, kto go lubił... Przerwałam pracę. Byłam wściekła. Nie chodziło mi przecież o "lubić"; "znać" - to było właściwe słowo. Skąd się wzięło to "lubić"?

Pisałam bez przerwy dwie godziny. Przerwałam na chwilę, by rozprostować się i wypić kawę. Uderzyła mnie cisza, która panowała w pomieszczeniu. Wyszłam na zewnątrz. "Gdzie jest Neil?" - pomyślałam niespokojnie. Musiały minąć już trzy godziny od czasu, gdy wybrał się na plażę. Dlaczego więc nie wraca? Stanęły mi przed oczami obrazy zdradzieckich zejść, wiodących w dół zbocza. Wyszędłszy na zewnątrz, uświadomiłam sobie, jak odosobniony jest ten zakątek. Rozejrzałam się dokoła. Dostrzegłam coś w drzewach nad Crying Cove - jakiś ruch czy błysk białości. Westchnęłam z ulgą, sądząc, że to wraca Neil. Odczekałam parę minut. Nic się nie zdarzyło. Mój niepokój zmienił się w strach.

Pobiegłam do miejsca, gdzie, jak mi się zdawało, coś widziałam. Nikogo tam nie było. Wiedziona instynktem podeszłam do skraju urwiska nad Crying Cove i spojrzałam w dół. W pierwszej chwili wydawało mi się, że ciemny, wklonowany w skały kształt, to wyrzucone przez morze jakieś szczątki. Ale gdy się uważniej przyjrzałam, dziwny przedmiot nabrał ludzkich kształtów.

Rzuciłam się szaleńczo, by szukać zejścia na plażę. Niestety, nie znalazłam żadnej ścieżki. Skalista ściana opadała gwałtownie w dół. U podnóża powierzchnię urwiska pokrywały niezliczone występy i nierówności, które powstrzymały spadek ciała.

Znałam tylko jedno zejście. To, po którym prowadził mnie Lamont pierwszego dnia. Ruszyłam biegiem.

Jeszcze nie dobiegłam do ciała, a wiedziałam już, że to Neil. Leżał na wąskiej półce, która wystawała z prostopadłego zbocza. Spadając zaczepił ramieniem o kawałek ostrej skały i to uratowało go przed dalszym upadkiem. Ale teraz kończyzna mężczyzny była wygięta w nienaturalny sposób.

Nigdy przedtem nie czułam się tak bezradna i przestraszona. Wspięłam się na występ, znajdujący się tuż pod ciałem. Miałam nadzieję, że nie dopuszczę w ten sposób do dalszego upadku. Jednakże zupełnie nie wiedziałam, jak sprowadzić go na plażę, nie powodując kolejnych zranień.

Gdyby tak pobiec po pomoc...

Wzdrygnęłam się. Dokoła nas cicho krążyły ptaki.

Musiałam go jakoś ocucić. Metr lub dwa pode mną na skale utworzyła się mała kałuża. Zeszłam niżej i nasączyłam chustkę zimną, słoną wodą. Delikatnie otarłam czoło rannego. Po paru sekundach powieki mężczyzny zatrzepotały. Jęknął.

- Och, Neil... - "Dzięki Bogu" - pomyślałam.

- Rosie... - Spróbował się poruszyć. Usta wykrzywił mu ból.

- Mam biec po pomoc? Wytrzymasz?

- Nie... stój. Poczekaj!

Z niecierpliwością przesunął nogi. Krzyknął z bólu, próbując poruszyć zwichniętym ramieniem. Wspięłam się na występ obok niego.

- Muszę przesunąć twoją rękę. Skinał aprobujaco głową.

- Postaram się zrobić to bezboleśnie.

Tak delikatnie, jak to było możliwe, uwolniłam jego ramię. Usłyszałam pełen cierpienia wdech rannego... Pot perlił się na jego czole. Wytarł słone krople.

- Pomogę ci zejść. To tylko mały kawałek.

- Zaraz - szepnął - tylko odetchnę.

Centymetr po centymetrze zaczęliśmy przesuwać się w dół.

Nie znoszę tych wspomnień. Schodzenie ze zbocza wryło mi się głęboko w pamięć. Gdy w snach powracają te nieprzyjemne przeżycia, często budzę się, krzycząc w przerażeniu.

- Jesteś taki dzielny - dodawałam mu otuchy, kierując zdrową rękę i stopy mężczyzny w miejsca, gdzie mógł się bezpiecznie oprzeć. - Już niedługo - powtarzałam raz za razem - tylko parę centymetrów.

Znalazłszy się na plaży, ruszyliśmy wolno do domku. Opierał się o mnie prawie całym ciężarem.

W domu szybko zrobiłam herbatę. Do filiżanki rannego dosypałam dużo cukru. Kiedy pił, podjechałam land - roverem pod drzwi wejściowe. Waśnie wtedy przypomniała mi się grobla. Nie miałam pojęcia, czy będzie można teraz przejechać. Zrobiło mi się zimno na myśl, że nie będę mogła natychmiast zawieźć go do szpitala.

- Przejedziemy teraz na ląd? - spytałam Neila. Wskazał na rozkład pływów, który wisiał na ścianie. Z ulgą odkryłam, że za dwadzieścia minut droga będzie wolna.

Wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy powoli po wyboistej drodze. Gdy dotarliśmy do przejazdu, odpływ już się zaczął.

- Zaryzykuj, Rosie. - Twarz rannego była popielata.

Wrzuciłam pierwszy bieg i rozpryskując ustępujące wody, wjechałam na groblę.

Najbliższy szpital znajdował się w Lochair, piętnaście kilometrów od Siedziby. Kiedy znaleźliśmy się na głównej drodze, przyspieszyłam. Starłam się jechać jak najszybciej, próbując jednocześnie unikać większych wstrząsów.

Pamiętam tylko fragmenty tego nie kończącego się popołudnia. W szpitalnej poczekalni czas włókł się niemiłosiernie. Jedynie mała, piegowata pielęgniarka ożywiała te godziny, wciąż przynosząc nie chciane filiżanki herbaty i słowa pocieszenia. Dopiero gdy złamane ramię zostało złożone i Neil znalazł się w izolatce, zgodziłam się wracać.

Byłam strasznie zmęczona. Do przyływu pozostało jeszcze dużo czasu. Postanowiłam zatrzymać się w hotelu Crown. Miałam ochotę na coś gorącego.

Zmierzchało. Słoneczna świetlistość dnia oddawała ciemności intensywny błękit nieba i krystaliczną przejrzystość morza.

W hallu panował półmrok. Podświetlany znak, wskazujący drogę, wznosił się nad ciemnym pomieszczeniem niczym latarnia.

Zbliżałam się do drzwi wiodących do baru i stanęłam jak wryta. Serce zaczęło mi bić szybciej, choć scena, którą ujrzałam, nie powinna spowodować takiej reakcji.

Przy stole, plecami do drzwi siedział Hugh. U jego boku znajdował się młody mężczyzna, którego widziałam razem z kuzynem na plaży. Przed nimi rozsiadł się starszy, łysiejący człowiek o ostrych rysach twarzy, który dźgał ołówkiem leżący przed nim kawałek papieru. Byli pochłonięci rozmową. Bez wątpienia dyskutowali o interesach.

Wycofałam się po cichu. Nie zauważyli mnie. Jadąc groblą, zastanawiałam się nad konsekwencjami spotkania, którego właśnie byłam świadkiem. Nie miałam wątpliwości, że nie wróży ono nic dobrego dla Siedziby i jej mieszkańców.

Nagle zapragnęłam, by ktoś przy mnie był. Pomyślałam o spokoju Liz i zdecydowaniu oraz wyrozumiałości Billa. Strasznie byli mi potrzebni. Skierowałam samochód do domku Corbinów.

W pokoju gościnnym świeciło się światło. Zastłony były odsłonięte. Corbinowie siedzieli przy kominku, w którym buzował mały ogień. Liz szyła, a stary Corbin czytał gazetę. Zwyczajność tej sceny podziałała kojąco na moje stargane nerwy. Już miałam odejść, gdy Bill wstał i podszedł do okna. Zauważył mnie i pokiwał, wskazując wejście. Otworzył drzwi i powitał mnie radośnie.

Posadzili mnie w fotelu. Wydarzenia tego dnia wypełniły mi głowę, grożąc całkowitym przytłoczeniem. Sądzę, że musiałam być bardzo blada, ponieważ Liz, przyjrzawszy mi się bliżej, zerwała się, nalała alkoholu do szklanki i włożyła naczynie do mojej ręki.

- Co się stało? - spytała.

Popijałam whisky z wodą, bojąc się, że gdy zacznę mówić, słowa popłyną bez ładu i składu. Byłam tak wstrząśnięta wypadkiem Neila, że z początku w ogóle nie mogłam mówić o tym zdarzeniu. Dopiero gdy ujrzałam, jak Corbinowie wymieniają zdziwione spojrzenia, ośmieliłam się wspomnieć o tym, co tak mnie poruszyło.

- Lamont miał wypadek - powiedziałam krótko. - Spadł z klifu nad Crying Cove. Przynajmniej... nie jestem pewna... czy ktoś mógł? - zwróciłam się do starego marynarza.

- Gdzie on jest? Jak się czuje?

- Zawiozłam go do szpitala. Ma złamane ramię i żebra. Może mieć jakieś wewnętrzne obrażenia...

Zaczełam cicho płakać, a za chwilę szlochałam. Gospodyni objęła mnie i przycisnęła mą głowę do piersi.

- No - szepnęła - wszystko będzie w porządku. Nie ma się o co martwić. Niech pani przestanie. Proszę wypić do końca.

Pocieszali mnie przez długi czas. Ale nikt, nawet oni, nie byli w stanie wymazać z mojej pamięci tej strasznej chwili, w której dotarłam do ciała Neila. Myślałam, że nie żyje.

Tej nocy, gdy leżałam już w łóżku, rzucając się i przewracając, po raz setny zadawałam sobie to pytanie: czy Lamont tylko poślizgnął się, czy ktoś go popchnął? A jeśli to drugie, to dlaczego? Kto mógł żywić do niego taką urazę, by chcieć go zabić?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przez następnych parę dni moje życie obracało się wokół szpitala: zawsze próbowałam być pierwszą osobą, która czekała na otwarcie drzwi w godzinach odwiedzin. Powitalny uśmiech Neila po stokroć wynagradzał rai moje starania.

Musiałam dokładnie przestudiować rozkład przyływów. Przejazd przez groblę stawał się istotnym wydarzeniem każdego dnia. Rano drogę miałam wolną, za to wieczorami musiałam pilnować, by zdążyć przed przyływem. Były dni, kiedy poważnie zastanawiałam się, czy nie zamieszkać w hotelu dworcowym w Lochair do czasu wyjścia Lamonta ze szpitala.

Jeśli nawet Neil doceniał moją wytrwałość, to nic o tym nie mówił. Z każdym dniem jego stan polepszał się. Z ulgą przyjął wiadomość, że wewnętrzne obrażenia nie były zbyt poważne.

Godziny odwiedzin przemijały szybko. Nie miałam czasu myśleć o Hugh i dziadku. Dla wygody przeniosłam maszynę do pisania do mojego domku i bębniłam w każdej wolnej chwili. Nie zaprzętałabym sobie uwagi posiłkami, gdyby Corbinowie mnie nie przypilnowali.

Parę dni po wypadku sumienny, choć aktualnie niezbyt sprawny konserwator wspomniał o petrelu burzowym.

- Wiesz, Rosie, gdzie jest to gniazdo. Kiedy będziesz na plaży, rozejrzyj się, czy z ptakami wszystko w porządku. Ale proszę cię, nie wchodź na zbocze. Z plaży również możesz obserwować, jak wlatują i wylatują z siedliska.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak się upiera, bym nie wchodziła na klif. Z dołu niewiele było widać.

Tego dnia zjawił się mój kuzyn.

- Ros! - Wmaszerował bez pukania do mego domku i rozejrzał się po pokoju. - Kochanie, co ty robisz w takim śmietniku?

Nie odpowiedziałam.

- Może byś przestała pisać! - Chwycił mnie za ramiona, uniósł i pocałował.

- Chciałabym, żebyś...

- Dlaczego nie? Jesteśmy kuzynami. Wyrwałam się z objęć kuzyna i cofnęłam się.

- Sądziłem, że będziesz w Wielkim Domu. Głupio, że dałaś się wyrzucić Francesce. Wolałbym, żebyś tam mieszkała.

Spojrzałam na niego z oburzeniem. Uśmiechnął się i przesunął palec po moim nagim ramieniu. Zadrżałam.

- Nie wyrzuciła mnie. Sama postanowiłam przenieść się do mego domku.

- Twojego? - twarz mu pociemniała. - Szybko podlizujesz się dziadkowi. Niby dlaczego miałby ci to dać na własność?

- Ten domek należał do mojego ojca.

- A, rozumiem. Co jeszcze drogi dziadzio zamierza ci dać?

Zignorowałam tę uwagę.

- Po co wróciłeś? - zapytałam. Objął mnie. Zesztywniałam.

- Ponieważ potrzebuję twojej pomocy, moja ukochana kuzynko.

- Nie - odparłam.

- Ros, proszę cię. Nawet nie wiesz, czego od ciebie chcę.

- I nie chcę wiedzieć. Nie zrobię nic, co by mogło zaszkodzić... - przerwałam, myśląc o Neilu.

- Nie bądź uparta, Ros. Chcę tylko zobaczyć dokumenty dotyczące Siedziby, które trzyma dziadek.

- Po co?

- Ciekawość - zaśmiał się.

- Poproś dziadka.

- Wiesz, że mi ich nie da... - zamilkł.

- Dlaczego nie?

Popatrzył na mnie dziwnie. Sądzę, że rozważał, jak dużo mi powiedzieć. Najwidoczniej jednak postanowił nie ufać mi.

Chwilę później uświadomiłam sobie, dlaczego.

- Dobrze się rozumiesz z Lamontem, nie? Wzruszyłam ramionami.

- Niedobrze by było, gdyby miał jeszcze jeden wypadek.

- Skąd wiesz... - zaczęłam.

Nie odpowiedział. Usta młodego Pevenseya wykrzywił lekceważący grymas, którego tak nienawidziłam. Niejasne podejrzenie, które niedawno zrodziło się w mojej głowie, przemieniło się w przerażającą pewność. Hugh wiedział, ponieważ to on był temu winny. Ale dlaczego? Nie mogłam pojąć, czym się kierował, a dopóki nie byłam absolutnie pewna, nie mogłam go oskarżać.

Odwróciłam głowę, próbując opanować dzikie bicie serca.

- Czy nie byłoby lepiej, gdybyś jednak zrobiła to, o co proszę, droga Ros? - rzekł spokojnie.

Przyłożył swój policzek do mojej twarzy i przycisnął mnie do siebie. Usta tego złego człowieka domagały się czulej odpowiedzi, ale wzbudzał we mnie nienawiść tak zimną, że stężały wszystkie żyły mego ciała.

Odepchnął mnie od siebie.

- Zdobądź te dokumenty przed moim powrotem, bo inaczej...

Usłyszałam przytłumiony trzask drzwi. Przez okno widziałam, jak biegnie po wydmach do pontonu, a następnie wiosłuje szybko do jachtu.

"Jak śmie mi grozić?" - pomyślałam wzburzona. Nic mnie nie zmusi do zdobycia dla niego tych papierów. Kiedy się uspokoiliłam, przemyślałam całą rzecz ponownie: zrozumiałam, że groźby Pevenseya są poważne i odmawiając jego prośbie, narażam życie Neila.

Mogłam go ostrzec. Ale w ten sposób przyznałabym, że mam wątpliwości co do okoliczności wypadku. Co było tak ważnego w tych dokumentach, że Hugh zaczął mi grozić? Gdybym wiedziała, co zawierają, byłabym w stanie lepiej walczyć z kuzynem.

Zdecydowałam, że w odpowiednim momencie wypytam dziadka o przeszłość Siedziby i, kto wie, może go przekonam, by pozwolił mi przejrzeć te papiery.

Okazja nadarzyła się szybciej niż się spodziewałam.

Ledwie zaczęłam pisać na maszynie, do tylnych drzwi zapukał Bill Corbin. Wszedł do środka.

- Poszedł już? Nie chciałbym pani przeszkadzać. Wypływa?

Potaknęłam.

- Sądzę, że powinna pani pójść do Wielkiego Domu. Dziadek nie czuje się najlepiej.

Skoczyłam na równe nogi.

- Spokojnie, panienko. Nie jest tak źle. Liz mówi, że to przeziębienie.

- Przysłała po mnie?

- Nie ona. Lepiej nie mówić, że to ja pani powiedziałam. Nie byłaby z tego zadowolona.

"Nic mnie nie obchodzi, co powie Francesca" - myślałam, spiesząc do Wielkiego Domu.

Frontowe drzwi były otwarte. Wbiegłam po schodach. Zatrzymałam się dopiero przed sypialnią starego Falcona. W budynku panowała głęboka cisza. Byłam tak zaniepokojona, że nie dbałam o to, czy Włoszka jest w pokoju, czy nie.

Pchnęłam drzwi. Dziadek leżał z zamkniętymi oczami w wielkim, podwójnym łóżku. Gdy podeszłam, powieki mężczyzny uniosły się. Spojrzał na mnie i wyciągnął ręce. Usiadłam na skraju pościeli i przytuliłam stare dłonie.

- Był lekarz?

Skinął twierdząco głową.

- Parę dni w łóżku i będę zdrowy. Nie ma się czym martwić.

Westchnęłam z ulgą. Przesunął się na poduszce.

- Właśnie pomyślałem, że miło byłoby troszeczkę pożartować z moją wnuczką. Drzwi są zamknięte?

Potwierdziłam.

- Chcę usłyszeć wszystko o wypadku Lamonta.

- Coś jest nie w porządku z Crying Cove... - zaczęłam. Poruszył się.

- Nie powinien stamtąd spaść. Musiał wiedzieć o niebezpieczeństwie. Przeklęte miejsce - wymamrotał - wiele razy mówiłem Andrew, by trzymał się od niego z dala.

Wstrzymałam oddech. Serce mi zamarło.

- To tam mój ojciec...?

- Przypuszczam, że nikt ci nie powiedział prawdy - rzekł wolno. - Andrew zawsze fascynowały te tunele. Odkrył coś, co go bardzo podnieciło. Nie chciał mi nic powiedzieć, gdyż nie miał jeszcze dowodów w rękach. - Potrząsnął smutno głową. - Sądzę, że się mylił. Ale był uparty jak wszyscy Falconowie. Nie chciał nikogo słuchać. Prosiłem go, tak jak twoja matka, żeby nie wchodził do tych przeklętych podziemi.

- Ale - przerwałam staremu mężczyźnie - co tunele miały wspólnego ze śmiercią ojca? Przecież utonął, czy nie?

- Tak, utonął - zgodził się dziadek. - Pamiętam przypiływy tamtego roku. Największe od dziesięciu lat. Mówił, że jest bliski sukcesu - przerwał. Usta mu drżały, - Pamiętam tę noc, jakby to było wczoraj. Przyszedł do mnie i powiedział, że wszystko gotowe. Oczy mu lśniły i miałem wrażenie, że rozpiera go energia - puścił moje ręce i wytarł oczy rąbkiem prześcieradła. - Nie wiem dokładnie, co się zdarzyło. Łodzi nigdy nie odnaleziono.

- To był wypadek, prawda? Wzrok dziadka był nieruchomy.

- Chciałbym wiedzieć, Rosino. To nie jest takie proste.

- Co? Nie rozumiem. Potrząsnął głową.

- Jak sądzisz dziadku, co odkrył? - upierałam się. - Czy to było coś w Crying Cove?

- Nie wiem, ale ślady można znaleźć w starych dokumentach. Spędził nad nimi wiele godzin. Po jego śmierci twoja matka odesłała je w zamkniętej kopercie. Nigdy nie miałem na tyle odwagi, by ją otworzyć.

- Mogę je przeczytać? - spytałam, ośmielona koniecznością.

Wahał się długo, jakby chciał odmówić.

- Nie wiem, Rosino - rzekł w końcu. - Jest już wystarczająco dużo kłopotów.

- Proszę, dziadku. Muszę znać prawdę. Nagle skapitulował.

- Sądzę, że masz prawo je zobaczyć. Ale uważaj, bez głupot. Przeszłość powinna zostać zapomniana, moja najdroższa.

Ale nie mogła być zapomniana. Byliśmy jej więźniami i tylko prawda mogła nas wyzwolić. Zastanawiałam się, czy dziadek będzie uważał przekazanie dokumentów młodemu Pevenseyowi za naiwność, czy też za zwykłą głupotę. Jeśli jednak chciałam obronić Neila, nie miałam wyboru, a to, upewniałam samą siebie, było moim obowiązkiem.

Tym niemniej wiedziałam, że oszukuję starego Falcona.

Sięgnął po pęk kluczy, który leżał na stoliczku przy łóżku, wybrał jeden i polecił mi otworzyć biurko z żaluzjowym zamknięciem. Przyniosłam mu pakiet, który znajdował się wewnątrz. Nienawidziłam siebie za to, co robię.

Ważył w ręce paczkę, obracając ją niezdecydowanie. W końcu podał mi ją.

- Masz, Rosino. To jest historia rodziny Falconów. Powierzam ci ją. Trzymaj je bezpiecznie u siebie. Nie dlatego, żeby ktoś inny był zainteresowany - dodał. - Ale rozumiesz...

Zamknął oczy. Zanim mogłam coś powiedzieć, otworzyły się drzwi.

- Co ty tu robisz? - powiedziała Francesca, wchodząc do pokoju. - Nie należy go niepokoić.

- Nic się nie stało.

- Lekarz mówił, że masz odpoczywać przez dwa, trzy dni. Chodzi mi tylko o ciebie, mój najdroższy. - Zbliżyła się do łóżka, dotykając ręką swoich ust. - Sądzę, że lepiej przesunąć ślub.

Uśmiechnął się do niej.

- Wszystko, cokolwiek powiesz, moja miłości. Czyżbym dojrzała nieznaczne mrugnięcie? Co też dziadek knuje?

Zadowolona z odpowiedzi Włoszka zwróciła uwagę na mnie.

- Co to jest? - wskazała na paczkę.

- Och! Stare szpargały. Historia Siedziby - wtrącił się stary mężczyzna. - Dziewczyna umie pisać na maszynie. Poprosiłem ją, by uporządkowała te papiery. Sądzę, że przydadzą ci się w twoich studiach - powiedział, patrząc wprost na mnie.

- Na pewno. Dziękuję ci bardzo.

Skinął aprobująco głową i zwrócił się do Włoszki:

- Chce mi się pić - powiedział płaczliwie.

- Przyniosę ci lemoniady. - Chwyciła mnie za ramię. - Nie możesz dłużej zostać. Jest zmęczony.

Uwolniłam rękę i poszłam za nią w dół schodów. Na dole zatrzymała się tak, że musiałam stanąć na ostatnim stopniu.

- Wezmę je - powiedziała. - Powinny tu zostać. On nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje. Nigdy nikomu nie pozwalał zaglądać do tych dokumentów.

Kłamała. Ale dlaczego? Zacisnęłam ręce na pakunku.

- Proszę, daj mi to.

Potrząsnęłam głową.

- Nie. Mam prawo znać historię mojej rodziny. Dziadek mi je powierzył - przerwałam i spojrzałam w oczy Włoszki. - One należą do Falconów.

Napotkałam niewzruszony wzrok tej pięknej kobiety. Byłam zdecydowana nie ustępować.

- Jesteś bardzo niemądrą dziewczyną. Zobaczysz. Będą kłopoty. Te dokumenty są niebezpieczne jak bomba.

- Szczerze mówiąc, Francesca, przesadzasz. Czytałaś je?

- Alistair nie chciał ich pokazać - zaprzeczyła. - Od czasu, gdy twoja matka je odesłała, nie wypuszczał ich z rąk.

- Zatem zostałam wyróżniona - odpowiedziałam lekko. - A teraz zechciej mnie przepuścić.

- Pożałujesz. - Nie poruszyła się. Miałam dziwne wrażenie, że za chwilę zdoła mnie pokonać potęgą swej niewzruszonej woli.

- Falconowie nie mają być z czego dumni - ciągnęła. - Za dużo martwych - dodała cicho.

Nie chciałam dać poznać po sobie, że mnie przestraszyła i spuściłam wzrok. Z sypialni stary Falcon zawołał Włoszkę.

- Idę - odpowiedziała i wolno zeszła mi z drogi.

Ściskając swą zdobycz, pospieszyłam do domku. W pierwszym odruchu chciałam otworzyć kopertę. Ale z wielu powodów nie zrobiłam tego. Obiecałam Neilowi, że dokończę przepisywanie rozdziału jego książki i przyniosę do szpitala następnego dnia. Wiedziałam, że gdy zacznę studiować dokumenty, to nigdy nie skończę tej roboty. Poza tym Francesca naprawdę mnie zdenerwowała. Jej słowa rzuciły cień wątpliwości na moje poszukiwania. O jakich martwych chodziło tej kobiecie? Dlaczego tak bardzo pragnęła odebrać mi te papiery? Musiałam wziąć pod uwagę zamiary Hugh.

Zaczełam się zastanawiać, czy czasami Włoszka nie miała racji. To, co wydawało się niewinnymi historycznymi szpargałami, mogło mieć niszczące konsekwencje eksplodującej bomby. Wydawało mi się, że najlepiej będzie dobrze pilnować tych dokumentów. Zabrałam je ze sobą do sypialni.

Następnego dnia wcześnie rano miałam jechać do Lochair. Zamierzałam zrobić trochę zakupów przed wizytą u Lamonta. Zastanawiałam się, co zrobić z cennym pakunkiem. Nie miałam pewności, czy Hugh nie zjawi się podczas mej nieobecności i nie przeszuka domku. Zdecydowałam się zatem zapakować mój niebezpieczny skarb do torebki i zabrać go ze sobą.

Kiedy przyjechałam do szpitala, Neil siedział w świetlicy. Był w złym humorze.

- Wieki na ciebie czekałem, Ros - wyjęczał na powitanie. Spojrzałam zaskoczona na zegarek.

- Dopiero zaczęły się godziny odwiedzin.

- Wiem. Ale dni są takie długie - mruknął. - Przyniosłaś mi notatki?

Podalam mu rozdział, który przepisywałam zeszłego wieczora i zaczęłam grzebać w torbie, szukając ołówka i notatnika.

- Nie chcę cię poganiać, ale ten artykuł już dawno powinien być skończony. Tutaj są notatki do artykułu - przerwał i spojrzał na mnie. - Na Boga, połóż tę torbę. Nikt ci jej nie zabierze.

- Boję się, że ktoś... Zaśmiał się.

- Rosie, co tym tam chowasz?

Zawahałam się. Mógł uznać mnie za zwariowaną.

- No, co to takiego? - ciągnął, lekko zirytowany. - Mam nadzieję, że nie Klejnoty Koronne?

Nie rozbawiona tą uwagą odłożyłam torbę na krzesło.

- Dziadek pożyczył mi dokumenty rodzinne. Francesca była wściekła, a Hugh... - przerwałam. Nie byłam w stanie wyrazić strachu, jaki wzbudzał we mnie kuzyn i jego groźby.

- A co Hugh od nich chce? - głos rekonwalescenta był niespokojny.

- Nie mam pojęcia - odrzekłam przygnębiona. - Wiem tylko tyle, że bardzo chce je mieć.

- Rozumiem. Posłuchaj mojej rady. Trzymaj te papiery z daleka od niego. Nie wierzę mu ani trochę.

"Ani ja" - pomyślałam. Ale czułam, że nie jest to właściwa chwila, by dzielić się z Lamontem swymi podejrzeniami.

- Dobrze, Neil - powiedziałam, patrząc na zegarek. - Zabierajmy się do pracy, bo zaraz mnie stąd wyrzucą.

Zamarudziłam w szpitalu trochę dłużej niż powinnam. Kiedy dojechałam do grobli, było już za późno na bezpieczny przejazd.

Całą drogę, z wyjątkiem najwyższego punktu, pokrywała woda.

- Do diabła - przeklełam pod nosem, zastanawiając się, czy ryzykować forsowanie grobli w mini. Na myśl, że będę musiała czekać tutaj dwie lub trzy godziny, już chciałam ruszyć do przodu, gdy za mną pojawił się land - rover. Podjechał do brzegu i zahamował z piskiem opon.

Kierowca wytknął głowę przez okno.

- Chyba nie zamierza pani przejeżdżać na drugą stronę w tym czymś?

Poczułam się obrażona. Nie lubiłam kpin z mego ukochanego mini.

- Mogę panią przewieźć, panno Falcon. Nieprzyjemnie zaskoczona, przyjrzałam mu się bliżej.

Jego twarz wydawała mi się znajoma, ale w tym momencie nie mogłam sobie przypomnieć, skąd go znam.

- Skąd pan wie, jak się nazywam?

- Widziałem panią u Hugh. Właśnie prosił mnie, abym zawiózł panu Falconowi wiadomość.

- Nie ma pan po co jechać. Dziadek nikogo nie przyjmuje. Jest chory.

- Niech pani wsiada. Hugh byłby wściekły, gdybym pozwolił pani tu zostać.

W końcu przypomniałam sobie, co to za jeden. Ostatni raz widziałam go w hotelu Crown, w dzień wypadku Neila.

- No, szybciej - zawołał - za chwilę będzie za późno. Przerzuciłam moje bagaże do land - rovera i zamknęłam mini.

- Niech się pani trzyma - zwiększył obroty silnika i wrzucił bieg. Koła zanurzyły się w płytką wodę. Wkrótce znaleźliśmy się na drugim brzegu.

- Udało się - powiedział, zatrzymując się, bym mogła wysiąść.

Podał mi siatkę z zakupami i, krzyknąwszy słowa pożegnania, ruszył z powrotem.

Chwyciłam torby i zaczęłam iść. Nagle uświadomiłam sobie z przerażeniem, że samochód, przedzierający się teraz przez wzbierające wody, unosi moją torebkę, a w niej cenne dokumenty dziadka. Rozejrzałam się desperacko nie wiedząc, co robić. Musiałam odzyskać moją własność, zanim kumpel kuzyna odkryje, co jest w środku.

Tymczasem woda zalała już całą groblę. Silny prąd wzburzył wzbierające wody przypiływu. Gdybym próbowała płynąć wpław, z pewnością zniosłoby mnie. Potrzebowałam łodzi. Nagle twarz mi rozpromieniała. Niedaleko dojrzałam małą przystań.

- Tam musi być łódź - mruknęłam, biegnąc w kierunku przystani. Drzwi, na szczęście, były otwarte.

- Łódź! - wykrzyknęłam, zapominając o lęku przed morzem.

Chociaż Hugh nauczył mnie podstaw wiosłowania, nigdy jeszcze sama nie pływałam. Jednakże teraz myślałam tylko o torbie i jej zawartości. Spuściłam łódkę na wodę, modląc się o powodzenie. Dopłynęłam szczęśliwie do brzegu, wyciągając łódkę na plażę i wkrótce znalazłam się przy drodze. Drżącymi dłońmi otworzyłam mini i czym prędzej mszyłam w kierunku Lochair.

Gdy dojechałam do Crown, kamień spadł mi z serca. Przy budynku stał znany mi land - rover. Zatrzymałam się obok i natychmiast zajrzałam do środka. Nie było tam mojej torebki! W hallu świecący znak, niczym prorocza dłoń, wskazywał drogę (Jo baru.

Mężczyzna, którego szukałam, stał przy kontuarze, plecami do drzwi. Kiedy stanęłam w wejściu, w pomieszczeniu na moment zaległa cisza. Zebrawszy siły zbliżyłam się do kierowcy.

- Przepraszam! Zostawiłam w samochodzie moją torebkę - powiedziałam.

Obrócił się i wytrzeszczył na mnie oczy.

- Dobry Boże - powiedział - jak się pani tu dostała? Można by sądzić, że jest pani duchem.

Zaśmiałam się nerwowo.

- Przepełnęłam łodzią. Czy mogę dostać swoją torebkę? Moja własność tkwiła wepchnięta między stołkiem, na którym siedział mężczyzna i ladą.

- Zastanawiałem się, czy przypadkiem ta torba nie zawiera dokumentów, których tak szuka Hugh?

- Tam jest moja biżuteria - skłamałam, lecz z wyrazu jego twarzy domyśliłam się, że musiał już otworzyć torebkę. Rzuciłam na nią okiem. Zapięcie było otwarte.

- Nie umie pani kłamać - spojrzał na mnie chytrze. Serce załomotało mi. - Może napijemy się czegoś i porozmawiamy?

- Nie chce mi się pić. Zresztą, nie ma o czym mówić.

Nie zwrócił uwagi na moje słowa i zamówił dwie szklanki whisky. Prawdę mówiąc, potrzebowałam czegoś dla wzmocnienia.

W żołądku czułam lodowatą pustkę. Dolałam wody do szklanki, którą podała mi barmanka i jednym haustem wypijałam zawartość.

Poczułam się trochę lepiej i od razu nabrałam wigoru.

- Niech pan zrozumie, panie...

- Smith. Jack Smith - przedstawił się.

- Bardzo miło z pana strony, że przewiózł mnie pan na drugą stronę. Ale spieszę się z powrotem. Czy mógłby pan zwrócić mi moją własność?...

- Pani własność? - Miał wodniste oczy, o szaro - niebieskim odcieniu. Jego rzęsy były tak krótkie, jakby ktoś je obciął. Drobnym szarpał rogami ust mężczyzny, ujawniając brzydką szramę.

- Moją - odpowiedziałam.

- Hugh nie będzie zadowolony, gdy się dowie, że pani coś przed nim ukrywa. Teraz zawartość tej torebki ma swoją cenę. Hugh chętnie zapłaci.

- Jeśli mi pan nie odda torby, to zadzwonię po policję - zagroziłam.

- Proszę bardzo. Ale ostrzegam, to pani będzie musiała tłumaczyć się. Hugh przysięgnie, że te papiery są jego.

Utkwiłam w nim przerażone spojrzenie. Gwar wypełnił mi uszy, napierał wręcz na moje ciało. Ludzkie głosy zlewały się, wzmagając się i cichnąc na przemian, jak niespokojny pomruk wulkanu. Uderzane kufle grzechotały jak spadające kamienie. Była to najdłuższa chwila w moim życiu. Nagle usłyszałam czyjś głos.

- Panna Rosina! - Obróciłam się i ujrzałam starego Corbina. - Bill. Dzięki Bogu, że pan tu jest - odetchnęłam.

Nie pytałam, jak mnie znalazł. Wysoki mężczyzna stał u mego boku i to wystarczało. Jego głos był gniewny i ostry jak spojrzeńie, którym obrzucił Jacka Smitha.

- Rozmawiałem z panem Falconem na pana temat. Widziano pana w Siedzibie. To jest prywatna własność - powiedział stary marynarz. - Nie lubimy intruzów. Więc trzymaj się pan z daleka.

- Nie możecie mi przeszkodzić, jeśli zechcę...

- Ja cię powstrzymam - przerwał mu Bill.

- Ty!? Ty dziadku!

Bill, rozsierdzony pogardliwą odzywką Smitha, zaatakował. Jego pięść błyskawicznie ugodziła mężczyznę w brodę. W pomieszczeniu zaległa cisza. Miałam niesamowite wrażenie, że wszyscy na coś czekają. Nie wiedziałam tylko, na co.

Smith zareagował. Podnosząc się uderzył, celując w twarz mego zbawcy. Bill zrobił unik, ale pięść atakującego uderzyła go w ramię.

W tym momencie dwóch ogorzałych mężczyzn odciągnęło marynarza na bok i stanęło przed Smithem.

- Nie lubimy tutaj obcych - odezwał się jeden.

Intruz rozejrzał się wokoło jak złapane w pułapkę zwierzę. Wrogość obecnych była prawie fizycznie wyczuwalna.

- Zapłacisz mi za to! - krzyknął do mnie Smith i, chwytając moją torebkę, rzucił się do drzwi.

- Moja torebka! - wykrzyknęłam. - Zatrzymajcie go! Miałam wrażenie, że tuzin rąk wyciąga się w kierunku uciekającej postaci. Mężczyzna upuścił cenny przedmiot, rozrzucając zawartość.

Stałam przy ladzie i nie mogłam powstrzymać drżenia rąk.

Słyszałam przeklinających tubylców i ryk odjeżdżającego land - rovera, ale nie mogłam się poruszyć. Gwałtowność tej sceny całkowicie mnie rozstroiła.

Bill klęczał na podłodze i zbierał papiery. Nagle wydał okrzyk zaskoczenia.

- Ma tu pani wszystko, panno Rosino - jego głos był lodowaty.

Wciąż oszołomiona schyliłam się i zobaczyłam, że dokumenty są wewnątrz dużej koperty, ale pieczęć lakowa uległa zerwaniu.

- Skąd pani to ma? - wyszeptał. W rękę, skrywając przed ciekawskimi, trzymał naszyjnik z pereł.

Spojrzałam na niego, nic nie rozumiejąc.

- Widzę to po raz pierwszy - powiedziałam. Wepchnął biżuterię do torby i zamknął ją. Podniósł się z kolan.

- Dziękuję, chłopaki - rzekł wolno. - Sądzę, że już więcej nie zobaczymy tego mściciela.

Gdy wychodziliśmy z baru wiedziałam, że Bill nie ma racji. Wzrok, którym mnie obrzucił Smith przed swą ucieczką, pełen był jadu. Byłam pewna, że opowie wszystko Hugh, a nie miałam złudzeń, jak mój kuzyn to przyjmie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bill Corbin był zły. Zaciśnął rękę na moim ramieniu i prowadził mnie w kierunku grobli, ignorując mini, zaparkowane przy hotelu. Noc była ciemna. Nasze buty stuknęły na tłuczonej drodze. Echo kroków powodowało wrażenie, że ktoś za nami idzie.

Rzuciłam nerwowe spojrzenia na mego towarzysza, marząc, by się wreszcie odezwał. Nie wiedziałam, co mówić, co myśleć. Bill poznał ten naszyjnik i bardzo go to zdenerwowało, a ja nie wiedziałam, dlaczego.

Zaprowadził mnie do rozklekotanej przystani. Cumowała tam łódź motorowa dziadka. Corbin pomógł mi wejść na pokład i uruchomił silnik. Okrążyliśmy Siedzibę i znaleźliśmy się w naszej zatoce. Przybiliśmy do brzegu i mozolnie wspięliśmy się po miękkim piasku do mojego domku.

- Bill - powiedziałam, szukając kluczy - musi mi pan uwierzyć. Nigdy przedtem nie widziałam tego naszyjnika.

Nie odpowiedział, prychnął tylko niecierpliwie, gdy próbowałam obrócić klucz w zamku.

- Nie jest zamknięte. - Chwycił klamkę i otworzył.

- Dokładnie pamiętam, że zamykałam. - Wyszukałam przycisk i włączyłam światło.

Zatknęło mnie na widok mego pokoju. W pomieszczeniu panował nieopisany bałagan. Łzy, które powstrzymywałam przez całą podróż łodzią, zalały mi policzki. Opadłam na jedyne nie przewrócone krzesło. Stary Corbin zbladł i zagryzł wargi.

- Do diabła z nimi - wymamrotał. - Do diabła.

- Kto? Bill, kto to zrobił? Spojrzał na mnie.

- No, proszę się uspokoić, panno Rosino - mówił tak delikatnie, jakbym wciąż była dzieckiem.

Natychmiast przestałam płakać.

- To przez te dokumenty, prawda? - Uczyniłam gest w kierunku torby, którą wciąż trzymał Bill. - Co się kryje za tymi wszystkimi tajemnicami? Nie rozumiem. Czy to Hugh? A może ona?

- Nie wiem. Ale jedna rzecz jest pewna: nie może pani tu zostać. Niech pani pakuje manatki i idziemy.

Pobiegłam na górę, do sypialni. Otwierając drzwi, stanęłam jak wryta. Zawartość wszystkich szuflad zalegała podłogę. Z łóżka zerwano pokrycie, meble były odciągnięte od ścian.

Corbin położył mi rękę na ramieniu.

- Nie ma się co smucić - rzekł cicho. - Jutro wszystko uprzątniemy.

Byłam zbyt przybita, by zabrać się od razu do porządkowania. Odnalazłam tylko nocną koszulę i podążyłam za Corbinem do jego domku. Byłam mu bardzo wdzięczna za pomoc.

Liz szyla. Światło lampy stołowej padało łagodnie na siwiejące włosy tej życzliwej kobiety. Gdy weszliśmy do pokoju gościnnego, uśmiechnęła się spokojnie. Rzuciła na nas spojrzenie i czym prędzej pobiegła do kuchni, by przygotować herbatę. Bill usadowił mnie i nalał dwie szklanki specjalnej, domowej whisky.

Wolno sączyłam alkohol, próbując zachować spokój i odzyskać równowagę. Wiedziałam, że stary marynarz nie ścierpiałby żadnej hysterii ze strony córki pana Andrew. Przekonałam się, jak muszą się czuć niewinne ofiary, gdy ktoś dla kaprysu niszczy ich własność. "Ale może ja nie jestem taka niewinna?" - pomyślałam nagle. Moja chęć zdobycia tych przeklętych dokumentów z pewnością nie pozostała bez wpływu na sposób, w jaki mnie traktowano.

Kiedy pani Corbin wróciła z herbatą, Bill opowiedział jej całe zdarzenie, nie wspominając jednak o naszyjniku. Zastanawiałam się, dlaczego.

- To twoja wina - Liz wzięła się za starego marynarza. - Mówiłam ci, abyś skłonił pannę Rosinę do odjazdu. Pozostając tutaj, ucierpi jedynie.

- Nie bądź głupia, kobieto - odpowiedział podrażniony. - Nie można ukrywać prawdy w nieskończoność. Wcześniej czy później musiała się dowiedzieć.

Patrzyłam raz na jedno, raz na drugie.

- Ale o czym mam się dowiedzieć?

Żadne nie odpowiedziało. Liz zebrała brudne naczynia i wychodząc do kuchni, zamknęła drzwi.

- Mam teraz powody, żeby wrzucić te szpargały do morza - przerwałam ciszę, ze złością kopiąc nieszczęsną torbę.

Bill nagle się ożywił. Zerwał się i pochwycił obiekt mej nienawiści.

- Niech pani mi obieca, że nic im się nie stanie. Nie rozumie pani wagi...

- Chyba zaczynam rozumieć - przerwałam mu. - Ale najpierw chciałabym wiedzieć, dlaczego ten naszyjnik tak pana zdenerwował?

Nigdy bym nie pomyślała, że otwarta i szczerą twarz tego mężczyzny może kiedykolwiek nabrać przebiegłego wyrazu. Ale w tej chwili była bliska tego.

- To nie moja sprawa... - zaczął.

- Ani moja - przerwałam. - Ale ktoś myśli inaczej. Lepiej wiedzieć, o co chodzi.

- Nigdy nie wątpiłem, że pan Andrew będzie miał inteligentną córkę - wtrącił bez związku.

- Ale nie na tyle inteligentną, by trzymać się z daleka od Siedziby.

- Niech pani tak nie mówi, panno Rosino. Dobrze, że pani tu przyjechała. Nieważne, co myśli Liz. - Zamilkł na moment.

- Nie było wspanialszego człowieka od pani ojca, a jego śmierć... - spuścił wzrok i odwrócił się.

- Utonął. Czy tak?

- Niektórzy tak mówią, ale inni...

- Sądzi pan - mówiłam wolno i wyraźnie - że mógł popełnić samobójstwo?

- Nie o to chodzi. Nigdy w to nie uwierzę. Ani w inne bzdury, jakie o nim wygadują.

- Jakie bzdury? - głos mi się łamał.

- Nie powinienem...

- Niech pan przestanie, Bill. Kogo mam zapytać, jeśli nie pana?

- Pani ciotkę... - zaczął.

- Ciotka jest bardzo lojalna. Nie chciałyby nawet słuchać czegoś złego o swym bracie, a już na pewno nie powiedziałyby tego jego córce. Zostaje tylko pan. Chciałabym wiedzieć, dlaczego był pan tak wzburzony, widząc ten naszyjnik.

Milczał tak długo, że zaczęłam myśleć, iż nie odpowie. W końcu westchnął i przemówił:

- Opowiadano o tym klejnocie dziwną legendę: naszyjnik należał do jednego z niewolników, który był kimś w rodzaju wodza w swoim kraju. Pracował i umarł w Siedzibie. Te perły ukradł mu Falcon, handlujący niewolnikami. Ten niewolnik rzucił na nie klątwę.

- Należały do Sama? - próbowałam zgadnąć. - Dziadek mówił mi, że był niewolnikiem. Widziałam w lasku jego grób.

- Zgadza się. Sam powiedział, że ten, kto będzie nosić naszyjnik, nigdy nie zazna szczęścia.

- Czy mój ojciec wiedział o tym?

- Nie wierzył w klątwy. Gdyby było inaczej, nie dałby tych pereł pani matce. Miała je na sobie na pani chrzcie.

- Nosila je - powiedzialam cicho - i widzi pan, co sie stalo.

Do pokoju wpadla Liz.

- Pozwoli pani, panno Rosino. Lozko jest juz gotowe. Wstalam niepewnie i poslam za pania Corbin, niosac pod pachą torebkę z dokumentami. W sypialni ciężko opadlam na lozko. Bylam całkowicie wyczerpana. Fizycznie i psychicznie.

"Perły są jak łzy" - myslalam, wyciagajac naszyjnik z torby. Uderzyła mnie myśl, że ten prosty przedmiot stanowi rodzaj pierścienia zaręczynowego pomiędzy przeszłością a terażniejszością. Bardzo chciałam wiedziec, która z dam Falconów nosila naszyjnik i czy te, które to robily, byly nieszczęśliwe.

Rozebrałam się i wsliznelam pod kołdrę, rozmyslajac o mojej matce. Byla nieszczęśliwa, to prawda, ale nie przez naszyjnik, tylko przez śmierc ojca. Unioslam perły do swiatła, lecz nie moglam się zmusic, by zawiesic je na szyi.

Pomyslalam, że Hugh ma racje mówiac, iż jestem sentymentalna i łatwo poddaje się wpływowi, lecz mimo tego nie chciałam wypróbować klątwy Sama. Zasnelam z klejnotem pod poduszką.

Następnego ranka śniadaniem zajal się Bill. Bylo wyborne. Nad kawą i bekonem rozważalismy, co robic dalej.

- Pomyslalem - powiedzial stary marynarz - że ukrycie dokumentów tutaj lub w domku pana Neila nie ma sensu. Najlepiej zawiezć je do banku.

Ta myśl i mnie przyszla do głowy, ale pragnełam najpierw przestudiowac historie mej rodziny.

- Tak zaraz? - odparlam wymijajaco. Rzucil okiem na zegarek.

- Tak sędę. Zawiozę panią na drugi brzeg motorówką. Spod Crown zabierze pani mini.

- A co z łodzią? Tą, którą wzięłam z przystani? Opowiedziałam mu zwięźle o wczorajszych wypadkach przed naszym spotkaniem w hotelu.

- Niech się pani nie martwi - odrzekł Bill - tak czy owak jest to łódź pani dziadka. Wezmę ją po południu. Pojedzie pani do pana Neila?

Skinęłam twierdząco.

- Nie powinienem nic mówić jemu ani panu Falconowi o tym, co się stało. Będą się martwić.

- Neil? - rzekłam z niedowierzaniem. - Dlaczego miałby się martwić?

Corbin uśmiechnął się.

- Jest mężczyzną, czyż nie?

Nie rozumiałam, o co mu chodzi i postanowiłam zignorować tę uwagę.

Bill wysadził mnie na przystani na drugim brzegu. Pod hotelem wsiadłam do swojego samochodu i pojechałam do Lochair. Wiedziałam, że dyrektor oddziału banku Szkocji jest przyjacielem dziadka. Bez żadnych problemów złożyłam u mego cenne dokumenty w depozycie.

Przykro mi było rozstawać się ze skarbem, który wiele osób chciało dostać w swoje ręce. Obiecałam sobie, że odbiorę go przy pierwszej okazji. Przed pójściem do szpitala wpadłam na pocztę.

Oczekiwał mnie tam list od cioci Jenny. Droga ciocia! Jej słodki niepokój był niczym balsam na moje rany. Pisała:

"Podjęłam decyzję, najdroższa Ros. Wkrótce przyjeżdżam do Siedziby z Wilmotem lub bez niego. Hugh ciągle wyjeżdża i wraca bez słowa wytłumaczenia, nie chce też niczego powiedzieć o Tobie. Uważam teraz, że źle zrobiłam, puszczając Cię bez wyjaśnienia tego wszystkiego, co działo

się w przeszłości, ale myślałam, że jest to już zapomniane. Ale nic nie ginie. Stare wspomnienia nabierają życia. Ach, moja najdroższa, daję się ponosić wyobraźni."

List mej ukochanej ciotki poruszył mnie i przestraszył. Tylko jej miłości mogłam być naprawdę pewna i właśnie teraz potrzebowałam jej bardziej niż kiedykolwiek.

Rozmyślałam nad listem przez całą drogę powrotną do domu. Dojeżdżając zauważyłam ze zdumieniem, że drzwi są otwarte. Gdy zaparkowałam, w oknie sypialni pojawiła się głowa Liz.

- Jestem tutaj, panno Rosino! - krzyknęła. Pobiegam po schodach do sypialni. Wszystko zostało posprzątane.

- Och, Liz. Jak się pani odwdzięczę?

- Chciałabym zobaczyć... - przerwała. - Nie wyglądasz najlepiej, kochanie. Napijmy się herbaty.

- Myślałam o panu Neilu - powiedziała pani Corbin, gdy usiadłyśmy w kuchni. - Nie powinien być sam, kiedy wyjdzie ze szpitala. Nie potrafi sam się sobą zająć. Typowy mężczyzna.

Zaśmiałyśmy się serdecznie.

- To dobry człowiek - ciągnęła Liz - a dobrzy ludzie zawsze mają kłopoty. - Rzuciła gniewne spojrzenie przez okno.

Myślała pewnie o tym wypadku. Nie chciałam o tym rozmawiać, zmieniłam więc temat.

- Jak długo tu mieszkacie? - spytałam.

- Od dwudziestu pięciu lat Mojego najmłodszego urodziłam w Liverpoolu, jeszcze przed przeprowadzką tutaj. A teraz ma dwadzieścia sześć lat. Obaj moi chłopcy wyemigrowali do Australii. Nie mogę mieć do nich pretensji. Mają już własne dzieci. Zamierzamy z Billem pewnego dnia pojechać do nich i zobaczyć nasze wnuki. Myślałam, że przyjechała pani zająć się dziadkiem. Wtedy Bill

zdecydowałyby się jechać. - Zamilkła na moment. Po chwili kontynuowała: - Zaoszczędziliśmy na podróż, ale on pani nie zostawi.

Nic nie mogło wyrazić mego wzruszenia.

- Nie chciałabym przeszkadzać wam w niczym - rzekłam z nadzieją, że pani Corbin nie weźmie tych słów zbyt serio.

Potrząsnęła głową.

- Liz, pani znała mego ojca. Co pani sądzi o jego śmierci? Spojrzała na mnie gwałtownie.

- Utonął.

- Tak, ale co się dokładnie zdarzyło? Znowu potrząsnęła głową.

- Niczego nie mogę powiedzieć. Najlepiej o wszystkim zapomnieć. Tak jej mówię. - Wskazała głową w kierunku Wielkiego Domu. - Ale nie chce mnie słuchać, a stary pan ciągle o tym myśli.

Wstała.

- Nie pozwól zniewolić się temu miejscu. Możesz tego bardzo żałować.

Następnego dnia, gdy jechałam do Lochair zabrać Lamonta ze szpitala, wciąż zastanawiałam się nad słowami Liz.

Neil grzecznie odmówił, gdy Corbinowie zaproponowali mu wspólne zamieszkanie. Wszyscy próbowaliśmy przekonać go, ale był zdecydowany wracać do domku na klifie. Wymieniłyśmy z panią Corbin spojrzenia i ustaliłyśmy, że będziemy go pilnować. Chociaż nikt nic głośno nie powiedział, wiedziałam, że Liz niepokoi się o niego tak jak ja. Zapakowałam zapasy, które dostałam od Corbinów i zawiozłam ozdrowieńca do jego domku.

Bez wątpienia Siedziba w letnie dni miała coś z magii. Znowu widzę przed sobą intensywną zieleń liści, szumiących nad naszymi głowami i skrawki błękitnego nieba,

prześwitującego w przerwach zielonego dachu. Najżywiej wspominam jednak dzwoniącą w uszach ciszę i zapach ziemi. Wiem, dlaczego tak dobrze pamiętam tę jazdę z Neilem. Były to ostatnie chwile spokoju na tej wyspie, kiedy wciąż jeszcze mogłam wierzyć w to, że Hugh żartuje, mój ojciec naprawdę utonął, a Lamont tylko pośliznął się.

A to, co zniszczyło mój spokój i postawiło mnie twarzą w twarz z okrutną rzeczywistością, samo w sobie nie było niczym poważnym, chociaż posiadało daleko sięgające konsekwencje.

Rzuciłam okiem na zgarbionego pasażera z ręką na temblaku. Zauważył moje spojrzenie i odezwał się.

- Spieszysz się, Rosie? - Dobrze wiedział, że dla niego miałam czas. - Może byśmy zobaczyli gniazdo petrela?

- Ale - zaprotestowałam - byłam tam parę dni temu, a poza tym trzeba się wspiąć ładny kawałek, żeby coś zobaczyć.

- Rosie - głos Neila był bardzo niespokojny - wchodziłaś na górę. Kiedy mówiłaś, że z ptakami wszystko w porządku, myślałam, że obserwowałaś gniazdo z plaży.

- Nic stamtąd nie widać - odpowiedziałam. Nie rozumiałam, dlaczego jest tak poruszony.

- Zresztą, to nie jest tak strasznie wysoko - dodałam.

- Mogłaś spać.

- Nie bądź niemądry, Neil. Mam duże doświadczenie w chodzeniu po górach. Zawsze się odpowiednio zabezpieczam. Nie było żadnego niebezpieczeństwa.

Nie wspomniał o ptakach do chwili, gdy dojechawszy na miejsce, nie wypiliśmy herbaty. Skończywszy myć naczynia weszłam do pokoju i zobaczyłam Neila usiłującego zapiąć swe górskie buty. Z jedną unieruchomioną ręką nie było to łatwe.

- Gdzie ty się, do diabła, wybierasz? - Uklękłam przed nim i pomogłam mu zapiąć klamry.

- Muszę zobaczyć pisklę, Rosie. Jeśli przerwę obserwację, moje notatki będą do wyrzucenia. Wiem, że to głupie, ale niepokoję się o te ptaki.

Chwycił mnie za brodę i unosząc moją głowę, pocałował mnie w czoło.

- Nie, Neil. Nie możesz iść. To byłoby szaleństwo. Ja pójdę.

Przyniosłam z kuchni buty i usiadłam, by je zawiązać.

- Rosie. - Podniosłam wzrok, zaskoczona tonem jego głosu. - Nie pozwolę ci tam wchodzić. Żałuję, że zacząłem mówić o tych nieszczęsnych ptakach. - Zamilkł i nie odzywał się długo. Zaczęłam podejrzewać, że coś jest z nim nie w porządku.

- Gdyby coś ci się przytrafiło - odezwał się w końcu - nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

Twarz mu zbielała. Miałam wrażenie, że ma trudności z mówieniem.

- Ale nic się nie stało. - Wstałam i podeszłam do niego. - Neil, wszystko w porządku? Boli cię ramię?

Zaprzeczył. Nie wiedziałam, co sądzić o jego zachowaniu. Wchodził na to zbocze wiele razy i o siebie raczej się nie bał. Jego obawa o mnie była niezwykła i dziwna. Było to dość łatwe podejście i musiał sobie zdawać z tego sprawę. Doszłam do wniosku, że znaczę dla niego więcej niż sądziłam. Serce mi zabiło. Chwycił mnie za rękę i ścisnął mocno.

- Proszę, Rosie, zapomnijmy o tym. To nie ma żadnego znaczenia.

- Wiesz, że tak nie jest - odrzekłam łagodnie. - Naprawdę nie wchodziłabym tam, gdyby to było niebezpieczne. To podejście jest bardzo łatwe.

Wstał i położył dłoń na moim ramieniu. Przez moment sądziłam, że chce mnie powstrzymać siłą, ale teraz byłam już zdecydowana. Jego strach wydawał mi się całkowicie

irracjonalny. Nawet gdybym znała wtedy prawdę... myślę, że dalej bym się upierała. .

- Chodź, Neil. Jeśli będziemy zwlekać, przyplływ zaleje plażę. Nie martw się, dam sobie radę z tym podejściem.

- To jest właśnie to, co ona... - Puścił moją rękę. Chociaż bladeść ustępowała z twarzy Lamonta, czułam, że coś bardzo poruszyło tego młodego mężczyznę. Nie wiedziałam jednak co.

- Kto? - spytałam zdawkowo, idąc w kierunku plaży.

Nie odpowiadał. Nasze buty zazgrzytały na kamieniach przy wejściu do Crying Cove. Stanęliśmy u podnóża zbocza. Spojrzałam w górę i westchnęłam z bólem. Resztki gniazda pokrywały ściany klifu, a nieżywe pisklę leżało tuż nad naszymi głowami.

- O nie! Biedne maleństwo, musiało wypaść z gniazda. Czy ptaki zniszczyły...?

Spojrzałam na skamieniałą twarz konserwatora.

- Nie. Ktoś celowo zniszczył gniazdo i zabił pisklę.

- Dlaczego? Jak można zrobić coś takiego? Znalazłam oparcie dla nogi, podniosłam się do góry i ściągnęłam martwego ptaka. Jego wytrzeszczone oczy i otwarty dziób wyglądały przygnębiająco.

- To kolejne ostrzeżenie, Rosie - powiedział Neil. Zniosłam pisklę na brzeg i oddałam martwe ciało falom. Łzy zamgłyły mi oczy. Mój smutek nie tyle powodowało to biedne zwierzę, co przede wszystkim współczucie dla mężczyzny, którego kochałam całym sercem.

Obróciłam się w jego stronę, niewiele widząc przez łzy. Objął mnie.

- Nie płacz, Rosie.

- Nie płaczę. - Przycisnęłam twarz do szorstkiej powierzchni tweedowej marynarki ukochanego. - To takie okrutne.

Przycisnął mnie mocniej. Objęłam go za szyję. Podniosłam głowę i nasze spojrzenia spotkały się.

- Rosie - szepnął i pokrył delikatnymi pocałunkami moje policzki. Gdy odnalazł moje usta, oddałam się namiętności jego warg. Trwaliśmy spleceni w uścisku, gdy nagle dobiegł nas krzyk ptaków i posypały się kamienie.

Odskoczyliśmy od siebie.

- Szybko! - Chwycił mnie za rękę i wciągnął pod skalną przewieszkę. Kamienie wciąż leciały.

- To dziwne - powiedziałam. - Jeśli ktoś przedtem poruszył skały, to powinny już dawno spaść.

- Zgadza się. Ktoś zatem musiał je zepchnąć.

- Zepchnąć? - powtórzyłam głupio. - Sądysz, że ktoś chciał nas przestraszyć?

- Albo upewnić się, że zrozumiałem ostrzeżenie.

- To szaleństwo! - krzyknęłam. - Jakie ostrzeżenie?

- Nieważne. Wracajmy. Idź blisko zbocza.

Byłam bardzo przestraszona, choć starałam się tego nie okazywać. Kiedy dotarliśmy do domku Neila, z radością opadłam na krzesło.

- Wyglądasz tak, jakbyś zobaczyła ducha. - Wziął z szafy butelkę whisky i szklanki, po czym rozlał alkohol. - Mój Boże, jestem wściekły - kontynuował. - Cała kilkutygodniowa praca na darmo - uniósł smutno kartkę maszynopisu. - Nie ma petreli, nie ma książki.

- Muszą tu być jakieś inne petrele.

- Nie rozumiesz - odpowiedział. - Muszę śledzić cykl rozrodczy jednej pary. - Pomyślał przez chwilę i dodał. - Nie chciałem zadawać ci tego pytania, ale czy mówiłaś komuś o tym gnieździe?

- Nikomu - zaprzeczyłam gorąco. - To twoja praca. Uśmiechnął się i dopił whisky.

- Myślałem, że będziesz zazdrosna o moje ptaki. Zawahałam się.

- Nie, naprawdę nie.

- Z innymi byłoby inaczej, ale nie z tobą - powiedział miękko.

O co mu chodzi? Zaczęłam zastanawiać się. Jacy inni? Czyżby chciał wzbudzić we mnie zazdrość?

- Czy Hugh przyjechał? - zapytał po chwili milczenia. Poruszyłam się niespokojnie.

- Chyba nie sądzisz, że Hugh... - zaczęłam.

- Niestety, tak. To znaczy nie mówię, że to on osobiście zepchnął gniazdo czy rzucał w nas kamieniami. Wielu jest ludzi gotowych wykonać każdą brudną robotę. Ale nie wątpię, że chce się mnie pozbyć.

- Bzdury. Dziadek bardzo chce zachować rezerwat.

- Jest stary i łatwo poddaje się wpływom.

- Ale nie mego kuzyna. Możesz być tego pewny. Dziadek bardzo cię ceni, Neil.

Zaśmiał się krótko.

- Z pewnością wierzy w wolność ducha i wolność mórz. Zasady i tak dalej. Zabawna rzecz jak na potomka handlarzy niewolników.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - odparłam zimno. - Każdy ma coś do ukrycia. - Nagle ścisnęło mi się serce, przypomniałam sobie bowiem motorówkę, która przepływała obok brzegu, gdy za pierwszym razem wspinałam się do gniazda petreli.

- Masz rację, Rosie. Nawet ja - dodał lekko. - No dobrze. Ta przygoda pomogła mi podjąć decyzję. Gdy wyzdrowieję, jadę w świat. Zaproponowano mi udział w ekspedycji badawczej, wyruszającej na Antarktykę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Liz, pani chyba żartuje - powiedziałam. - Naprawdę w lasku jest kaplica?

- Tak. Myślałam, że pan Alistair ci powiedział, moja kochana. Większość Falconów tam leży.

Stałyśmy w szklarni znajdującej się za Wielkim Domem. Zwinne palce pani Corbin przebierały w klombie róż, zrywając co ładniejsze kwiaty.

- Jeśli idziesz do pana Neila - powiedziała - może byś zaniósła ten bukiet do kaplicy. Znajdziesz tam dużo wazonów.

- Dlaczego Francesca ich nie zanieś?

- Czasami robi to. Ale ciągle kupuje lilie w Lochair. Twemu dziadkowi bardzo się to nie podoba.

- Jest używana? To znaczy, ta kaplica.

- Śluby Falconów, chrzciny i pogrzeby. - Nacięła trochę asparagusa, podała mi wiązanekę, po czym pospieszyła do wnętrza budynku.

Poszłam wskazaną ścieżką. Byłam ciekawa spotkania z tym świadkiem dziejów mojej rodziny. Mogłam chociaż na trochę przestać myśleć o wyjeździe Neila. Miałam nadzieję, że nie mówił serio.

Zatrzymałam się obok grobu Sama. Był dla mnie przyjacielem, który na pewno rozumiał moje uczuciowe rozterki. Oczyszczałam nagrobek z chwastów i obłożyłam go kolorowymi kamieniami, które zebrałam na plaży. Wybrałam z wiązanki parę intensywnie czerwonych róż i włożyłam je do kamiennego słoja, który wyblagałam u Liz.

Gdyby kuzyn zobaczył mnie teraz, pewnie by mnie wyśmiał. Był typem człowieka, który nie ma zrozumienia dla przeszłości. Nigdy też nie widziałam, aby okazywał współczucie komuś, kogo uważał za nieudacznika.

Gdy tak rozmyślałam o Hugh, powróciło pytanie, które prześladowało mnie od dłuższego czasu. Dlaczego kuzyn tak

bardzo nienawidził Lamonta? Czyżby on zaaranżował ten wypadek? A gdyby Neil zginął? To byłoby morderstwo - zadrżałam na samą myśl o tym, że coś takiego mogło się zdarzyć. Gdyby były jakieś dowody współuczestnictwa mego kuzyna, zostałby bez wątpienia oskarżony o współudział.

Z ulgą przywitałam wyłaniającą się z lasku kaplicę. Mogłam chociaż na chwilę przestać myśleć o tych przerażających możliwościach. Brzeg polanki, na której znajdował się cel mojej przechadzki, porastały drzewa. Zwisające gałęzie ocieniały kamienie nagrobne. Kaplica została zbudowana z tego samego kamienia, co Wielki Dom. Surowe, proste ściany królowały w środku lasku.

Podeszłam wąską ścieżką do wejścia. Pchnęłam drzwi, które zaskrzypiały głośno. Wewnątrz było ciemno i zimno, a stęchły zapach przenikał powietrze. Zwykle szkło w oknach powinno bez trudności wpuszczać światło, ale nawet promienie słoneczne miały niewielką ochotę na odwiedzanie samotnej świątyni.

Odnalazłam dzbany i korzystając z kranu, który znajdował się na zewnątrz, napełniłam je wodą. Włożyłam róże do naczyń i, jak radziła pani Corbin, poustawiałam je na parapetach. Poprawiając kwiaty, wsłuchiwałam się w ciszę, wyczekując na jakiś hałas, który zburzyłby nieskończony spokój kaplicy. W pewnym momencie z rąk wysliznął mi się dzban. Upadł z trzaskiem na kamienny parapet, a echo uderzenia zdawało się rozbrzmiewać bez końca.

Z ulgą skończyłam porządki i czym prędzej uciekłam na zewnątrz, do małego cmentarza, który znajdował się tuż obok. Włóczyłam się między grobami, odczytując epitafia. Wiele imion było nieczytelnych. Tylko jeden nagrobek oparł się czasowi i wiatrom. Grób mojej babki. Ale gdzie leży mój ojciec? Rozglądałam się zdziwiona. Nieco szaleńczo zaczęłam

przeszukiwać cmentarz. Wróciłam nawet do kaplicy, by sprawdzić, czy nie przeoczyłam jakiegoś pomniczka.

Niczego nie znalazłam.

Rozglądałam się dookoła w oszołomieniu, a po głowie tłukła mi się obsesyjnie tylko jedna myśl: jeśli nie było tu grobu mego ojca ani żadnej pamiątkowej inskrypcji, musiał żyć. Czyż nie to sugerowała Francesca pierwszego dnia mego pobytu w Siedzibie? Przez te wszystkie lata okłamywano mnie. Oszołomienie ustąpiło oburzeniu. Zaczęłam biec.

- Neil - pchnęłam drzwi, nie pukając - dlaczego mój ojciec nie jest pochowany na cmentarzu przy kaplicy?

Siedział przy stole. W rękach trzymał list. Gdy się do niego zbliżyłam, obrócił się, złożył czytana kartkę i schował razem z kopertą do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Miał dziwnie przygaszony wygląd. Po raz kolejny uświadomiłam sobie, jak niewiele o nim wiem.

- Twój ojciec - wstał. - Chyba nigdy nie znaleziono jego ciała.

- Nie znaleziono - powtórzyłam - czyli mógł wcale nie utonąć. Może jeszcze żyje.

- Rosie, co ty mówisz, zastanów się.

- Ale - zawahałam się. Podeszłam do krzesła. Czuję słabość w kolanach. - Morze zawsze wyrzuca ciała, czyż nie?

Wzruszył ramionami. Wiedziałam, że myśli o czymś innym.

- Morze nie zawsze oddaje swoje ofiary - rzekł cicho.

- Francesca sądzi, że on wciąż żyje. Spojrzał na mnie z uwagą. Nie przerywałam:

- Kiedy przyjechałam, dziadek uparł się, żebym zamieszkała w pokoju ojca. Pomieszczenie wyglądało na świeżo opuszczone. Ciągłe tam sprzątała i polerowała.

- Czyżby? - przerwał mi. - Ale po co?

Z Francescą wiązały się też inne tajemnice, ale nie zamierzałam teraz o nich dyskutować.

- Jesteś gotowy? - Wstałam. - Nie możemy się spóźnić. Masz umówioną wizytę w szpitalu.

Zmarszczył brwi.

- Zapomnij o tym. Mam lepszy pomysł. Może byśmy pojechali do Carron Head? Słyszałem, że jest tam para petreli.

- Najpierw szpital - nie ustępowałam. - Specjalnie nie brałam mini. Sądzę, że będzie ci wygodniej w land - roverze.

W szpitalu spędziliśmy godzinę. Mój miłośnik ptaków przez cały czas sapał niecierpliwie, lecz w końcu załadowaliśmy się do samochodu i ruszyliśmy na północ. Bolało go ramię, a to nie poprawiało mu humoru.

Jechaliśmy po dobrej, przybrzeżnej drodze, mijając małe hoteliki. Po pewnym czasie uświadomiłam sobie, że mój towarzysz zamierza jechać prosto do Carron Head, nie dbając o jedzenie.

Zatrzymałam się przy następnym motelu.

- Może jestem tylko szoferem, ale też mam prawo do jedzenia - powiedziałam gniewnie.

- Och, Rosie. Przepraszam. Gdy tylko się do czegoś wezmę, to zaraz zapominam o wszystkim innym.

- Nie ma sprawy - wyszłam z samochodu. Wchodząc do baru, miałam nadzieję, że obsługa będzie sprawna i szybko pojedziemy dalej. Niecierpliwość Neila trochę mnie irytowała.

W dalszej drodze zebrałam się na odwagę i spytałam, czy jeśli w Carron Head będą petrele, zostanie w Siedzibie do zimy.

Siedział obok mnie, ale nie mogłam dostrzec jego twarzy.

- Wyjadę o wiele wcześniej - odpowiedział. - Twój kuzyn chce, bym zszedł mu z drogi.

- Och, nie! - osłupiałam. - Niby dlaczego miałby tego chcieć?

- Przeszkadzam mu.
- Ale ptaki... rezerwat Zaśmiał się nieprzyjemnie.
- Wygląda na to, że Hugh nie będzie zważać ani na ptaki, ani na ludzi.

Nie ośmieliłam się już więcej mówić czegokolwiek. Jeśli Lamont naprawdę był w niebezpieczeństwie, musiałam pozwolić mu odejść. Ale ta myśl była tak nieznośna, że z trudem powstrzymałam łzy.

Dotarliśmy do Carron Head. Jeszcze przed wyjściem z auta nie miałam wątpliwości, że już nigdy więcej nie zechcę odwiedzić tego miejsca. Ponure, niedostępne skały wyłaniały się z morza, a fale atakowały ich ciemną spoistość z niesłabnącą furią. Wokół krążyły oszalałe ptaki.

- Co za straszne miejsce. Neil, wracajmy.
- Na pewno nie - rzekł szorstko. - Chodźmy, tu biegnie ścieżka. Zejdziemy w dół i znajdziemy jakieś osłonięte miejsce.

To, co Neil uważał za osłonięte miejsce, z trudem tylko można było tak nazwać.

Przycupnęliśmy pomiędzy dwiema skałkami. Wiatr chłostał mnie po twarzy i nogach, gdy tymczasem on obserwował przez lornetkę zbocze klifu. Modliłam się, żeby tylko nie dostrzegł jakichś petreli.

Wieki minęły, zanim w końcu zdecydował się wracać.

- To beznadziejne. Gdybym mógł wejść na górę... - zauważył z westchnieniem.

- Ale nie możesz - przerwałam mu opryskliwie. Zaczęłam się czym prędzej wycofywać do samochodu, aby nie wpadł mu do głowy jakiś inny nedorzeczny pomysł.

Nie wiem dokładnie, czego spodziewałam się po tym dniu, który zaczął się tak dobrze. Pierwszy raz pojechaliśmy dalej niż do Lochair i przypuszczam, że oczekiwałam na jakieś ważne wydarzenia. Na razie jednak nic wielkiego się me

działo. Czułam się rozczarowana i chyba to było przyczyną trochę nieuważnej jazdy.

- Spokojnie, Rosie - powiedział Neil - zaraz skręcamy. Niedaleko stąd moi przyjaciele mają mały hotelik. Napijemy się tam herbaty. To nagroda za twoją cierpliwość.

Spojrzałam na niego. W oczach błyszczały mu iskierki rozbawienia. Na następnym skrzyżowaniu skręciliśmy w głąb łądu. Jechaliśmy wzdłuż rzeki. Krajobraz stał się łagodniejszy. Niespodziewanie natknęliśmy się na hotelik, skryty w małej dolinie.

Właściciel, Bruce McGill, bardzo się ucieszył, widząc Neila. Zaprowadził nas do sali klubowej i posadził przy kominku, w którym płonął ogień.

Kelnerka przyniosła herbatę, placki i bułki.

- Och, Neil, co za cudowne miejsce - westchnęłam z zadowoleniem. - Często tu przyjeżdżasz?

Kiwnął głową.

- Są tu wspaniałe ryby. Znamy się z McGillami od lat. Posiłek przeciągał się. Pomyślałam, że z każdą chwilą ten dzień staje się coraz lepszy. Bruce dołączy! do nas i przekonywał, abyśmy zostali na obiad. Popatrzyłam na Lamonta, nie wiedząc, czy pamięta o przypiływie, ale on stwierdził, że to wspaniały pomysł. McGill poszedł zawiadomić żonę, a ja wybrałam się do toalety na górze. Sądzę, że spędziłam tam kwadrans, poprawiając makijaż. Wracając pomyliłam schody. Zorientowałam się dopiero na półpiętrze. Już miałam zawracać, kiedy dosłyszałam dochodzący z dołu głos Neila. Zerknęłam w dół nad poręczą. Rozmawiał z Bruce'em.

- To nie był wypadek. Ktoś mnie popchnął - powiedział Lamont.

- Musisz na siebie uważać - poradził Bruce. - A tak przy okazji: co się stało z tą drugą dziewczyną?

Cofnęłam się instynktownie i westchnawszy pobiegłam w górę schodami. Serce mi łomotało. "Co to za dziewczyna?" - tłukło mi się po głowie. Dlaczego myślałam, że tak atrakcyjny mężczyzna jak Neil nie ma tu nigdzie przyjaciółki? To, że był w Siedzibie, nie oznaczało, że jest pustelnikiem. Byłam całkowicie przytłoczona. Musiałam odczekać parę minut, zebrałam się w sobie i zeszłam do sali klubowej właściwymi schodami. Neil czekał na dole.

- Coś ty tam tak długo robiła? - gderał. - Chodź, pokażę ci rzekę.

- Rzeka jak rzeka - odpowiedziałam lekceważąco.

- Ta jest wyjątkowa.

Dla mnie była to zwyczajna rzeka. Woda płynęła niewzruszenie i nudnie ku morzu. Na brzegach kwitły ogromne kaczeńce. Lamont zwrócił uwagę na rodzinę kurek wodnych i szczura wodnego, płynącego tuż przy brzegu. Zaprowadził mnie do miejsca, gdzie kiedyś złapał wielkiego łososa. Przechadzaliśmy się wzdłuż brzegu, nikogo nie spotykając. Bardzo chciałam, żeby mnie objął. Sądzę, że gdybym nie usłyszała przedtem słów Bruce'a, czułabym się zaskoczona i obrażona. Trzymałam się od niego w pewnej odległości.

Nagle zapragnęłam wracać.

- O której grobla będzie przejezdna? - spytałam, gdy zbliżaliśmy się do hotelu.

Spojrzał na mnie dziwnie.

- Czy to ma jakieś znaczenie, Rosie? - odparł niedbale. - Nikt się nie będzie martwić. Corbinowie wiedzą, że jesteś ze mną bezpieczna.

Oczywiście wcale nie chciałam, żeby tak było. Nie chciałam być z nim bezpieczna. Pragnęłam, by mnie przycisnął do siebie i pocałował, pragnęłam zapomnieć o tej drugiej dziewczynie, która kryła się gdzieś w tle.

Gdy weszliśmy do baru, by napić się czegoś przed obiadem, za kontuarem zobaczyliśmy Lois McGill.

- Spodziewałam się - zaczęła - że Neil wyciągnie cię nad rzekę.

Mój przewodnik uśmiechnął się szeroko. Kupił drinki i pożartowawszy przez chwilę z barmanką, podszedł do jakiegoś faceta w szkockiej spódniczce.

- Mężczyźni! - Lois uniosła brwi o wiele ciemniejsze niż jej włosy. - Tylko ryby i polowania ich interesują. Mam już dosyć historii o tym, jak to ostatnio zerwał się łosoś. Łowisz ryby?

- O Boże, nie! - odrzekłam z uśmiechem. - Zawsze kibicuję rybom.

Zaśmiała się. Jej śmiech był szczery i sympatyczny.

- Długo znasz Neila? - spytała.

- Tylko parę tygodni. Mieszkam teraz u mego dziadka w Siedzibie.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Neil mówił mi, że jesteście starymi przyjaciółmi - powiedziałam.

- Zgadza się. Mieszkaliśmy wszyscy troje na jednej ulicy w Edynburgu i chodziliśmy do tej samej, zaniedbanej szkoły. Neil poszedł wyżej, a ja wyszłam za Bruce'a. - Spojrzała w kierunku rozmawiającego mężczyzny. - Czasami zastanawiam się, czy nie zrobiłam błędu. Wtedy byłam bardzo ambitna - zamilkła na parę chwil. - Oboje chcielibyśmy, żeby Neil częściej nas odwiedzał. Bardzo pochłania go praca, nie sądzisz? Szczególnie od czasu tragicznej śmierci jego rodziny - przerwała, widząc moje zaskoczone spojrzenie. - O, czyżby nic ci nie powiedział? Bruce zawsze mówi, że za dużo gadam.

Chciałam wypytać ją dokładniej, ale bałam się, że weźmie mnie za zbyt ciekawską. Obsłużyła klienta, po czym mówiła dalej, ściszej głoś:

- Jego rodzice i siostra zginęli w pożarze. To było straszne. Była moją najlepszą przyjaciółką. Chyba nikt z nas jeszcze się po tym nie otrząsnął.

Byłam tak wstrząśnięta, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Przykro mi było, że Neil nic mi o tym nie wspomniał. Zrozumiałam, jak słaba jest nasza przyjaźń albo to, co już przestawało być przyjaźnią. Taką przynajmniej miałam nadzieję. Lois nie zdążyła już nic dodać, gdyż podszedł do nas Lamom.

- Neil - powiedziała barmanka - może byście zostali na noc? Po kolacji będziemy z Bruce'em wolni. Pogadamy sobie.

- Mnie to odpowiada. Jeśli Rosina nie ma nic przeciwko - odparł.

Odniosłam wrażenie, że cała sprawa była ukartowana. Neil pewnie od samego początku zamierzał zostać z przyjaciółmi.

- Nie wzięłam...

- Nie ma problemu - zareagowała beztrząsowo pani domu.

- Mogę ci wszystko pożyczyć. Zatem ustalone. Gdy tylko Bruce mnie zwolni, zaprowadzę cię na górę.

Okna mego pokoju wychodziły na rzekę. Lois wyciągnęła woreczek z przyborami toaletowymi i położyła na stole.

- Mam coś jeszcze - powiedziała. - Pożyczę ci taką frywolną koszulę nocną. Wiesz, miło z twojej strony, że zgodziłaś się zostać. Cieszymy się, że mamy tutaj Neila, nawet jeśli na tak krótko.

McGillowie byli sympatycznymi ludźmi. Nawet gdybym nie wiedziała, jak silne związki łączą mego ukochanego z tą parą, to i tak bym ich lubiła. Miałam nadzieję, że po spędzeniu ze sobą pewnego czasu zostaniemy prawdziwymi przyjaciółmi.

Żadne złe słowa nie psuły szczęśliwych godzin w odległym hoteliku. Zaczęłam nabierać fałszywego poczucia

spokoju i bezpieczeństwa. Następnego ranka przy śniadaniu Neil powiedział coś, co niestety znów przypomniało mi o rzeczywistości.

- Zastanawiam się, czy nie pojechać na parę dni na Wyspy Zewnętrzne - zaczął. - Konserwator tamtejszego rezerwatu jest moim kumplem. Napisał mi, że tego roku przyleciało tam niezwykle dużo ptaków.

- Nie będzie ci ciężko? Chodzi mi o twoje ramię.

- Dam sobie radę. Jeśli zostanę w Siedzibie, to mogę złamać drugie.

- Neil, nie rozumiem.

- Rozumiesz - powiedział. - Hugh jest zdolny do wszystkiego. Chce, żebym mu zszedł z drogi.

Nie wierzyłam. Jeśli chodzi o kuzyna, to wszystko zgadzało się. Znałam go aż za dobrze. Nie miałam wątpliwości, że chce zniszczyć spokój Siedziby i nie dopuścić do ślubu dziadka. Nie rozumiałam jedynie, dlaczego usiłował pozbyć się Lamonta. Może nie chciał mieć żadnej konkurencji w zabiegach o moje względy?

"Nie - pomyślałam - to nie o to chodzi. Neil po prostu nie chce widywać się ze mną i szuka wymówki." Z jakiego innego powodu mógł tak nagle zdecydować się na podróż na Wyspy Zewnętrzne? A może mieszka tam ta druga dziewczyna? Jakże żałowałam, że usłyszałam coś, co nie było przeznaczone dla moich uszu. Byłabym o wiele szczęśliwsza, nic nie wiedząc.

Wróciliśmy do Siedziby wczesnym popołudniem. Następnego dnia Neil wypłynął. Stałam na klifie obserwując, jak mały stateczek mego ukochanego przyjaciela podskakuje na falach, unosząc go do odległych wysp. Wiatr wiał ze stałą siłą, małe grzywacze marszczyły powierzchnię morza. Stałam jak zahipnotyzowana, aż jacht zniknął za horyzontem.

Kiedy się odwróciłam, chcąc wracać do domu, stanęłam twarzą w twarz z mým kuzynem. Nie słyszałam jego kroków. Nasze spojrzenia spotkały się. Lęk, który zawsze wzbudzał we mnie ten człowiek, przerodził się w tej krótkiej chwili w przemożny strach. Nigdy przedtem nie czułam się tak bezbronna. Mógł wyciągnąć rękę i pchnąć mnie, a runęłabym w dół na spotkanie śmierci. Nieświadomie wykonałam krok do tyłu. Rzucił się do przodu i chwycił mnie, przyciągając do siebie.

- Tylko taka idiotka jak ty, Ros, może stać na skraju przepaści przy takim wietrze.

Przytulił mnie mocniej. Byłam szczęśliwa, bo nic mi nie groziło. Co za głupota sądzić, że Hugh chciałby mnie zabić. Moja ulga zmieniła się w gniew. Byłam wściekła na Neila za to, że wzbudził we mnie nieuzasadnione wątpliwości.

- Na Boga, schrońmy się gdzieś przed tym piekielnym wiatrem - rzekł kuzyn gniewnie. Skierowaliśmy się do domku nieobecnego konserwatora.

Zatrzymałam się przed wejściem.

- Nie możemy tak sobie wejść. Nie ma go w domu.

- Wiem. - Hugh pchnął drzwi i wciągnął mnie do środka. Jakże przyjemnie było schować się przed wiatrem. Nie protestowałam już więcej. Zamknął drzwi.

- Nigdy nie zrozumieć, dlaczego mieszka w tym przez Boga zapomnianym zakątku - kuzyn rozsiadł się na krześle i rozejrzał po pomieszczeniu z pogardą w oczach. - Dokąd popłynął? - spytał.

- Na Wyspy Zewnętrzne - odparłam.

- Hmm. Bardzo mi to odpowiada. Jak długo go nie będzie?

- Dwa lub trzy dni. - Wzruszyłam ramionami. Uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że zrozumiał ostrzeżenie. Zacisnęłam pięści.

- A więc to ty, że zepchnąłeś go z urwiska.

- Nie ja, droga Ros. Ja powiedziałem tylko Smithowi, że przez jakiś czas Neil Lamont nie będzie nam potrzebny.

- Co za świństwo. Przecież mógł zginąć. Hugh zerwał się i pochwycił mnie w ramiona.

- On się nie liczy, moja słodka Ros. Chodzi o nas, o naszą przyszłość. Nasze wspólne życie. Nie rozumiesz...

- Nie! - krzyknęłam. - Nie rozumiem. Wolę umrzeć, niż żyć z tobą, Hugh. Nienawidzę cię. Zawsze nienawidziłam i zawsze będę nienawidzić.

Zmrużył oczy. Myślałam, że mnie uderzy. Twarz i usta wykrzywił mu nieprzyjemny grymas.

- Zapłacisz mi za to - wymamrotał. - I to zaraz.

Usta mężczyzny zacisnęły się na moich wargach. Zaczęłam się wyrywać. Począł drzeć na mnie ubranie. Dopiero gdy kopnęłam go mocno w golenie, udało mi się oswobodzić.

Powlokłam się do krzesła i opadłam na drewniane siedzenie. Hugh jęczał, rozcierając nogi. Wydawało mi się, że robi to tylko po to, by zyskać na czasie. Sądziłam, że nie wyrzuciłam mu krzywdy. Był bardzo odporny na ból. Ale zraniłam coś innego, zraniłam jego próżność, a tego nigdy mi nie wybaczy.

Pomyślałam, że niezależnie od tego, jak długo to będzie trwać, i tak w końcu zmusi mnie do posłuszeństwa. Wiedziałam, że zawsze będę się go bać.

Po kilku minutach wyprostował się i spojrzał na mnie wściekle.

- Czemu udajesz, Ros? Doskonale wiesz, że nigdy cię nie oddam innemu facetowi, a na pewno nie takiemu nieudacznikowi jak Lamont.

- On nie jest nieudacznikiem - oburzyłam się. - Jest bardzo inteligentny, jest miły, wyrozumiały, łagodny i...

Kuzyn zaśmiał się zgrzytliwie.

- Ma wszystkie zalety, których ja nie posiadam. Takiego mężczyzny szukasz, tak?

Nie odpowiedziałam. Nie było sensu. Neil mnie nie chciał. Miał swoją dziewczynę. A ja nie chciałam mego kuzyna, przynajmniej...

Wzrok Hugh zatrzymał się na zarzuconym papierami biurku. Natychmiast zaczął przeszukiwać stertę maszynopisów, rozrzucając kartki po podłodze.

Zerwałam się na równe nogi.

- Przestań, Hugh. Czego szukasz?

- Droga, głupia Ros. Dokumentów, które dał ci dziadek i których ten głupiec Smith nie zdołał mi dostarczyć, mimo że miał je już w rekach. Są tu schowane?

- Oczywiście, że nie - wykrzyknęłam. - Myślisz, że narażałabym dom moich przyjaciół na to, co mnie się przytrafiło?

Uniósł głowę i przypatrzył mi się uważnie.

- Co się stało? - spytał.

- Och, nie udawaj. Wysłałeś tego obrzydliwego Smitha, by przeszukał moje mieszkanie. Zrobił z mego domku jeden wielki śmietnik.

- Kiedy to było? - powiedział sucho.

- Tego wieczora, gdy widziałam Smitha w Crown i... - przerwałam.

To nie mógł być on. Chyba, że był tam wcześniej. Ale wtedy zobaczyłby go Bill. Nie mógł to być również Hugh. Wtedy jeszcze nie wiedział, że mam te dokumenty. Zatem, kto? Przypomniałam sobie utarczkę z Włoszką na schodach. To Francesca. Bardzo chciała dostać w swe ręce te papiery. Przypomniałam sobie bałagan w pokojach. Niewątpliwie,

zazdrosna i przestraszona kobieta była w stanie doprowadzić mój mały domek do takiego stanu.

- Nie rozumiem, dlaczego Francesca tak bardzo ich pragnie - powiedziałam cicho. - Nie jest przecież Falconem.

Na twarzy mężczyzny pojawiły się oznaki zainteresowania.

- Zgadza się. Nie jest. I pewnie nie zostanie, gdy wyjdzie na jaw to, co wiem.

Spojrzałam na niego z przestachem.

- Hugh, proszę cię, nie denerwuj dziadka.

- Niby dlaczego? Chcę mu się tylko przysłużyć. Chyba nie chcielibyśmy, aby nasz dziadek ożenił się z bigamistką, prawda?

Popatrzyłam na kuzyna z przerażeniem.

- Bigamia! - powtórzyłam bezradnie.

- Francesca nie jest wolna. Wyszła za włoskiego żołnierza w czasie wojny. Został wzięty do niewoli. A ona nie czekała na jego powrót. Kiedy dziadek zaproponował jej pracę, od razu skorzystała z okazji. Odkryłem, że ten człowiek żyje.

- Nie wierzę ci! - krzyknęłam. Jednak w głębi duszy wiedziałam, że nie może się mylić. Hugh był perfekcjonistą i nie mówił niczego, czego nie mógłby udowodnić.

- Obawiam się, że nie obchodzi mnie to, ale może obchodzić Francescę. Wygadam wszystko, jeśli mi nie oddasz tych dokumentów.

A więc to tak. Szantaż.

- Nie! - krzyknęłam - nie pozwolę ci...

Kuzyn obrócił się do mnie plecami i wyszedł. Patrzyłam na niego. W moim sercu wściekłość mieszała się z nienawiścią i strachem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jeśli Hugh wyobrażał sobie, że zdoła mnie zmusić do współpracy, to się grubo mylił. Kochałam dziadka i nigdy bym nie pozwoliła, żeby ktoś go skrzywdził. Musiałam się jednak w jakiś sposób dowiedzieć czy stary Falcon, który tak ciepło przyjął mnie w Siedzibie i traktował jak prawdziwą, ukochaną wnuczkę, zdaje sobie sprawę z sytuacji. Okazja po temu nadarzyła się następnej niedzieli.

Zjawiłam się w Wielkim Domu na lunch. Liz podała poledwicę wołową, a do picia beaujolais, ulubione wino dziadka. Jedząc łamałam sobie głowę nad tym, jak poruszyć ten temat

Z trudności wybawiła mnie Włoszka.

- Alistair - powiedziała - teraz, gdy już wyzdrowiałeś, możemy ogłosić dzień Ślubu. Czekaliśmy zbyt długo - przerwała i obrzuciła mnie zimnym spojrzeniem. - Wiem, że ty i twój obmierzły kuzyn chcielibyście nie dopuścić...

- Nie, ja nie - przerwałam jej. - To znaczy, jeśli nie... - zaczęłam się plątać.

Napotkałam niewzruszone spojrzenie starego mężczyzny.

- Masz rację, Francesca. To będzie skromny ślub, Rosina.

Dziwiłam się, dlaczego o tym mówi. Przecież to było jasne.

- Tylko rodzina i paru przyjaciół - ciągnął dalej.

- Nie chcę tutaj twojej rodziny - wtrąciła Francesca. - To niesprawiedliwe. Ja nie mam kogo zaprosić - uniosła ręce w dramatycznym geście.

"Oprócz męża" - pomyślałam kwaśno. Dziadek wstał od stołu.

- Rosina, może się przejdziemy. Mam ochotę odwiedzić kaplicę.

Wyszliśmy z budynku. Dzień był smutny i szary. Ciężkie, sepiowe chmury zdawały się zaczepiać o wierzchołki drzew.

Szliśmy wolno ścieżką, ramię w ramię. Pierwszy raz wybraliśmy się do kaplicy. Zazwyczaj przechadzaliśmy się po klifie, napawając się widokami morskich równin.

- Francesca nazywa taką pogodę dniami żałości. Gdy jeszcze pływałem, bardzo nie lubiłem takiego nieba. Cisza przed burzą.

"Nawet natura pomaga kuzynowi" - przebiegło mi przez głowę.

Dotarliśmy do polanki i weszliśmy na cmentarz. Przy grobie babci dziadek zatrzymał się i z dziurki na guzik wyjął czerwoną różę. Ostrożnie, z szacunkiem położył kwiat na nagrobku. Popatrzył przez chwilę na kamień, po czym westchnął.

- Była dobrą kobietą - rzekł, podkreślając słowa, jakby oddawał należną cześć swej żonie. - Nigdy nie pogodziła się ze śmiercią Andrew. Uwielbiała go. Nie chciała wierzyć, że wszystko skończone. Gdyby tylko odnaleziono ciało. Może łatwiej by to zniosła - chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie. - Sądziła, że jej syn tylko zniknął - mówił dalej - i że kiedyś powróci. Przez pewien czas wszyscy tak myśleliśmy. Szczególnie Hugh. Miał wtedy chyba dziesięć albo jedenaście lat. Spędził z nami całe lato. Później przez długi czas śniły mu się koszmary. Budził się w nocy krzycząc, że wie, gdzie jest wujek.

Dziadek cofnął rękę i rozłożył dużą, białą chustkę. Energicznie wydmuchał nos.

- Słyszałem, że Hugh wrócił.

Przebiegł mnie dreszcz. Miałam wrażenie, że przeszłość wciąż krąży nad nami, że te przeszłe dni dopiero teraz zbliżają się do jakiegoś strasznego wypełnienia.

- Nie możesz go, dziadku, przekonać, żeby sobie pojechał? - powiedziałam natarczywie. - Jest zdecydowany narobić Francesce kłopotów - przerwałam bojąc się, że

powiedziałam zbyt dużo. Nagle, ośmielona sytuacją, dodałam:
- Dziadku, dlaczego żenisz się z Francescą?

Bałam się na niego spojrzeć, ale tylko zaśmiał się przyjaźnie.

- Kocham tę kobietę - odparł. - Zawsze kochałem. Chcę, żeby nie martwiła się o przyszłość.

- Ale dlaczego czekałeś tak długo? Babka zmarła osiemnaście lat temu.

Nie odpowiadał przez chwilę, po czym rzekł zdawkowo:

- Nie wydawało mi się to niczym pilnym. Aż do niedawna. Wiesz, jestem starym niedołęgą, myślałem, że będę żył wiecznie...

Pomyślałam o ich samotnym życiu w tym odległym miejscu. Czy były to szczęśliwe lata? Miałam uczucie, że staremu Falconowi nie zależy tak bardzo na formalnym związku. To Włoszka chciała ślubu. Czyżby porzuciła nadzieję? Ale na co? A może choroba dziadka uświadomiła jej, że nie jest odpowiednio zabezpieczona?

- Czy Francescą cię kocha? - spytałam. Uśmiechnął się.

- Na swój sposób, moje drogie dziecko.

- Ale... czy to wystarcza?

- O, tak.

- Ale - nie ustępowałam - czy jest jakiś powód, żeby...

- To już nie ma znaczenia - przerwał mi. - Chodź, wracajmy już. Mam ochotę dołożyć ci w szachach.

Żałowałam, że nie udało mi się powiedzieć dziadkowi tego, co wiedziałam. Myślałam nad tym bardzo głęboko następnego dnia, gdy jechałam do Lochair, by odebrać dokumenty z banku.

Gdy rozkładałam te papiery na stole w moim domku, miałam nadzieję, że w końcu rozwikłam tajemnicę, która otaczała Siedzibę i Śmierć ojca. Stare dokumenty okazały się bardzo zajmujące. Zanurzyłam się w zdarzeniach sprzed

dwustu lat, gdy handlarz niewolników Falcon wysadził partię Murzynów na tych nagich skałach i popędził tłumek przez tunel Crying Cove. Jakże nienawidziłam tego człowieka, który, niestety, był moim przodkiem.

Przewracałam rachunki sprzedaży i rachunki za materiały budowlane na Wielki Dom. Stół zaścieliły niezliczone dokumenty: akty własności, potwierdzenia kupna i tym podobne. Z wolna zaczął mi się rysować kształt mojej przyszłej pracy magisterskiej.

Dopiero po pewnym czasie, gdy oderwałam się od lektury i powróciłam do prześladujących mnie pytań i wątpliwości, mogłam ogarnąć całość zgromadzonej przeze mnie wiedzy. W świetle tego, co przeczytałam, gorące pragnienie kuzyna, by dostać w swe ręce te papiery, było całkowicie bezsensowne.

Kolejny raz rozłożyłam przed sobą niedokładny plan tunelu, który znajdował się w kopercie razem z resztą papierów. Zauważyłam, że było tam wiele poprzecznych tuneli i komór. Znajdowały się w połowie głównego przejścia. Przypomniałam sobie, że Neil wspominał kiedyś o blokujących tunel skałach. Nie wiedziałam tylko, w którym to było miejscu. Nie miałam wątpliwości, że Hugh przebadał już dostępną część podziemi. Zatem to, czego szukał, musiało się znajdować w odciętej części. Dziadek mówił, że mój ojciec odkrył coś w Crying Cove. Czyżby młody Pevensey orientował się, co to takiego było?

Gdy zaczęłam zbierać porozrzucane papierzyska, moje myśli skierowały się ku Włoszce i jej dziwnemu zachowaniu. Jeśli, tak jak podejrzewałam, to ona przeszukała moje rzeczy, to czego mogła szukać? Odrzuciłam myśl, że interesowały ją perły. Z pewnością знаła legendę o klątwie i bez wątpienia była zbyt przesadna, by chociaż tylko dotknąć tego niewinnego klejnotu. Szczególnie teraz, gdy spodziewała się, że zostanie członkiem rodu Falconów.

Złożyłam plan i zaczęłam wkładać dokumenty do dużej koperty. Zawadziły o coś. Sięgnęłam do środka i wyjęłam list, zaadresowany do Francesci.

Ważylałam go przez chwilę w ręce. Mój niepokój wzbudził charakter pisma, którym napisano słowa zdobiące prosta kopertę. Wydawał mi się znajomy. Może tego szukała? A jeśli tak, czy powinnam dać jej go teraz? Instynkt ostrzegł mnie, by tego nie robić. Okazja sama się nadarzy. Ale za żadne skarby nie mogłam dopuścić, by naszyjnik i ten list wpadły w łapy kuzyna. Jedynym bezpiecznym miejscem, w którym mogłam ukryć te przedmioty, była, jak mi się wydawało, moja szkatułka na biżuterię. Tam też schowałam te cenne skarby.

Neil wrócił poprzedniego wieczora. Pośpieszyłam, aby się go poradzić.

Zapukałam do drzwi i weszłam.

- Cześć, Rosie! - Gospodarz studiował stertę fotografii, zalegającą stół. - Nie wiem, co z tym zrobić - powiedział. - Spójrz! Te ptaki zazwyczaj budują gniazda u podnóża klifu, a tutaj masz je prawie na samej górze. Jest to tak niezwykle, że daliśmy znać instytutowi meteorologicznemu.

Akurat w tym momencie dziwne zachowanie tych zwierząt za bardzo mnie nie interesowało,

- Neil - przerwałam mu obcesowo - zaprowadzisz mnie do tunelu?

Odłożył zdjęcia i spojrzał na mnie twardo.

- Po co?

- Hugh chce koniecznie dostać te dokumenty. Jest tu plan podziemi. Chciałabym je sprawdzić, zanim pożegniam się z tymi papierami. - Rozłożyłam niewyraźny szkic na stole.

- Nic nie widzę - narzekał Neil.

- Proszę - upierałam się.

W chwili, gdy otworzył piwnicę i zaczęliśmy schodzić zniszczonymi schodami w dół, zaczęłam żałować swego

uporu. Nie byłam już taka pewna, że moje poszukiwania nie okażą się niebezpieczne. Nie tylko dla mnie, ale także dla moich bliskich.

Lamont szedł przede mną, oświetlając drogę latarką. Na dole znajdowały się trzy duże pomieszczenia piwniczne. W drgającym świetle dostrzegłam żelazne pierścienie, umieszczone w kamiennych ścianach. Przebyliśmy przejście i weszliśmy do właściwego tunelu.

- Najwyższy czas, aby Alistair kazał to zamurować. - W niewielkiej przestrzeni korytarza głos mego towarzysza brzmiał niezwykle głośno. - Zobacz! Te skały musiały spaść niedawno.

Szłam tuż za nim. Serce biło mi gwałtownie. Lśniące ściany promieniowały jakąś niezrozumiałą, lecz wyczuwalną aurą niepokoju. Powietrze wypełniał ostry, wilgotny zapach. Natknęliśmy się na zwał kamieni, które blokowały przejście.

- To koniec. Nie możemy iść dalej - powiedział Neil.

- A nie można się dostać do małych komór z drugiej strony?

- Nie, tam też jest zasypane. Żeby się przedostać, trzeba by użyć dynamitu.

Gdy bezpiecznie wróciliśmy na górę, zrobiłam kawę.

- Neil, kiedy zasypało tunel? Chodzi mi o to, czy to się stało przed śmiercią mego ojca, czy po?

Chwycił mnie za nadgarstek. Miał w oczach coś, co wzbudziło we mnie strach.

- Zapomnij o tym - powiedział.

- Nie mogę. Przypuśćmy, że był tam na dole...

- Przestań, Rosie. - Ścisnął mocniej moją rękę. - Takie myśli są niebezpieczne.

Wiedziałam, o co mu chodzi. Miałam nadzieję, że przez zbadanie okropnego tunelu zdołam pozbyć się prześladowających mnie koszmarów, pełnych niejasnych

domysłów i niepokojących podejrzeń. Często budziłam się w nocy spocona z przerażenia, z rozbrzmiewającym w uszach zawodzeniem. Wyrwałam rękę z uścisku i usiadłam przy stole. Zaczęłam ze zniechęceniem przerzucać papiery.

- Gdybym tylko wiedziała, czego mój kuzyn szuka - powiedziałam. - Ale przejrzałam dokładnie wszystko i dalej nic nie rozumiem.

Neil przysiadł się do mnie. Odłożył na bok akty własności i innego typu dokumenty i zainteresował się dziennikiem ojca. Przeglądałam go wcześniej. Czytałam te notatki z mieszanymi uczuciami. Liczyłam, że znajdę tam coś o mnie lub o mojej matce, ale większość tego, co napisał, była dla mnie niezrozumiała.

Lamont uważnie przewracał kartki manuskryptu.

- Nie widzę spisu - rzekł, wskazując na papiery.

- Spis? - powtórzyłam. - Nie rozumiem.

- Twój ojciec pisze: "W końcu mam ten spis i wiem teraz, co robić. Tacie to się nie będzie podobać i zrobi wszystko, żeby mnie powstrzymać. Ale zdecydowałem się. Jedyne, czego mi trzeba, to kapitał." - Przewrócił kartkę i czytał dalej: - "Wiem już, skąd wezmę pieniądze."

Neil zamknął dziennik i włożył mi go w rękę.

- Zaginiony spis jest odpowiedzią na twoje pytania, Rosie. Nie dawaj tych zapisków twemu kuzynowi, jeśli nie chcesz, by dokopał się głębiej. Jestem przekonany, że znał plany twego ojca.

Byłam podobnego zdania. Schowałam dziennik razem z listem i naszyjnikiem. Klucz zawiesiłam na bransolecie, z którą nigdy się nie rozstawałam.

Hugh wrócił tydzień później. Byłam bardzo zdenerwowana, widząc, jak wciąga ponton na plażę. W parę minut później znalazł się pod moim domem i wszedł bez pukania.

- Ros, kochanie. - Chwycił mnie i pocałował w usta. Zesztywniałam. Udał, że nie zauważa mego braku reakcji. Ale z tonu, jakim powiedział: - Gdzie są te dokumenty? - domyśliłam się, że jest rozdrażniony.

Wskazałam leżącą na stole paczkę. Podniósł ją podejrzliwie.

- Czytałaś je! - rzekł oskarżycielsko. - Co znalazłaś?

- Wspaniale spojrzenie na handel niewolnikami ze strony samych handlarzy - entuzjazmowałam się. - Wykorzystam część tych materiałów w mojej pracy magisterskiej...

- Jest tu plan tunelu? - przerwał mi.

Podalam mu kartkę. Patrzyłam, jak studiuje ją pilnie. Czyżbym nie zauważyła czegoś ważnego?

- Neil mówi, że ten plan jest bezużyteczny - powiedziałam nerwowo. - Jak pewnie wiesz, przejście jest zasypane. Żeby się przedostać, trzeba wysadzić skały - zażartowałam.

- Lamont! - Uniósł gwałtownie głowę. - Byłaś z nim w tunelu?

- Dlaczego by nie? Piwnice są pod jego domem.

- Naszym domem - wtrącił. - Wszystko w Siedzibie należy do Falconów.

- Hugh, czego ty szukasz? Na dole niczego nie ma.

- Pamiętam, jak twój ojciec zabrał mnie tam pierwszy raz. Przeszliśmy bez trudności. Nie było żadnych skał.

- Jesteś pewny? - spytałam.

- Oczywiście - odparł niecierpliwie. - Nie waż mi się znowu wchodzić do tunelu i ostrzeż Lamonta, by trzymał się od niego z daleka...

Bardzo nie chciałam oddawać tych dokumentów kuzynowi. Wiedziałam, że zdradzam zaufanie dziadka, ale nie ośmieliłam się przeciwstawić temu bezwzględnemu

mężczyźnie. Czułam, że będę bezpieczna dopiero wtedy, gdy u mego boku znajdzie się ciocia Jenny. Ona mnie obroni.

List od mej zbawczym, w którym ciotka prosiła, bym przyjechała po nią na dworzec w Lochair, uspokoił mnie i jednocześnie napełnił radością. Poszłam do Wielkiego Domu, by upewnić się, czy Francesca przygotowała dla niej pokój. Po raz pierwszy miałam okazję pomóc Włoszce.

- Nie chcę, żeby Alistair jechał po nią na dworzec - powiedziała, gdy w korytarzu objaśniłam jej, co mnie sprowadza. - Po co ona przyjeżdża? Czy nigdy nie zostawicie nas w spokoju?

- Proszę cię, Francesca, bądź dla niej miła. To jest bardzo ważne dla dziadka.

- Nie cieszę się z jej przyjazdu. Ona mną gardzi.

- Niemożliwe... - zaczęłam.

- Nic nie wiesz. Ona dobrze pamięta mój przyjazd. Byłam bosa i tak chuda, że sterczały mi zębra. Powiedziała Alistairowi, że się wyprowadzi, jeśli zostanę po śmierci twej babki. Chce mnie odesłać z powrotem - wzdrygnęła się. - We Włoszech jestem niczym. Ale jak zostanę żoną Alistaira, to sytuacja się zmieni.

- Chciałabyś, żeby ciocia zamieszkała ze mną?

- Nie. Alistairowi to by się nie podobało. Ale pokażę jej, kto tu jest panią.

Wizyta Jenny zapowiadała się burzliwie. Na pewno lepiej byłoby, jakbym sama pojechała odebrać ciotkę. Mogłabym wtedy spokojnie wytłumaczyć jej, co zmieniło się w Siedzibie. Postanowiłam przekonać o tym dziadka.

Zgodził się bez dyskusji. Doskonale rozumiał uczucia Francesci.

Następnego ranka pojechałam moim mini do Lochair. Zaparkowałam przed dworcem. Ponieważ miałam jeszcze trochę czasu, zrobiłam zakupy i wpadłam do fotografa ze

zdjęciem, które pożyczył mi Bill. Szybka i ramka uległy uszkodzeniu podczas włamania do mego domku. Chciałam wymienić oprawę, zanim oddam staremu Corbinowi jego własność.

Wybrałam nową oprawkę, a fotograf usłużnie wyjął zdjęcie ze starej i położył zniszczone drewno na ladzie. Spojrzałam zaskoczona. Ze starej oprawki wychyliło się brakujące ogniwo moich poszukiwań: spis!

- Dziwne rzeczy ludzie wkładają w takie miejsca - zażartował fotograf. - Chce to pani z powrotem?

- Tak - odrzekłam bez tchu. Z niecierpliwością obserwowałam, jak zawija mój skarb. W końcu chwyciłam pakunek i pobiegłam na stację.

Dotarłam na miejsce i spojrzałam na zegar. Pociąg mógł być w każdej chwili.

Po paru minutach na dworzec wtoczyła się sapiąca lokomotywa, ciągnąc za sobą sznur wagonów. Z jednego z nich wysiadła ciotka. Natychmiast przywołała bagażowego. Miała na sobie ciemnozieloną pelerynę, a z kapelusza sterczało bażancie pióro. Mimo całonocnej podróży jej krok był dość zwawy. Szła rozglądając się.

- Ros, najdroższa! - zawołała. - Jak dobrze znowu cię widzieć - powiedziała, całując mnie w policzki.

Jakże czułam się bezpiecznie, gdy mnie objęła, a delikatny zapach gardenii, który wydawał się częścią jej garderoby wypełnił powietrze.

- Może - powiedziała, wyjaśniając bagażowemu, jak ułożyć bagaże w samochodzie - może napiłybyśmy się herbaty w herbaciarni pani Crawford? Mam nadzieję, że ciągle jest tu to miejsce? - dodała niespokojnie.

Bez trudu odnalazłyśmy małe królestwo wschodnich napojów. Zamawiając herbatę i naleśniki, dowiedziałyśmy się

od córki pani Crawford, że jej mama dobrze się czuje i rankami jeszcze pracuje. Piecze ciasto dla klientów.

Ciocia rozlała herbatę. Była blada, a pod oczami miała czarne smugi.

- Trochę się boję tam jechać - powiedziała. - Siedziba musiała się zmienić przez te osiemnaście lat.

- Nie, nie zmieniła się - zapewniłam Jenny. - Zresztą, niby dlaczego miałyby się coś zmienić?

- Och - zaczęła - Andrew miał kiedyś plany, a teraz Hugh... Ale ojciec na pewno tego nie poprze.

- Co to za plany?

- Naprawdę nie wiem. Twoja matka coś wspominała. Ale wiedziałam, że w Siedzibie nic się nie może zmienić. Co za radość napić się dobrej herbaty - dodała.

Siedziałyśmy przez pewien czas w milczeniu.

- Podjęłam poważną decyzję, moja droga - przerwała ciszę Jenny. - Wracam na wyspę.

- Ależ nie możesz! - zareagowałam przerażona. - Co na to Wilmot i Francesca? Nie możecie obie rządzić w Wielkim Domu.

- Będzie musiała odejść.

Pierwszy raz w życiu zobaczyłam, że ciotka może być tak nieczuła. Byłam zatrwożona.

- Ale to niemożliwe - zaprotestowałam. - Wychodzi za dziadka i to jest jej dom. Opiekowała się nim przez wszystkie te lata. Nie można jej teraz odsyłać.

Moja ukochana przyjaciółka uczyniła niecierpliwy gest. Ten ruch przypominał mi gestykulację mego kuzyna. Przestraszyłam się nie na żarty.

- A więc przekabaciła cię - powiedziała.

- Ciocia nie rozumie. Dziadek kocha ją. - Patrzyła na mnie bez słowa, zatem nie przerywałam. - Proszę, niech ciocia nie miesza się. Są tacy szczęśliwi.

- Ślub jest niemożliwy - odrzekła zimno. Domyśliłam się, że Hugh musiał wszystko wygadać.

- Jestem pewna, że ojciec zrozumie - dodała.

- Tak, na pewno - powiedziałam z beznadzieją w głosie. - Ale niech ciocia nie myśli, że dziadek będzie wdzięczny za takie wtrącanie się.

Jenny wstała i poprosiła o rachunek. Bez słowa wyszliśmy z lokalu i wsiadliśmy do auta. Ciotka rozsiadła się na siedzeniu. W czasie piętnastokilometrowej jazdy do grobli wypytała mnie o mój domek. Bardzo była zadowolona z tego, że w końcu mam swój własny dom.

Trochę się odprężyłam. Miałam uczucie, jakby ta koszmarna rozmowa w herbaciarni nie miała miejsca.

Gdy wjechałyśmy na przejazd, zobaczyłam, że ciotka zeszywniała, a gdy dojechałyśmy do małej polanki, która znajdowała się tuż nad Wielkim Domem, zrozumiałam, że moja pasażerka jest głęboko poruszona.

- Zbudowany przez niewolników - powiedziałam, obracając się w jej stronę. - Nienawidzę tego miejsca. Ciągłe wydaje mi się, że słyszę jakieś dziwne dźwięki... zawodzenia...

- Niemądra z ciebie dziewczyna - zaśmiała się.

- Nic ciocię to nie obchodzi? - spytałam.

- Nie - odparła - obchodzi mnie. Ale to nic nie zmieni. Trzeba zaakceptować przeszłość.

- Nigdy - powiedziałam namiętnie. Myślałam kiedyś, że będę mogła opowiedzieć cioci o tym, jak położyłam róże na grobie Sama i jak opłakiwałam jego nieszczęście. Ale teraz wiedziałam, że nie jest to możliwe. Przyjęła coś, czego ja nigdy nie zaakceptuję. "Tak samo jak Neil" - pomyślałam z radością. Bardzo chciałam, by był ze mną w tej chwili. Nigdy przedtem tak go nie potrzebowałam.

Uruchomiłam silnik i ruszyłam wolno. Zaparkowałam przed głównymi drzwiami.

- No to jesteśmy - powiedziałam słabo. - Przyniosę bagaże.

Wahała się przez sekundę, po czym wysiadła i pobiegła w górę schodów. Nacisnęła klamkę. Ale drzwi były zamknięte. Nie widziałam twarzy Jenny, ale domyśliłam się, co czuje, gdy podnosi kołatkę. Puściła ciężar, który uderzył ciężko w drewno.

Liz otworzyła drzwi i ciotka wmaszerowała do wnętrza. Wyjęłam walizki z mini. Pani Corbin zeszła do mnie.

- Nie zmieniła się - powiedziała, podnosząc dwie torby.

- Nie wiedziałam, że pani ją zna. Liz uśmiechnęła się szeroko.

- Przyjechała do pani matki po śmierci pana Andrew, a potem została aż do śmierci pani babki. Nie za dobrze współżyła z panią Francescą - dodała sucho.

Pomyślałam, że teraz nie będzie inaczej. Chwyciłam resztę bagaży i zaczęłam je taszczyć po schodach do wolnego pokoju.

Na półpiętrze spotkałam Włoszkę.

- Przyjechała? Przytaknęłam.

- Rosina, proszę cię, zjedz z nami kolację. Tak będzie najlepiej.

Wahałam się. Pragnęłam jak najszybciej podzielić się moim odkryciem z Neilem.

- Neil również przyjdzie.

- Dobrze, będę - powiedziałam.

Bardzo bałam się tego wieczora. Powiedziałam to Lamontowi, kiedy jechaliśmy moim mini do Wielkiego Domu.

- Będą problemy - przewidywałam. - Nigdy nie widziałam cioci Jenny takiej agresywnej.

- Wszystkie ptaki stają się agresywne, gdy czują zagrożenie - skomentował.

- Ale Francesca i Jenny nie są ptakami - rzekłam z oburzeniem, widząc jednak wesołe ogniki w oczach mego towarzysza, roześmiałam się.

Dobrze się stało, że stół, który wykonał Sam, był okrągły. Francesca Battista siedziała z jednej, a Jenny Pevensey z drugiej strony Alistaira Falcona. Na pozostałych krzesłach usiedliśmy my.

Włoszka wyglądała wspaniale. Jej ciemne włosy połyskiwały w elektrycznym świetle, a oczy błyszczały. Miała na sobie pawioblękitną sukienkę, bogato zdobioną cekinami. Za to ciocia Jenny przypominała strzyżyka. Ubrała tego wieczoru prostą, brązową sukienkę. Jedyne jej ramię zdobiła diamentowa broszka.

Liz przeszła samą siebie. Łosoś był usmażony perfekcyjnie, a bażanty przyrządzone tak, że ich smakowite mięso wprost rozpływało się w ustach. Razem z Neilem skoncentrowaliśmy się na posiłku. Nasze umiejętności kulinarne nie były wysokiego lotu. Zwykle zadowalaliśmy się byle jak przyrządzonymi potrawami. Mieliśmy teraz okazję nasycić się prawdziwym jedzeniem.

Jenny prowadziła rozmowę. Mówiła o tym i owym i dopiero gdy na stole pojawił się boski biskopt Liz, zaatakowała.

- Wilmot zdecydował się przyjechać na twój ślub, ojciec - zaczęła. - Muszę powiadomić go o dacie.

Zaległa napięta cisza.

- Dobrze - rzekł dziadek. - Mam z nim parę spraw do omówienia.

- A więc - powtórzyła - kiedy to będzie?

- Jeszcze się nie zdecydowaliśmy - wtrąciła Francesca.

- I nigdy się nie zdecydujecie - wycedziła Jenny. - Dobrze wiesz, Francesca, że nie możesz wyjść za mego ojca.

Włoszka obróciła się do starego mężczyzny. Przez moment myślałam, że się przestraszyła. Ale nie. Pewność, z jaką położyła rękę na jego ramieniu, wyraźnie temu przeczyła. Uśmiechnął się do niej. Nie mogłam mieć wątpliwości.

- Nie ma problemu - rzekł radośnie dziadek. - Jeśli chodzi ci o poprzednie małżeństwo Francesci, to zostało ono unieważnione. Czyżby Hugh się pomylił? On, taki perfekcjonista?

Ciocia poczerwieniała.

- Czy masz, ojcze, dowody? - powiedziała.

- Jenny, jak śmiesz? - Zmrużył oczy. Był bardzo rozgniewany. - Bardzo się dziwię, że możesz myśleć... - urwał i zwrócił się do Włoszki. - Czy wystarczy ci miesiąc na przygotowanie wszystkiego?

Serce mi stanęło, gdy ujrzałam jej rozanielony uśmiech.

- Oczywiście, drogi Alistairze.

- To wspaniale. Zastanawiam się, Neil, czy zgodziłbyś się zostać moim przyjacielem.

- Byłbym zaszczycony - odrzekł Lamont. Dziadek skinął głową.

- Będziesz potrzebować drużyny, moja droga. - Chwycił swą przyszłą małżonkę za rękę i rozejrzał się. Wzrok starego Falcona zatrzymał się na mnie. - Rosina - powiedział - będę bardzo szczęśliwy, jeśli się zgodzisz.

- Z chęcią - wyjąkałam. Zobaczyłam, jak ciotka blednie, zagryzając wargi. Tylko ja wiedziałam, jaka jest wściekła.

- Zatem wszystko ustalone - zakończył dziadek.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jedynie Liz Corbin wydawała się cieszyć z nadchodzącej uroczystości. Usiłowała wciągnąć do przygotowań ciocię Jenny i Francescę, ta pierwsza jednak kategorycznie odmówiła, a przyszła panna młoda trzymała się dziwnie na uboczu. Zachowywała się jak dziecko, któremu wielokrotnie obiecywano coś dobrego, co jednak nigdy nie chciało się spełnić. A teraz, gdy nagroda była tak blisko, nie była w stanie w to uwierzyć.

Zdesperowana Liz musiała mnie zatrudnić do pomocy. Pojechałam do Lochair i zamówiłam tort, kwiaty i szampana. Zawiozłam również zaproszenia do paru przyjaciół dziadka.

Ceremonia miała odbyć się w południe, tak by goście przed uroczystością mogli jeszcze przejechać do Siedziby, a po przyjęciu weselnym opuścić wyspę, zanim wody przyływu pokryją groble.

Pewnego ranka Francesca zawołała mnie do swojej sypialni.

- Zobacz - poprosiła. - Jak ci się to podoba?

Z przerażeniem ujrzałam na łóżku satynową suknię ślubną w kolorze kości słoniowej. Według mnie taki strój był zupełnie nieodpowiedni dla starzejącej się kobiety, ale nie mogłam powiedzieć tego Włoszce prosto w twarz. Nie chciałam zniszczyć tej radości, jaka lśniła w jej oczach.

- Widzisz, zawsze chciałam mieć białą suknię Ślubną. - Uniosła satynę i przypasowała do swej figury. - Kiedy wychodziłam za Luigię, byliśmy tak biedni, że musiałam pożyczyć sukienkę z bierzmowania mojej siostry, ale niestety była za duża. Musiałam ubrać moją starą, różową. Luigiemu to nie przeszkadzało, ale mnie tak.

- Przymierz ją - powiedziałam, chcąc zyskać na czasie. Nie miałam wyjścia. W jakiś taktowny sposób musiałam powiedzieć prawdę.

- Dobrze - zgodziła się - poczekaj na zewnątrz. Czekałam na korytarzu około pięciu minut. W końcu

zawołała mnie. Wchodząc do pokoju, nie byłam pewna, co powiedzieć. Ujrzawszy ją jednak, aż westchnęłam z zachwytu. Wyglądała wspaniale, zupełnie jakby wiktoriańska dama zstąpiła z okładki ilustrowanego magazynu. Biały materiał opadał aż do stóp, a ozdobione kryzą rękawy i kołnierz podkreślały królewską figurę panny młodej.

- Francesca! Wyglądasz przepięknie.

- Będzie zadowolony?

- Tak - potwierdziłam. - Będzie oczarowany.

- To dobrze. A teraz, Rosina, chyba nie pogniewasz się, jeśli dam ci sukienkę, którą dostałam dawno temu - przerwała.

Delikatny uśmiech przepłynął jej przez twarz.

- Z pewnych powodów nigdy jej nie nosiłam. Wyjęła z szafy długą suknię.

- Kiedyś byłam tak szczupła jak ty. Ten kolor powinien ci odpowiadać.

Przyłożyłam do ciała niezapominajkowo niebieski materiał. Suknia dobrze leżała na mojej smukłej postaci. Karczek i obrzeże zdobiła kreza o ciemniejszym odcieniu. Była, co prawda, strasznie staroświecka, ale mimo tego w jakiś dziwny sposób idealnie pasowała do ślubnego stroju Francesci.

- Jeśli potrzebne będą jakieś poprawki, to Liz się tym zajmie. Mam nadzieję, że będziesz tak miła i ubierzesz ją.

Miałam uczucie, że Włoszka daje mi coś cenniejszego niż tylko starą, niemodną sukienkę. Może wraz z nią porzucała nadzieje, które żywiła przez wiele lat.

Bardzo chciałam pokazać sukienkę cioci Jenny, ale od czasu pamiętnej kolacji nasze stosunki ochłodziły się. Opuszczała dom wcześniej rano, a wieczory spędzała samotnie ze swoim ojcem. Nie mogłam się również cieszyć

towarzystwem Neila, który wyjechał do Edynburga. Miałam odebrać go z dworca w dniu powrotu. Miał umówioną wizytę w szpitalu. Za dnia byłam zbyt zajęta, by za nim tęsknić, lecz gdy wieczorami siedziałam sama w moim gniazdku, nie mogłam przestać o nim myśleć. Liczyłam godziny, które pozostawały do powrotu mego ukochanego.

Umówionego dnia znalazłam się na stacji we właściwym czasie. Czekałam rozgorączkowana na spóźniający się pociąg. W końcu na peron wtoczyła się lokomotywa i z wagonu, jako jeden z pierwszych, wyskoczył Lamont. Gdy mnie zobaczył, jego twarz rozjaśniła się. Podbiegł do mnie susami. Serce załomotało mi, lecz po chwili, gdy schylił się nade mną i pocałował w koniuszek nosa, uspokoiło się.

- Za to cię lubię, Rosie. Zawsze można na tobie polegać.

Nie byłam pewna czy to komplement, ale tak się cieszyłam z jego powrotu, że nie miałam czasu zastanawiać się nad tym.

Wrzucił torbę do bagażnika mini i wcisnął się na siedzenie. Był w bardzo dobrym nastroju.

- No - zaczął, gdy ruszyłam spod dworca w kierunku szpitala - wszystko gotowe do wyprawy na Antarktykę. Dojadę do moich kolegów po ślubie.

Milczałam, patrząc nieruchomo na wijącą się przede mną drogę. W uszach rozbrzmiewały mi nie wypowiedziane słowa protestu. Nie przerywał i dalej opowiadał o swoich planach. Dopiero gdy dojechaliśmy na miejsce i mój pasażer wyskoczył z samochodu, mogłam odetchnąć ciężko i zmierzyć się z bólem, który niechcący spowodował.

Wolno zamknęłam mini i chwiejąc się przeszłam do poczekalni. W bufecie kupiłam kawę. Było jasne, że mnie nie kocha. Zdarzyły się jednak chwile, w których łudziłam się... Zatopiona w ponurych myślach nie zauważyłam jego powrotu.

- Hej, Rosie! - Znalazł się przede mną.

Spojrzałam w górę. Przez sekundę zdawało mi się, że widzę w jego oczach błysk uczucia. Uśmiechnął się łagodnie, uśmiechem, za który go kochałam, i położył palec na moim policzku.

- Będziemy musieli długo czekać na przejazd - powiedziałam sztywno.

- Wiem - odpowiedział. - Pomyślałem, że moglibyśmy wybrać się w góry. Ładny dzisiaj dzień. - Zrobił głęboki wdech, smakując powietrze. - Boże! - powiedział. - Antyseptyki. - Zaśmialiśmy się razem.

Dzień rzeczywiście był ładny. Można już było dostrzec nadchodzącą jesień. Niebo rozciągało się nad nami przepastnym błękitem, a góry, które obserwowałam tęsknie z Siedziby, wydawały się leżeć w zasięgu ręki.

Pojechaliśmy w głąb lądu pustą drogą. Zatrzymaliśmy się w motelu, by napić się drinka i zjeść parę kanapek. Po posiłku ruszyliśmy dalej. Neil nic nie mówił. Rzuciłam na niego okiem raz czy dwa, ale miał odwróconą twarz. Czułam, że jest napięty. Nie mogłam tego zrozumieć. Co w tym cudownym krajobrazie mogło spowodować taką zmianę nastroju? Byłam urażona. Myślałam, że Neil w jakiś sposób wykorzystuje mnie do własnych celów.

Z trudem wspięliśmy się na stromy podjazd. Kiedy zbliżaliśmy się do szczytu, mój towarzysz odezwał się:

- Skreć w lewo - i wskazał wąską drogę, która gwałtownie opadała w dół, chroniona z góry przez wypiętrzone skały. Było to dzikie, przejmujące miejsce. Nieopodal szumiał wodospad, a powyginane przez wichury drzewa przywierały niepewnie do skraju przepaści. Poniżej rozciągało się zielono-brązowe zbocze, na którym w oddali pały się owce. Gdy skręciłam na tę wyboistą drogę, ujrzałam usadowiony pod skarpą dom.

Neil znowu zamilkł. Spojrzawszy na niego, zobaczyłam, że pięści ma zaciśnięte. Nie wiem dlaczego, ale jego zachowanie wzbudzało we mnie strach.

Zwolniłam, rozglądając się za miejscem do zawracania, lecz Lamont kazał mi jechać dalej. Musiałam kierować bardzo uważnie, by omijać dziury i kamienie, które pokrywały drogę.

Trakt kończył się gwałtownie na podwórzu przy domku. Musiałam się zatrzymać. Budynek był zaniedbany. Miałam wrażenie, że jest bezludny jak cała ta zapomniana przez Boga dolina.

Zanim zdążyłam coś powiedzieć, Neil wyskoczył z mini, przeszedł przez podwórze i zniknął za rogiem. Usłyszałam szczekanie psa, a po chwili ktoś krzyknął i zaległa cisza.

Wyśliznęłam się z samochodu, oparłam o maskę i rozejrzałam dokoła. Chociaż spędziłam wiele wakacji, wspinając się w górach Cumbrii, to jednak nigdy przedtem nie doświadczyłam tak intensywnego uczucia zagrożenia, które nappełniło mnie strachem. Przekonywałam się, że to tylko specyficzne ułożenie skał, że to kaprys natury. Ale nie mogłam oprzeć się ogarniającemu mnie niepokojowi. Moje myśli dostroiły się do atmosfery tej dziwnej doliny i nagle przeszłość powróciła, zapelniając okoliczne zbocza rozbójnikami. Słońce lśniło na wypolerowanych powierzchniach strzelb, a niespodziewanie tężejący wiatr przyniósł ze sobą dawno zapomniany zapach prochu.

Wzdrygnęłam się i przebiegłam przez kamienne podwórze, wzywając Neila. Dotarłam do progu, za którym zniknął, i stanęłam jak wryta. Stał w wejściu do chaty, obejmując starszą kobietę. Widziałam tylko jej figurę. Wspierała się o niego, kładąc głowę na ramieniu młodego mężczyzny. Czułam, jak serce zaczyna mi szybciej bić. Chciałam się wycofać, ale kobieta uniosła głowę i zobaczyła

mnie. Wsunęła się z ramion swego opiekuna. Tymczasem on obrócił się i również mnie dostrzegł.

- Rosie - powiedział - poznaj panią McDuff. Jest moja starą znajomą.

Była dość szczupła, mego wzrostu, miała zniszczoną przez słońce i wiatry cerę. Głęboko osadzone oczy obserwowały mnie uważnie. Spodnie wpuściła w wysokie buty, a gruba wełniana kamizelka opinała jej biust.

- Dzień dobry - przywitałam się. Skinęła i obróciła się do Neila.

- Wejdźcie lepiej do środka. On chce ciebie zobaczyć.

Zaprowadziła nas do pokoju gościnnego. Od razu przytłoczył mnie ciężki zapach kurzu. Miałam wielką ochotę otworzyć szeroko okno.

- Znajdziesz go w stodole - powiedziała do Lamonta, a następnie zwróciła się do mnie. - Niech pani usiądzie. Napije się pani herbaty.

Zostałam sama. Przez moment siedziałam, czując, że to nie jest zwykłe pomieszczenie mieszkalne. To było muzeum. W każdym możliwym miejscu tłoczyły się zdjęcia - wszystkie tej samej osoby.

Przesuwając wzrok po kolejnych fotografiach, ujrzałam życie uchwycone fotograficzną migawką: od nagiego niemowlaka, przez dzieciństwo i dorastanie aż do... historia, zapisana na emulsji, urywała się. Nagle wstałam i uniosłam jedno powiększenie. Ujrzałam śliczną, ciemnowłosą dziewczynę, której ramię splątało się z ręką Neila.

Serce mi załomotało. Opadłam z powrotem na krzesło. Miałam teraz całkowitą pewność, że właśnie to chciał mi przekazać. Oto była ta inna dziewczyna. Ale dlaczego robił to w tak okrutny sposób? Wszystkie moje marzenia i nadzieje były martwe.

Głuchy stukot gumiaków na kamienistej posadzce wyrwał mnie z zamyślenia. Pani McDuff otworzyła drzwi. Niosła tacę z herbatą. Rozejrzała się bezradnie, szukając wolnego miejsca.

- Może lepiej wypijemy w kuchni - pomogłam jej. Byłam gotowa zrobić wszystko, byle tylko wyrwać się z tego dusznego pokoju.

Gospodyni uśmiechnęła się z ulgą. Obróciła się i ciężko stąpając, poszła z powrotem. Pośpieszyłam za nią.

W kuchni ogień buzował na palenisku, a w brązowej misce piekło się ciasto. Na wyszorowanym stole stał słoik dżemu, w który ktoś wetknął bukiet delikatnych, okrągłolistnych dzwonków.

- Rosną gdzieś tu w pobliżu? - spytałam. Potwierdziła skinieniem.

- Meg zawsze je przynosiła. Nazywała je czarodziejskimi dzwoneczkami.

- Te zdjęcia - powiedziałam - to pani córka? Jest tutaj? Uważnie nalala herbatę.

- A więc nie powiedział pani. Tak też myślałam. Ona nie żyje.

- Och! - wykrzyknęłam - tak mi przykro. - Próbowałam ukryć moje zmieszanie. - Musi jej pani brakować. Kiedy to się stało?

- Dwanaście miesięcy temu - przerwała i westchnęła. Czulałam, że każdy dzień tej kobiety, który minął od tego strasznego wydarzenia, wypełniony był cierpieniem.

Po chwili ciągnęła dalej:

- Neil czuje się winny. Nasza Meg była dziką, upartą dziewczuchą. Nic nie mogło jej powstrzymać. A tego dnia na Ben Lars... nie mógł jej uratować. Zszedł do żlebu, gdzie spadła. Zginęła na miejscu. Beznadziejna sprawa.

W kuchni nie było żadnych fotografii. Tutaj upamiętniały ją czarodziejskie dzwoneczki i nie wyrażone myśli tych, ,

którzy ją kochali. Pojawili się Neil i pan McDuff. Gospodarz uparł się, że pokaże nam swoje zwierzęta. Pomimo tego, że był tak chudy i zniszczony pracą jak jego żona, kpiarski uśmiech cały czas tańczył na jego twarzy.

Gdy wróciliśmy z obory, stół był już zastawiony naczyniami. Usiedliśmy, by zjeść świeżo upieczony chleb oraz jajka i szynkę. Kwiaty zniknęły.

W powrotnej drodze prawie nie rozmawialiśmy. Gdy zahamowałam przed jego domem, zaprosił mnie do siebie.

- Chodź. Zasłużyliśmy na drinka.

Chętnie bym odmówiła, ale nie mogłabym spać, nie znając całej prawdy. Meg McDuff nie żyła? Ale czy ta miłość była skończona, czy mogłam liczyć na uczucie mego ukochanego? Siedziałam w samochodzie i zastanawiałam się, co robić. Nagle potężna eksplozja zatrzęsa ziemią. Krzyknęłam przerażona. Lamont okrążył samochód, wyciągnął mnie z wnętrza i przyciągnął do siebie. Absolutną ciszę przerwał łoskot spadających skał. Usłyszałam wrzask przestraszonych ptaków.

- Przeklęty głupiec - krzyknął Neil - wysadził skały w tunelu.

Wiedziałam, o kim mówi. Pobiełam za Lamontem do domku. Gorączkowo chwycił zwój liny, zarzucił go na ramię i porwał latarkę. Pchnął drzwi wiodące do piwnicy. Chwyciłam go z tyłu za kurtkę.

- Zatrzymaj się! - zawołałam. - Neil, nie wolno ci tam wchodzić. Kamienie wciąż spadają.

Wypowiadając te słowa, zdawałam sobie jednak sprawę z tego, że go nie powstrzymam. Pobiełam za nim w dół schodów.

Na dole powietrze pełne było pyłu. Kaszląc i dusząc się dobiegliśmy do wejścia do tunelu.

- Zostań tutaj - polecił mi.

- Nie, nie zostanę. Jeśli pójdziesz...

Nagle z głębi podziemi dobiegł nas krzyk, który zmienił moje nogi w galarete. Stawał się coraz głośniejszy, lecz za moment umilkł. Lamont poświecił latarką po ścianach i suficie. Wielkie kamienie zalegały podłogę.

- Rosie, zrozum, musimy być rozważni. Nie ma sensu, żebyśmy szli oboje. Czekał tutaj. Będę wołać co jakiś czas. Jeśli coś mi się stanie, pobiegiesz po Billa. On będzie wiedział, co robić.

Zrozumiałam, że ma rację. Patrzyłam, jak ostrożnie zagłębia się w ciemną czeluść. Światło latarki rzucało groteskowe cienie na ściany. Co parę metrów wykrzykiwał moje imię, a tunel odpowiadał echem: "Rosie, Rosie, Rosie..."

Nie wiem, jak długo czekałam, wyęzając słuch i wzrok. Nagle światło znikło i cisza wypełniła ciemność.

- Neil! - wrzasnęłam. Zaczęłam na ślepo szukać drogi. Poruszałam się centymetr po centymetrze wzdłuż wilgotnych murów. Krzyczałam tak głośno, że bałam się, iż popękają mi bębunki. Nagle dojrzałam błysk latarki, zupełnie jak w moim śnie o ojcu. Uświadomiłam sobie, że łkam ze strachu. Ale światło nie słabło, odwrotnie, stawało się coraz jaśniejsze. Usłyszałam głos Neila.

- Rosie, och, Rosie. - Objął mnie, a ja przywarłam do niego z całej siły.

- Spokojnie, Rosie - powiedział. - Sądzę, że powinnaś biec po Billa. Twój kuzyn jest ranny. Nie wyniosę go z jedną ręką na temblaku.

- Mogę pomóc - zareagowałam. - Stracimy dużo czasu, jeśli po niego pójde.

Przyznał mi rację. Pobiegliśmy na ratunek rannemu. Hugh leżał twarzą do ziemi. Małe skałki uwięziły jego nogi. Ostrożnie usunęliśmy zwałowisko.

- Musiał uciekać - powiedział Lamont. - Powalił go wybuch.

Delikatnie przewróciliśmy go na plecy. Przyklęłam i chwyciłam głowę nieprzytomnego w ramiona. Twarz miał szarą od pyłu.

- Biedny Hugh - szepnęłam. Neil ukląkł i zbadał puls.

Wokół nas zafurkotał deszcz małych kamieni.

- Musimy szybko go stąd wydostać - powiedział. - Rosie, poczekaj tu, a ja skoczę do piwnicy i przyniosę parę worków. Nie będziesz się bać?

- Nie, Neil. Ale się pośpiesz. Weź latarkę.

Patrzyłam, jak się oddala. Na ścianach migotały odbłaski światła. Co chwilę ciszę przerywały opadające kamienie i zgrzyty tak straszne, że zaczęłam się bać, że zawali się cały sufit.

Błyski latarki znikły i całkowita ciemność zawładnęła tunelem. Czułam strumyczki potu, ciekące mi po plecach. Oddech nieprzytomnego był nienaturalnie głośny. Przytuliłam jego głowę. Jeszcze jedno uderzenie i będzie po nim.

Sadzę, że minęła jedna albo dwie minuty, zanim dojrzałam światło. Odetchnęłam z ulgą.

Neil znalazł się obok mnie. Przez zdrowe ramię miał przewieszzone worki. Rozłożyliśmy je na ziemi i przetoczyliśmy na ich szorstką powierzchnię nieprzytomne ciało ofiary. Musieliśmy teraz dociągnąć jakoś mego kuzyna do wyjścia.

- Dasz radę chwycić go za ramiona? - spytał. - Ja wezmę go za nogi.

Ostrożnie unieśliśmy rannego. Zaczęłam wycofywać się w kierunku piwnic. Myślałam, że nie wytrzymam i za moment ciężar wysunie mi się z rąk. Przeszliśmy zaledwie parę metrów, gdy skalny odłamek runął na miejsce, w którym

jeszcze przed chwilą znajdowało się ciało mego kuzyna. Przyśpieszyliśmy kroku.

Po marszu, który trwał chyba w nieskończoność, dotarliśmy w końcu do schodów wiodących na górę. Położyliśmy ciało na ziemi, zastanawiając się, co robić dalej.

- Skocz po Billa - powiedział Neil. W sztucznym świetle latarki jego twarz była upiornie blada.

- Straciliśmy dużo czasu - odrzekłam z powątpiewaniem. Przyjrzał się nieprzytomnemu.

- Masz rację. Jeśli teraz go nie wyciągniemy, będzie już za późno.

Na szczęście schody okazały się wystarczająco szerokie, byśmy mogli iść obok siebie. Chwyciliśmy worki i wyciągnęliśmy rannego do domku, a następnie do land-rovera. Na

tylnym siedzeniu położyliśmy materac i parę koców, na których ułożyliśmy wygodnie mego kuzyna.

Bałam się, że nasza niezdarna akcja ratunkowa mogła spowodować jakieś dodatkowe obrażenia, ale Neil pocieszał mnie, że Hugh chyba nie jest mocno poturbowany. Ja zaś nie miałam wątpliwości, że jeśli szybko nie zawieziemy go do szpitala, to na pewno umrze.

Lamont wgramolił się na siedzenie obok nieprzytomnego. Twarz miał wykrzywioną bólem. "To ta ręka" - pomyślałam.

- Ruszaj szybko, Rosie.

Wskoczyłam za kierownicę i ostrożnie manewrując, wjechałam na drogę. Przez całą tę historię straciłam całkowicie poczucie czasu. Rzuciłam okiem na zegarek i upewniłam się, że grobla powinna wciąż być przejezdna. Kiedy wydostaliśmy się na drogę do Lochair, przycisnęłam gaz do dechy.

W parę minut później hamowałam na podejździe do szpitala. Pielęgniarze wynieśli rannego z samochodu i zniknęli z nim w środku.

- Dobra robota, Rosie - rzekł mój ukochany wysiadając. - Pokręcę się tutaj i poszukam lekarza. Chciałbym, żeby mnie obejrzał. Może byś pojechała po matkę Hugh? Rozumiesz chyba, że jest ciężko ranny.

- W porządku, ale najpierw musimy zająć się tobą. - Widziałam, że cierpi.

Załatwiłam formalności i pojechałam do Siedziby. Tymczasem zapadła noc. Przednie światła land - rovera rozcinały zgęstniały mrok jak monstrualne nożyce. Dojechałam do przejazdu i zatrzymałam się z piskiem opon. Drogę biegnącą po grobli zalewała woda. Coś tu się nie zgadzało. Według moich obliczeń do przyływu pozostało jeszcze pół godziny. Pierwsze pale naprowadzające były widoczne w świetle reflektorów. Fale obmywały ich podnóża. Spojrzałam na zegarek. Czyżbym się pomyliła? Przejeżdżaliśmy tędy z Neilem, wracając z gór. Wtedy był odpływ. Przypomniałam sobie, że kiedyś Neil był zdziwiony tak dalekim cofaniem się morza. Woda zwykle odcinała wyspę dwie godziny przed i dwie godziny po wysokiej wodzie.

- Szkoda, że nie mamy telefonu - zachnęłam się, zadając sobie pytanie, dlaczego dziadek sprzeciwiał się zawsze instalacji tego urządzenia w Wielkim Domu.

Im dłużej zwlekałam, tym szansa szczęśliwego przedostania się na drugi brzeg stawała się coraz mniejsza. Pomyślałam, że nawet w ciemności nie będzie trudno trzymać się trasy. Były przecież te pale. Jeśli bezpiecznie dotarłabym do wieży ratunkowej, która znajdowała się w najniższym miejscu, to na pewno by mi się udało.

Zwiększyłam obroty silnika, wrzuciłam bieg i rozpryskując małe falki, ruszyłam do przodu. Przebyłam tylko parę metrów, gdy zrozumiałam, że coś jest naprawdę nie w porządku. Morze było płaskie jak deska, lecz woda była niezwykle głęboka. Poczułam rosnący strach. Nie mogłam się już cofnąć. Zajechałam za daleko. Gdyby silnik zgasł... wzdrygnęłam się.

Uparcie jechałam dalej. W chwili, gdy w światłach reflektorów dojrzałam wieżę ratunkową, samochód uderzył w jakąś przeszkodę. Kierownica wyleciała mi z rąk. Desperacko próbowałam wyprostować ją, ale wszystko za późno. Silnik zacharczał i zgasł.

Byłam tak wstrząśnięta, że nie wiedziałam, co robić. Panowała niesamowita cisza. Morze unosiło się bez jednego szmeru. Byłam nieprzytomna ze strachu. Woda powoli zaczęła przedostawać się do samochodu. Otworzyłam okno, wychyliłam przez nie głowę i ramiona i chwyciwszy stelaż, wysliznęłam się na dach. Gdybym została we wnętrzu, na pewno bym utonęła.

Przejął mnie teraz jeszcze potężniejszy, wręcz paraliżujący strach. Światła samochodu niezdarnie próbowały rozproszyć zgęstniałą ciemność, która atakowała mnie ze wszystkich stron. Musiałam decydować się: płynąć czy nie płynąć do zbawczej wieży. Nagle zobaczyłam coś dziwnego. Miałam wrażenie, że dostrzegam niezwykle silny podwodny przeciwprąd. Śmieci, które zwykle zalegają dno, wpadały z ogromną prędkością w zasięg reflektorów i znikwały błyskawicznie.

Działo się coś strasznego. Przypomniały mi się słowa dziadka, który mówił, że w dniu śmierci ojca też był niezwykle wysoki przypływ. W tym momencie byłam przekonana, że umrę. Gdybym nawet uczepiła się dachu land-rovera, to i tak by mnie zmyło.

Nagle z ciemności doszedł mnie najpiękniejszy z dźwięków. Warkot motorówki. Wyteżyłam wzrok, by ją dostrzec, lecz w tym momencie zgasły światła samochodu. Zaczęłam wrzeszczeć jak opętana. Warkot przeszedł w huk, który wypełniał mi teraz uszy, i nagle oślepił mnie reflektor łodzi. Odnaleźli mnie w parę minut. Gdy woda zaczęła dostawać się na dach, motorówka podpłynęła bokiem do zakrytego już land - rovera. Bill wyszukał mnie punktowcem i wciągnął na pokład. Z łkaniem rzuciłam się w jego ramiona. Przytulił mnie mocno. Ciotka Jenny wyciągnęła do mnie swe opiekuńcze ręce:

- Ros, najdroższa.

Gdy przywarłam do jej ciała, pamięć powróciła.

- Szybko, Bill! - krzyknęłam, wyrrywając się z uścisku ciotki. - Hugh jest w szpitalu w Lochair. Właśnie po ciebiejechałam.

Usłyszałam bolesny jęk Jenny.

- Bill mówił, że w podziemiach nastąpił wybuch. A kiedy nie mogliśmy cię znaleźć...

- Do diabła z tunelem - zawołałam. - Do diabła z podziemiami i całym Crying Cove!

- Bardzo z nim źle? - przerwała mi.

- Nie jestem pewna - powiedziałam - ale boję się, że umrze.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przytuliłam się do cioci. Bill otworzył przepustnicę silnika i łódź skoczyła gwałtownie do przodu. Gdy dopłynęliśmy do zatoczki, nad którą rozłożyło się Lochair, stary marynarz zmniejszył prędkość i ostrożnie manewrując, przybił do nabrzeża. Czekający na nas wóz policyjny, wezwany przez Corbina radiem, błyskał niebieskim sygnałem. Gdybyśmy się tak bardzo nie spieszyli, to może dostrzeglibyśmy grupkę rybaków, zgromadzoną na falochronie. Ale na nic nie zważając, pomknęliśmy ciemnymi ulicami. Musieliśmy chyba pobić rekord świata w wyścigach na trasie przystań - szpital.

Hugh wciąż był nieprzytomny. Pozostawało tylko czekać. Neil odpoczywał i nie mogliśmy się z nim zobaczyć.

- Zostaję - oświadczyła ciotka, zaciskając usta z przejęcia.
- Bill, najlepiej będzie, jeśli zabierzesz Rosinę do domu. Miała straszny dzień. Mogą cię potrzebować w Siedzibie.

- Pozwólcie mi zostać - błagałam. Potrząsnęła głową i pocałowała mnie.

- Zajmij się nią, Bill.

Na przystań wróciliśmy taksówką. Na nabrzeżu tłoczyli się chyba wszyscy mieszkańcy miasteczka. Bill zaczął najbliższego gapia.

- Co się dzieje? - zadał pytanie.

- Wygląda na to, że mamy dziwaczny przyptyw. Bóg jeden wie, kiedy to się skończy. Ostatni raz coś takiego wydarzyło się dwadzieścia lat temu - odpowiedział zaczepiony.

- Musimy wracać - wtrąciłam. - Dziadek i Liz oszaleją z niepokoju.

Stary Corbin oddalił się. Poszedł porozmawiać z komendantem portu. Stałam w tłumie, nie mogąc powstrzymać dygotania nóg. Światła falochronowe odbijały się w morzu, które unosiło się ciężko jak dyszący,

prehistoryczny potwór, chcący osiąść zakazany suchy ląd. Nasza łódź znalazła się na poziomie obetonowanego brzegu, a pierwsze jęzory wody zaczęły wdzierać się na ląd. Bill powrócił biegiem.

- Komendant radzi czekać na odpływ. Nie ma sensu ryzykować.

Tymczasem morze, jeszcze przed chwilą nieśmiało sączące się strumyczkami, zaczęło zagarniać coraz większą powierzchnię.

Stary marynarz chwycił mnie za ramię i odciągnął przez tłum od nabrzeża. Ludzie, zrozumiałwszy wreszcie grożące niebezpieczeństwo, wpadli w panikę. Byłam zbyt przytłoczona wypadkami tego dnia, żeby się bać. Nie wiedziałam, gdzie uciekać, ale Bill zacisnął mocniej rękę na moim ramieniu i pobiegliśmy ulicami, które wspinały się na zbawienne wzgórze.

- Szpital - wydyszał - jest na wzniesieniu. Możemy się przydać.

Ciocia Jenny wciąż siedziała w poczekalni. Na nasz widok zbladła. Wyjaśnienia zdenerwowały ją jeszcze bardziej. Nie wiedziała, co robić: zostać przy rannym synu czy wracać do swego ojca. Ale powrót był niemożliwy.

- Zadzwoiłam do Wilmota - poinformowała nas sucho. - Przyjedzie pociągiem.

Usiedliśmy w milczeniu. Nie mieliśmy o czym mówić. Tej długiej nocy życie mego kuzyna wisiało na włosku. Byłam wyczerpana. Ciągłe spoglądałam na zegarek. Czy te wskazówki w ogóle się nie ruszają? Czułam, jak palce cioci szarpią się w mojej zaciśniętej dłoni. Oparłam się o nią w nadziei, że bliskość mego ciała doda jej trochę otuchy.

Po godzinie Corbin wyszedł. Nie było go dość długo. Powrócił z wiadomością, że możemy już iść.

- Mogą minąć godziny, zanim będzie coś wiadomo - powiedziała Jenny na pożegnanie, wypuszczając moją rękę. Bardzo pragnęłam dowiedzieć się, co z Neilem.

- Rano zajrzę do Lamonta - wtrąciła, jakby czytając w moich myślach.

Musiałam zadowolić się tym zapewnieniem i razem z Billem opuściliśmy budynek szpitalny. Ulice blisko zatoki były wciąż mokre. Motorówkę wyniosło na brzeg. Musieliśmy spuścić ją na wodę po pochylni.

Czułam, że Bill jest tak samo zaniepokojony jak ja.

Wyłynęliśmy na płaską jak stół zatokę. Chociaż świtało już, mgła ograniczała widoczność. Wreszcie ujrzeliśmy Siedzibę. Była jakaś mniejsza. Nasza zatoka zmieniła się. Morze chlupotało na skraju lasku. Tylko dach mojego domku wystawał ponad powierzchnię wody.

- Och, nie - jęknęłam. - Nigdy już nie będę mogła tam mieszkać.

Ale Corbin nie zwrócił na mnie uwagi. Dbał tylko o swój dom, który, położony głębiej na zbawczym wzniesieniu, chyba nie ucierpiał ostatniej nocy. Gdy zbliżyliśmy się do budynku, w oknie sypialni pojawiła się Liz.

- Dzięki Bogu - wymamrotała.

Jak się okazało, pani Corbin wcześniej zauważyła nadciągające niebezpieczeństwo i zabrała moje rzeczy, a mini postawiła wyżej na wyspie.

Niespokojna o dziadka czym prędzej pojechałam do Wielkiego Domu. Chociaż było wcześniej, zobaczyłam jak maszeruje tam i z powrotem po tarasie.

Wypadłam z samochodu, przeleciałam po schodach i wpadłam w jego ramiona.

- No, no, panienko - szepnął - jesteś już bezpieczna.

- To było takie straszne - rozczuliłam się jak dziecko - wypadek Hugh i... i...

Dopiero następnego dnia opowiedziałam staremu mężczyźnie o tej strasznej przygodzie z land - roverem. Nie byłam jednak w stanie wyrazić strachu, jaki w dalszym ciągu wzbudzał we mnie przejazd.

Sądzę, że dziadek i stary Corbin zdawali sobie sprawę z mego urazu, nie mówili jednak o tym. Chcieli, bym sama się z tym uporała.

Dwa dni później Bill przywiózł wiadomości od Jenny. Hugh czuł się lepiej. Jego życiu nie zagrażało już nic.

Bardzo chciałam zobaczyć się z Neilem, zmusiłam się więc, by wsiąść do samochodu i niechętnie pojechałam na groblę.

W porannym słońcu wyglądała niewinnie. Był odpływ, w oddali połyskiwało morze.

"Gdyby zawsze tak było - pomyślałam tęsknie - nie miałabym żadnych problemów." Ale przecież takie sytuacje... otrząsnęłam się z tych myśli. "Minie trochę czasu, zanim zapomnę" - powiedziałam sobie. Z ulgą wydostałam się na drogę do Lochair. Jadąc do szpitala, zastanawiałam się, co na stratę land - rovera powie Lamom. Dziadek zapewniał mnie, że to nie ma znaczenia. Samochód był ubezpieczony, a Neilowi chodzi tylko o moje bezpieczeństwo. Ale on... on ciągle używał tego auta i odczuje teraz jego stratę.

Gdy przyjechałam na miejsce, okazało się, że McGillowie odwiedzili go wcześniej i zabrali na parę dni do siebie. Domyśliłam się, że jego zebra musiały ulec dalszym uszkodzeniom podczas naszej akcji ratowniczej. Niepocieszona, wpadłam do hotelu dworcowego, gdzie powiedziano mi, że ciocia nie spała całą noc i teraz odpoczywa. Ponieważ nie miałam ochoty widzieć się z wujem Wilmotem, wróciłam do Siedziby.

Uszkodzenia w moim domku nie były tak wielkie, jak się obawiałam. Stary Corbin zapewnił mnie, że po wyschnięciu zrobi konieczne naprawy.

- A domek Neila w porządku? - wypytywałam starego marynarza. Przytaknął.

- Myślałem, że mogło zalać piwnice, więc poszedłem je obejrzeć. Nic się nie stało. Tunel też jest suchy. Wybuch rozsadził stary zawał i spowodował parę nowych.

- Znalazł pan coś?

- Ciało Smitha. Tak jak przypuszczałem. Zapalnik został uruchomiony przed ich ucieczką.

Wzdrygnęłam się.

- Nie wiedzieliśmy, że tam był. Mógł jeszcze żyć.

- W żadnym wypadku. Trup na miejscu. Przywaliło go pół tony kamieni.

Siedzieliśmy w kuchni Corbinów, czekając, aż woda się zagotuje. Zrobił herbatę i dopiero wtedy mówił dalej.

- Muszę powiedzieć pani jeszcze coś ważnego. - Tak duże wzruszenie było niezwykle u tego starego marynarza. - Gdy byłem na dole, przeszedłem przez wysadzone zwałowisko i dostałem się do jednej z tych małych komór. - Milczał bardzo długo. Serce podeszło mi do gardła. Chyba zrozumiałam, co chce powiedzieć. - Wybuch przesunął część starego gruzu - ciągnął dalej - który runął dwadzieścia lat temu i... no, pani ojciec musiał zginąć pod tymi kamieniami. Znalazłem jego sygnet.

Wyjął z kieszeni mały przedmiot i położył mi go na rękę. Poczułam, że blednę. Ciarki przebiegły mi po plecach.

- Mówi pan... - Schyliłam głowę. Klejnot lśnił w mojej dłoni. Łzy napełniły mi oczy. Kontur zamazał się.

- Zginął na miejscu - powiedział Bill. Zaczęłam płakać.

- Niech pani nie płacze - pocieszał mnie. - Lepiej znać prawdę.

Wytarłam oczy i włożyłam sygnet na palec. Kiedy odzyskałam równowagę, odezwałam się:

- Co on tam robił?

- Szukał czegoś.

- Czy to się wiązało z tym spisem, który znalazłam w oprawce fotografii?

Przytaknął.

- Pani ojciec ufał mi. Dał mi to na przechowanie. Nie bardzo rozumiałem jego pomysły, więc rozmawiał o tym z młodym Pevenseyem. Ten chłopiec uwielbiał pani ojca. Za to nie lubił pani, jej matki i jej... - Skinął w kierunku Wielkiego Domu.

- Jej? - powtórzyłam z niedowierzaniem. - A co Francesca miała wspólnego z ojcem?

Twarz mu znieruchomiała.

- Powiedziałem za dużo...

- Nie, nieprawda - przerwałam mu. - Wiem, że Hugh zawsze był o wszystko zazdrosny. Ale chciałabym coś wiedzieć o planach ojca.

- Zamierzał przemienić Siedzibę w wioskę marzeń dla emerytowanych marynarzy i ich rodzin. Chciał robić interesy z jakimś facetem od takich spraw. Ale to by się nie udało, no i nie miał gotówki.

- A co dziadek o tym sądził?

- Był wściekły. Uwielbia wyspę i nigdy by na coś takiego nie pozwolił. Zawsze dbał o tutejsze ptaki i najbardziej zależało mu na ciszy i spokoju. Miał nadzieję, że ktoś z rodziny będzie dzielić z nim tę radość. Dlatego wysłał zaproszenia.

Bruce McGill odwiózł Neila parę dni później. Nasze wzajemne stosunki nie zmieniły się. Nie rozmawialiśmy o przeszłości. Żadne z nas nie chciało przekroczyć subtelnie wyznaczonych granic.

Mimo to byłam szczęśliwa. Gdy spoglądałam w lustro, widziałam swe błyszczące oczy i zaokrąglające się policzki.

Nie było między nami żadnych kłótni czy najlżejszego śladu niezgody. Znowu zaczęłam mieć nadzieje. Marzyłam o tym, żeby ten sen trwał wiecznie i żeby zbliżający się wyjazd Hugh nie stał się smutnym zakończeniem tej radosnej historii.

Hugh wracał do zdrowia bardzo wolno. W dniu, w którym wybrałam się do niego, Neil miał umówioną wizytę w szpitalu. Pojechaliśmy razem. Rozdzieliliśmy się dopiero w recepcji.

Kuzyn leżał w bocznej sali. Gdy weszłam do środka, siedział w fotelu, z pledem narzuconym na nogi.

- Ros, w końcu - powitał mnie. - Dlaczego nie przyszłaś wcześniej? - Wyciągnął ręce i przyciągnął mnie do siebie. Schyliłam się, by pocałować go w policzek. Uwolniłam rękę i usiadłam.

- Mama mówiła mi, że razem z Lamontem wyciągnęłaś mnie z tunelu - w jego głosie pobrzmiwał ton rozdrażnienia, jakby nie podobała mu się myśl, że to właśnie my go uratowaliśmy. - Ten głupiec, Smith, pomylił coś z zapalnikiem...

- On nie żyje, Hugh - przerwałam pośpiesznie.

- Ja też mogłem zginąć. Lekarze mówią, że może nigdy już nie będę chodzić.

- To nie jest takie pewne - zaczęłam.

- Przestań, Rosie. Nie wątpię, że matka wszystkim już opowiedziała o mojej sytuacji. No dobrze, moja droga, co zamierzasz teraz zrobić?

- Ja? - wytrzeszczyłam oczy.

- Tak, ty. Pomijając już fakt, że znalazłem się w tych podziemiach przez twego ojca, to przecież ty mnie uratowałaś. Kto wie, jakie jeszcze urazy może spowodować...

Moje zdziwienie zmieniło się w zimny, spokojny gniew.

- Zaczynam dochodzić do wniosku, że lepiej było cię tam zostawić - przerwałam. Dobrze mi znany, przebiegły wyraz twarzy pojawił się na obliczu kuzyna. - Jak śmiesz winić mego ojca? To była twoja wina.

- Ros! - ton mu złagodniał. Wiedziałam, że muszę uważać. W takich chwilach nie można było mu ufać. - Robiłem to dla nas. - Znowu chwycił mnie za rękę. - Zmieniłaś się, moja droga. Od czasu, gdy poznałaś Lamonta, zachowujesz się jak idiotka.

Nie próbowałam zaprzeczyć. Im szybciej Hugh zrozumie, że kocham Neila, tym lepiej.

- Byłaś od tego czasu w podziemiach? - spytał.

- Oczywiście, że nie. Nic mnie do tego nie zmusi. Zresztą dziadek zamierza zamurować tunel.

- Musisz tam iść - powiedział gorączkowo. - To tam jest, mówię ci.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Bill tam był. Znalazł ciało Smitha i... - ugryzłam się w język. Nie miałam ochoty opowiadać kuzynowi o znalezisku Corbina ani o cichym pogrzebie, który odbył się parę dni temu w leśnej kaplicy. W końcu przemogłam się. Zdjęłam sygnet z palca. - Spójrz. Bill znalazł to w tunelu. Teraz wiadomo, co stało się z ojcem.

- A więc nie zdążył uciec. I nie znalazł... - mruknął pod nosem. Udałam, że nie słyszę. Myślałam, że majaczy.

- Lamont wyjeżdża? - spytał nagle.

Spojrzałam na niego, nieprzyjemnie zaskoczona. Skinęłam twierdząco głową.

- Tak też sądziłem. Bez wątpienia chcesz z nim jechać, korzystając...

- Hugh, nie wiem, o czym mówisz. Nigdzie się nie wybieram. Wracam na uniwersytet.

- O, nie - powiedział, gwałtownie ściskając moją dłoń. - Wracasz ze mną do Driftings. Potrzebuję opieki. A któż

mógłby się lepiej mną zająć niż moja żona, moja ukochana Ros?

Zabrakło mi słów. Serce mi stanęło, by po chwili załomotać gwałtownie. Wyszarpnęłam rękę z uścisku kuzyna i zerwałam się na równe nogi. Obróciłam się, chcąc natychmiast wyjść. W drzwiach stał Neil Lamont.

Nie wiem, jak długo tam czekał, ale twarz miał jak z granitu. Skinął na powitanie kuzynowi i rzucił krótko:

- Jesteś gotowa? Zeszliśmy na parking.
- Neil! - jęknęłam, siadając za kierownicą. Zapiął pasy.
- Pośpiesz się. Musimy zdążyć przed przyływem - powiedział, nie patrząc na mnie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W powrotnej drodze Neil nie odzywał się. Gdy dojechaliśmy do jego domku, wysiadł i podziękował mi za podwiezienie. Nie chciałam tłumaczyć się, wiedziałam, że i tak nie ma ochoty słuchać. Potrzebowałam Billa.

Gdy dotarłam do domku Corbinów, kopał akurat w ogrodzie.

- Niech pan pójdzie ze mną do tunelu - powiedziałam bez ceregieli. - Hugh wygaduje, że znaleźliśmy w podziemiach coś, czego szukał mój ojciec. Muszę sprawdzić, o co chodzi.

- To nie jest miejsce dla pani - stary marynarz był sceptyczny.

- Proszę. Boję się iść sama. Muszę się dowiedzieć, o co chodziło Hugh.

Poszliśmy do domku Lamonta. Gospodarza nie było wewnątrz, ale drzwi wejściowe i piwniczne były otwarte. Bill wziął ze sobą potężną latarkę i topór. Zeszliśmy po schodach w głąb podziemi. Minęliśmy miejsce, w którym razem z Neilem znaleźliśmy nieprzytomnego kuzyna, po czym przez zwałony gruz dostaliśmy się do małej komory. Podłogę zalegał potłuczony kamień. Czekałam przy wejściu, podczas gdy Bill obchodził pomieszczenie.

- Nic - powiedział, wracając do mnie.

- Ale tu musi coś być - rzekłam z desperacją w głosie. - Niech pan zobaczy jeszcze raz.

Powrócił do największej sterty gruzu i porozrzucił toporem kamienie. Nagle zatrzymał się.

- Coś tu jest. Proszę poświecić.

Podeszłam bliżej. Pracując zawzięcie, odsłonił wkrótce wieko starej, okutej brązem skrzyni.

- Mam otworzyć? - głos drżał mu z podniecenia.

- Czy pan sądzi... To znaczy, skąd to się tu wzięło?

- Pewnie przywieźli to niewolnicy. Według legendy jeden z nich był wodzem... królem swego kraju. Sprzedali go jego ludzie.

Zadrżałam. Przeszłość wciąż ważyła na teraźniejszości. Długi łańcuch przyczyn i skutków jeszcze nie był przerwany.

Bill spróbował otworzyć zamek. Nagle coś szczęknięło i zasuwą odskoczyła. Chwycił latarkę i oświetlił wnętrze skrzyni. Stałam w pewnym oddaleniu, bojąc się spojrzeć.

- No tak, jestem przeklęty - rzekł mój towarzysz. Sięgnął po moją rękę i przyciągnął do siebie. Z rosnącym przerażeniem spjrzałam do środka.

- Twarze! - zawyłam. - Twarze!

- Maski - zaśmiał się - maski plemienne. - Otoczył mnie ramieniem. - Nie ma się czego bać, panno Rosino. To był chyba skarb tego wodza. Wszystko, co mu zostało z jego plemienia.

Ukryłam twarz na jego piersi. Zrozumiałam bezsens śmierci ojca.

Otrząsnęłam się i stanęłam prosto. Jedna myśl nie dawała mi spokoju: czy ojciec otworzył tę przeklętą skrzynię? Czy zrozumiał, że życie go oszukało, że umarł, wierząc w mit?

Dotknęłam prostego, męskiego pierścienia, ozdabiającego mój palec. Słowa ludzi, którzy znali mego ojca, nie dawały prawdziwego obrazu jego osoby. Nawet jego własny dziennik niewiele mówił o nim i jego uczuciach. Tak opętały go te plany, że nie było miejsca na miłość? Stanęły mi przed oczami następujące słowa: "Dwudziesty ósmy marca. Urodziła się moja córka". Nic więcej. Żadnej radości. Tylko suchy fakt. Może nie powinnam czytać tego pamiętnika? Czy to było teraz ważne? Wiedziałam, że tak. Bardzo chciałam wiedzieć, czy mnie kochał, czy kochał swą jedyną córkę?

Bill zatrzasnął wieko.

- Chodźmy, panno Rosino. Nie powinienem pani pozwolić na przyjście tutaj. Liz rozszarpie mnie, kiedy się o tym dowie.

Od czasu wypadku mego kuzyna rodzina przestała się przeciwstawiać ślubowi dziadka. Wujek Wilmot, po krótkim spotkaniu ze starym Falconem, powrócił do Driftings. Ciocia Jenny została w hotelu dworcowym pod pretekstem, że chce być blisko syna.

Francesca była bardzo zadowolona z tego, że ciotka wyniosła się z Siedziby. W dniu ślubu podniecenie Włoszki było łatwo wyczuwalne. Ja też czułam się lepiej, ponieważ miałam nadzieję, że zobaczę Neila. Nasze stosunki ochłodziły się od czasu mojej szpitalnej rozmowy z Hugh. Trzymał się z daleka od Wielkiego Domu.

Liz poprawiła sukienkę, którą dostałam od Francesci, i teraz leżała na mnie idealnie. Pomyślałam, że złoty naszyjnik matki dobrze będzie pasować do delikatnego błękitu stroju druhny. Otwierając szkatułkę z biżuterią, odkryłam perły i adresowany do Francesci list, ukryte tam przed wścibską ciekawością mego kuzyna.

Przyłożyłam perłowy naszyjnik do szyi, ciekawa efektu. Wyglądałby dobrze i z chęcią bym go założyła, ale, po pierwsze, nie był mój, a po drugie, czułam niejasną obawę. Co prawda nie byłam przesądna, ale jednak. Sądziłam, że nadszedł odpowiedni moment, by zwrócić te skarby właścicielowi.

Znalazłam dziadka w gabinecie. Powitał mnie ciepło

- Mam dla ciebie prezent - podał mi pudełko. - Perły twej babki.

Wstrząśnięta wyciągnęłam z oprawy ten drugi naszyjnik.

- Znalazłam to w zamkniętej kopercie z dokumentami. Bill mówi, że należał do Sama i był obłożony klątwą.

- W wiec tutaj to było. Bill miał racje. Te perły rzeczywiście należały do Sama. Plotkowano, że podobno ukrył tutaj jakieś klejnoty.

Nasze spojrzenia spotkały się.

- Teraz rozumiem - powiedział w zamyśleniu. - Andrew i Hugh uważali, że ukrył je w tunelu.

Potaknęłam.

- Znaleźliśmy z Billem starą skrzynię. W środku były maski plemienne. Czy Sam naprawdę rzucił klątwę na naszyjnik?

- Wątpię.

- Dziadku - powiedziałam niespokojnie - nie pozwól, żeby ktoś nosił te perły.

Zaśmiał się. Wziął ode mnie naszyjnik i wrzucił go do szuflady w biurku.

- Obiecuję. A teraz pokaż mi, jak wyglądasz w perłach babci.

Gdy otworzyłam pudełko, naszyjnik lśnił swą perłową białością.

- Dałem jej ten klejnot w dniu naszego ślubu. Nigdy się z nim nie rozstawała.

- A czy nie należy się cioci Jenny? - spytałam z wahaniem.

Potrząsnął głową.

- Obiecałem mojej żonie, że dam ci te perły, kiedy dorośniesz.

Zacisnęłam sprzączkę na szyi i spojrzałam w lustro.

- Pięknie wyglądasz - powiedział dziadek wstając. Zbliżył się do zwierciadła.

Uśmiechnęłam się do jego odbicia i pomyślałam, że świetnie dzisiaj wygląda. Przepęłniła mnie czułość. Wiedziałam już, że przyjeżdżając do Siedziby Falconów,

podjęłam właściwą decyzję. Obróciłam się i obejmując go za szyję, pocałowałam mego ukochanego dziadka.

- Dziękuję, dziadziu - szepnęłam. Sądzę, że zrozumiał, iż dziękuję mu za coś więcej niż tylko za perłową błyskotkę. Byłam mu wdzięczna przede wszystkim za miłość, którą mnie obdarzył i która była mi tak potrzebna.

- Będę dumny jak diabli, gdy zobaczę moją pannę młodą i druhnę, jak stąpają po posadzce kaplicy. A teraz idź już, panienko. Przygotuj się. - Przerwał. - Wpadnij do Francesci. Zobacz, czy nie potrzebuje pomocy.

Siedziała przy toalecie, rozczesując włosy.

- Znalazłam to w dokumentach dziadka - rzekłam, kładąc przed nią list.

Zbladła. W jej oczach przez chwilę zamigotał wyraz przerażenia. Porwała kopertę

- Pokazywałaś to komuś?

- Oczywiście, że nie. Jest zaadresowany do ciebie.

Drżącymi palcami rozerwała papier i rozkładając pojedynczą kartkę, schyliła się, by odczytać treść. Obserwując jej zmieniający się wyraz twarzy, zastanawiałam się, co też zawiera ten list. Początkowe przerażenie Włoszki zmieniło się najpierw w radość, by po pewnym czasie przemienić się w cierpienie, które bardzo wyraźnie malowało się na jej twarzy. Nagle gwałtownym ruchem rzuciła list na podłogę.

Podniosłam zrzuconą kartkę i położyłam ją z powrotem na toalecie.

- Przykro mi, Francesca. Nie wiedziałam, że to cię zdenerwuje.

- To nie było na serio - jęknęła. - Przez wszystkie te lata wierzyłam, że mnie ze sobą zabierze. - Spojrzała na mnie. - Głupia. Byłam taka głupia. Dlaczego mu uwierzyłam? Masz, weź to - powiedziała, wpychając list w moje dłonie.

W pokoju, który przed dwudziestu laty należał do mego ojca, a teraz był mój, czytałam słowa, które napisał do Francesci Battisty i których nigdy jej nie ujawnił. Powtarzałam raz za razem jedyne zdania, które miały dla mnie znaczenie:

- "Kocham moją żonę i córkę, Francesca. Musisz mnie zrozumieć."

Nie mogłam w tej chwili współczuć Włoszce. Byłam taka szczęśliwa. Miałam już pewność. Kochał mnie.

Szłam za Francesca. Przy ołtarzu dostrzegłam Neila. Stał obok dziadka. Panna młoda kroczyła z godnością. Jej ręka spoczywała na ramieniu odległego kuzyna Falconów, specjalnie zaproszonego na ślub.

Gości było niewiele: ciocia Jenny, Corbinowie i paru stałych przyjaciół dziadka. Wszystko wyglądało jak należy. Ołtarz tonął w kwiatkach. W małej kaplicy rozbrzmiewały znane mi słowa.

"Wszystko jest zbyt dobrze" - myślałam, sącząc szampana i obserwując, jak dziadek razem z Włoszką kroją ślubny tort.

- Myślałam, że Hugh i Wilmot nie dopuszczą do tego ślubu - usłyszałam szept ciotki Jenny. - Widzisz teraz, że...

Nie byłam pewna, o co jej chodzi. Uśmiechnęła się i powiedziała nieśmiało.

- Teraz twoja kolej, Ros. Kaplica czeka... - zaśmiała się.

Odsunęłam się, nie odpowiadając. Czułam na sobie spojrzenie Neila. Odwróciłam wzrok i zaczęłam słuchać jednego z gości, który rozprawiał na temat zalet życia na skalistych wyspach. Kiedy znów na niego spojrzałam, rozmawiał z Jenny. Czułam się nieprzyjemnie. Wiedziałam, że jestem jej nadzieją. Mówiła wiele razy:

- Hugh strasznie cię potrzebuje, Ros. Proszę, pojedź do niego. Ciągle o tobie myśli. Chce, żebyś wróciła z nim do Driftings.

Zwykle przerywałam jej.

- Wracam na uniwersytet.
- Ale dał mi do zrozumienia - brzmiała odpowiedź Jenny.
- Ros, on jest bezradny. Musimy zrobić wszystko...

Tak wyglądały nasze pogawędki.

Potrząsnęłam głową. Nie, Hugh nigdy mnie w ten sposób nie usidli. Jednak gdyby okazało się, że Neil nic do mnie nie czuje...

Popatrzyłam na nią. Pewnie opowiadała Lamontowi o swych nadziejach. Odstawiłam szklankę i wyszłam z hallu.

Drzwi wejściowe były otwarte. Na ławce leżały bukiety: ozdobne lilie Francesci, zmieszane z różami i frezjami, oraz moja skromna wiązanka różowych niezapominajek i konwalii.

Płaszcz przeciwdeszczowy wisiał w szatni. Wrzuciłam na siebie okrycie, chwyciłam kwiaty i wyszłam na zewnątrz.

Musiało niedawno padać. Powietrze było wilgotne, mgła zasłaniała horyzont. Wróciłam do kaplicy po śladach Ślubnej procesji. Krople deszczu niczym łzy spływały ze zwisających gałęzi.

Położyłam bukiet Francesci na świeżo wykopanym grobie mego ojca. Nie miał na razie żadnego nagrobka, ale przynajmniej leżał w poświęconej ziemi. Podczas gdy Sam...

Poszłam do grobu Sama i złożyłam na samotnym kamieniu moje niezabudki i konwalie.

- Rosie! - obróciłam się przerażona. Przede mną stał Neil.
- Jaka z ciebie sentymentalna dziewczyna.

- Dlaczego mnie śledzisz? - spytałam zimno.

- Zobaczyłem, jak wychodzisz - przerwał. - Jutro wyjeżdżam do Edynburga. Chciałem się pożegnać.

Schyliłam głowę,

- Zatem już nie wrócisz do Siedziby?

- Czy wrócę? Ależ oczywiście, wrócę. Muszę skończyć książkę o petrelach. A ty, Rosie, zamierzasz tu wracać?

- Nie wiem - odparłam bezradnie.
- Nie wydaje mi się, żeby twój kuzyn...
- A co Hugh ma do mnie? - przerwałam mu ostro. -
Wracam na uniwersytet Chcę skończyć studia.
Przysunął się bliżej.
- Ale, Rosie... słyszałem, co Hugh mówił w szpitalu, a
twoja ciotka...
- A nie mogłeś spytać mnie wprost, Neilu Lamoncie?
Wystarczyło zapytać, czy wychodzę za mego kuzyna, a ja
bym ci odpowiedziała: nigdy, nigdy, nigdy.
Nic nie widziałam. Łzy zalały mi oczy.
- Zatem dobrze, Rosie - rzeki delikatnie, a ton jego głosu
powiedział mi to, co od tak dawna chciałam wiedzieć. - W
przyszłym roku znów się spotkamy. - Mówiąc to przyciągnął
mnie do siebie i tak już zostało.

KONIEC